

20
Hav.

1. 0 Tatarier och i

de kroatiska

presidenten

en Särskild.

ZASZUMIAŁY PIÓRA.

Wydawnictwo
Czytelnik

HELENA MNISZEK.

ZASZUMIAŁY PIÓRA.



WYDANIE DRUGIE.

KIJÓW.
LEON IDZIKOWSKI.
1912.



*Mej siostrze (ZIUCIE),
jako wspomnienie chwil
ubiegłych
poświęcam.*

ZASZUMIAŁY PIÓRA.

Wysoko na gnieździe stary Sokół smutnie dumiał. Schowany w gałęziach i w chróście dumiał o słonecznej przeszłości, o swym bujnym locie młodzieńczym. Dużo widział, pióra pogubił w walce życia. Nieprzyjazne wichry połamały mu lotki. Serce miał rozrانیone ale jeszcze pełne krwi, co tętniała pulsem miłości dla pobratymczych gmin.

Walczyłby dłużej, lecz zmroziło go chmurne niebo, mgły rozłazące się, mętne. Sokół pragnął słońca i powietrza. Zrozpaczony grzął w apatię, starość brała go pod swą płachtę. Nadzieja lepszej doli żyła w nim stale, tylko brakło mu sił, wzrok matowiał. Więc zamknął się Sokół w ciemnem gnieździe, czekając śmierci. Otaczały go opieką młode Sokoleta a on im prawil stare bajki i słuchał radośnie chrzęstu ich piór. Upajał starego widok ich rozwianych skrzydeł. Radośnie patrzył w płomienne ich oczy, gdzie gorzała miłość idei, i wielki altruizm, dla ptasich lu-

dów. — Lotki rwały ich do słońca, dzioby do chmur, by je przebić. Temperament wrzący kipiátkiem w żyłach, gnał ich naprzód, w mózgach szalała burza buntu, młode szpony szarpać chciały, byle do jasności, do ciepła! Stary kręcił wypełzłą głową i żałośnie kwilił „nie zdolacie, zmoże was brutalna chmura, wyżre młodą krew“. Sokoleta dzwoniły dumnie... dolecim, dolecim, ujrzym złoty krag, zapanuje jasność, wiosna odrodzenia.

I zapatrzone w uroczą wizję leciały z rozdźwiękiem skrzydeł, wznosząc górną pieśń.

Stary drzymał; snił... o pięknych światach. Aż zbudziły go dziwne gwary ptasie. Gromadne przeloty jak na wyrój. Szum przełomowy roznosił echa, potężne, idące w dal. Ciche gniazdo starca nie mogło pomieścić Sokolich wieców. Moc ptaków ściągało. Z Sokolicami nadlatywały bystre jaskółki i ciche Gołębie perły. Z pól wiejskich ruszyły Skowronki, czasem błysnął opasły brzuch Gila w karmazynowej kierezji, lub złotolity Bazańt; lecz ten był rzadkością. Najliczniejsze leciały pospolite Wróble, z pod strzech, z pod kominów dymiących i z zatechłych, nizinnych dziupli.

Roje ptactwa, ożywione jedną gorejącą

krwią, duchem i żądzą czynu, jednym tętmem serca i społeczną myślą.

Stary Sokół dziwił się, smutny i nieufny. Straszły go wzloty młodych. Ale może nowe pokolenie będzie miało większy hart? może genialna ich twórczość, rozsnuje ciemności, i chaosu wydobędzie światłość?... Stary z niepokojem czekał.

— — — — —
I nadszedł dzień chwały, dzień błogosławiony. Gęste chmury rozsnuły opony. Jak płomień z wulkanu buchnął strzep światła; w oczach przywykłych do mroku zdawał się oceanem zórz. Ptaki zrodzone w szarych mgławicach, dusznych, jak groty z kamiennych płyt, ujrzały niebo. Dygot namiętny huraganem wpadł do skrzydlatej rzeszy, porywając wielkich i małych. Halny wiatr!

Sursum corda! kwiliły Orły, i monarszy pęd Ich w górę szedł, tryumfu grając hymn. Świetne sztandary skrzydlich piór dzwignęły chmurne klamry; z przyschlą na piersiach krwią, Orły goiły w słońcu bolesne blizny.

Powstał huk. Lawina ze szczytu Mont-Blanc, lawina zapалу gorących serc, polotu, idei, Ogrom! Ogrom!

Młode Sokoleta podsunęły dziadka do otworu w gnieździe,

„Patrz! dokonaliśmy!... oto odrodzenie... oto światło dnia! patrz starcze: Sursum corda“. Stary Sokół zdumiał się; piekące łzy zalały mu wzrok.

„I to prawda?... to nie sen?...

Sokół zatrząsł się z radosnego bólu, Kwiaty nadziei, rozwite w złote czary, spływając mu na głowę, ronily słodycz.

Sokół odżył, żar mu błysnął w oku, starcza krew ruszyła w wir.

„Hej ptaki! lot wasz grzmi!“

I patrzył odmłodzony, patrzył z dumą na niezmierne zastępy świąteczne natchnione. Orły wiodły korowód. Łopot od Nich brzmiał i wiew piór. Leciały rzeźkie Sokóły, plutony Sokolat. Leciały Jaskółki chyże w szafirach aksamitów. Perły Gołębie, wieśniacze Skowronki. Tłoczyła się nieprzeliczona ciżba Wróbli, głośna, rozśpiewana, i mnóstwo ptactwa różnych barw i odcieni, różnych wielkością i energją piór. Gile wystąpiły w okazałej liczbie, wielce butne z chwili, jeszcze butniejsze z krasnego pierza. I Bażantów gromadka spora, lśnią bogactwem i sybarytyzmem. Suną poważne ligi Żórawi w popielatych togach, podniecone, lub chłodniejsze. Tu i tam błyszczą grupy Bocianów w tunikach rzymskich, czczone przez ptasi

tłum. Lecą... lecą... z chrzęstem, z łomotaniem skrzydlich śmig. Dążą naprzód zwyciężkie, gromkie głosem, opite tryumfem. Dzioby mają powagę, oczy iskry... i łzy. Taką potęgą wieje z tych mas, bezkresny gmach zjednoczonych serc, spojonych wspólnym duchem. To nie leciały ptaki, to parł Naród ptasi. A nad nim fanfary hejnałów, a nad nim cyklon szalu i zapalny dym. I urok był w tym ruchomym kolosie, i czar unoszący, i rzewność, jakby uświęconą minioną dołą klęsk.

Stary Sokół w gnieździe wyrwał się za nimi do lotu! do lotu! Ale skrzydła połamane, ciężkie zwisły bezwładnie. Spłowiące oczy ciskały ognie zachwytów, lecz starcze ciało w ziemię wkute. Tylko duch kołatał jak rozhuśtany dzwon.

„Dożyłem! przed zgonem ujrzałem ich!... nie zgina... polecą w zwyzł!

Deo—o, Deo gratias!“

Przeszli, przeszumieli! lot swój niosą dalej. Nie widać ich już. Echo słabnie, cichnie chrzęst. Gdzieindziej budzą drzemiące Sokóły, rzucają zarzewie duchowego płomienia.

Cisza, ale dzwon odrodzenia bije wciąż. Stary Sokół nie zasypia. Opuszczony

przez młodych, co tam lecą polem, duma już inaczej. Widzi szerokie światy, cudne horoskopy przyszłości. O! jaka zamieć kwiatów sypie na starczą głowę, jaki miód upojen, zawieja odurzającej woni.

Starzec oddycha pełną piersią, płuca ma olbrzymie, mógłby wchłonać świat. Rozkoszuje się powietrzem, ciasno mu w gnieździe, dławi go chróst.

„Do nich! w gromadny lot“! woła rozteskniiony, i trzepoce resztkami skrzydeł, skubie lachmany piór.

Kiedyż wróć! Sokoleta z zwyciężkiej wyprawy, opowiedzieć ideową baśń. Kiedy wróć! odpocząć znużeni sławą, spici rozkosznym dreszczem wyzwolenia.

Stary z niepokojem czekał.

— — — — —
Wrzawa, zgiełk.

Wracają!

Krwawe skrzydła, połamane lotki, pióra w nieładzie. Wszędzie krew, ślady klęski. W żrenicach groza, ponury obłęd.

Rozpacz! rozpacz!

Przerażenie, stygmat nieszczęścia.

Stary skulił się i spuścił skrzydła.

Przecucie nim szarpnęło, złowrogi dreszcz

Przeleciała jedna grupa, druga, pojedyncze ptaki pędzą dziwnie kwiląc.

Ucieczka!... popłoch!...

Stary ciska się w gnieździe.

„Gdzież moi! co z nimi?“...

Oto są! Straszny widok. Sokoleta krwawe, skrzydła im pogięto, nastrzępione pióra od walki. Połamane dzioby, ruina, zgłiszczą nadziei.

Stary omdlewa.

„Co się stało, jak?“...

Nieszczęście! Na polance, w zwyciężkim locie stanęli, i... napad. Krew się ścina w żyłach, mózg zdrtwiał nie obejmuje grozy.

Zewsząd wałęsa straszliwe stada Sępów i Jastrzębi, Kruki, Krogulce.

Legie barbarzyńców wściekle, głodne, bezlitosne! Łakną żeru, pragną posoki. Ostre dzioby Sępów niszczą, krwawią. Jastrzębie szpony drą żywe ciało. Biją silne skrzydłiska Krogulców, czarne całuny Kruków rzucają strach.

Porażka! rzeź.

Zniweczona dzielność Orlów, męstwo Sokołów zdruzgotane.

W przepaść runął niebotyczny wzlot.

Przemodne tytany rozniosły złotą uludę.

Znowu słońce zajdzie mgłą.

Tyle ducha, miłości, nadziei, zmiażdżyły,
hordy ptaków-drapieżców.

Grom z jasnego nieba!

Stary Sokół słuchał, cicho, żałośnie kwi-
lił, pękało mu serce i.... nie zniósł ciosu.
W szarzyźnie dogorywał, obudzony nadzieją
chciał żyć, zabił go piorun spadły w promie-
niach słońca.

Starzec zadrgał szkieletem skrzydeł, su-
chy dziób żałośnie podniósł w górę, jakby ło-
wiąc utraconą szczęśliwość, i kwilił skargę....
ostatnią.

Zwalił się w czeluść gniazda... zabity...

Otoczyły go Sokoleta i zawiodły pieśń
żałobną nad swym losem i jego.....

....I że światło jeszcze błysnie, bo słońce
nie zgasło, a młode Sokoły żyją.



TRAGIEDJA CESI.

(URYWEK Z PAMIĘTNIA WYGNANKI).

Archangielsk, 29 Listopada

Jestem już tu od tygodnia razem z Julką i Olską. Przyjechałyśmy pod etapem. Konwojował nas z Warszawy oficer żandarmski, Andrzej Bieruzow. Dziwna i straszna podróż wśród żołdackich pik. Tyle dni bezbrzeżnej tęsknoty za ukochanymi, żalu, goryczy... Od chwili aresztowania naszej paczki, żyję życiem gorączkowym. Wzięli nas wszystkich do ratusza. Badanie, śledztwo. Potem cytadela. Och ten głuchy turkot kół na dziedzińcu cytadeli, dotąd w uszach mi brzmi. Nie wydaliśmy nikogo ale i nie ujrzeliśmy więcej... Tylko z rodziną krótkie pożegnanie w obecności żandarmów. Gdyby nie Bieruzow, nawet rozmówić byśmy się nie mogli. On ułatwił na dworcu pożegnanie z mamą i Jontkiem. Poczciwy! Teraz Jontek pozostał jedynakiem, on się mamą zajmie.

Biedna mama! Jej oczy bolesne, oczy błogosławiące! Szczęśliwy ten, kogo w takiej

chwili żegnają matczyne łzawe oczy. Choć to większa tęsknota, większy żal, że ktoś został i myśli o nas i kocha.

Co oni dziś robią?... Płaczą zapewne wspominając wieczór przed rokiem. Dwanaście miesięcy a ile zmian! Ja w Archangielsku, Staszek na Syberji, mama i Jontek w żałobie po nas.

Pamiętam ten wieczór andrzejek: wylewanie z wosku, palenie kartek... wróżby.

A jednak dziwnie! przecie to tylko zabawa, nikt się tem nie przejmuję, nikt nie wierzy, jednak Staszekowi wylał się z wosku wieńiec cierniowy, a mnie jakieś mury. W kartkach spaliłam się ja i Andrzej... Co za ironia!

Oficer który mię eskortował nosi to imię.

Jeszcze wtedy nie byłam wciągniętą do naszej paczki, nie chowałam proklamacji, nie widywano mię na wiecach. Uczylałam się chcąc zdać na maturę. A teraz?... Staszka za jego odezwy i działalność pędzą na Syberję, nawet nie wiem do jakiej miejscowości. Pożegnaliśmy się w Cytadeli. Mnie rzuciły losy nad Dźwinę północną.... Śniegi i śniegi, lasy, bagna. Dziki kraj.

Bieruzow mieszkanie nam wyszukał. Ja z Julką zajmujemy duży pokój przy rodzinie

Chołmaczowa, urzędnika z admiralicji. Olska mieszka u kupca Kirylicza. Podobno dobrodusznymi ludźmi, namawiają Olską aby sprzedawała ryby w ich sklepie. Pewno się zgodzi, bo... cóż ma robić?...

Ja niespodziewanie otrzymałam ofertę na lekcje polskiego i francuskiego języka. Przyjęłam. Praca ułatwi mi wygnanie, choć przez kilka godzin zapomnę o tęsknocie. Ale zdziwiła mię ofiarność miejscowej inteligencji dla rewolucjonistki. Przeczuję tu opiekę Bieruzowa, nikt mi jednak wyraźnie nie mówi, że te lekcje są z jego poleceń. On jest delikatny, mieszka w hotelu na wprost Chołmaczowów. Na szczęście bywa rzadko. Patrząc na niego, przypominam cytadelę. Julka go nie znosi. Straszne jest widmo niewoli! Od czasu aresztowania minęło trzy miesiące.

30 Listopada.

Już późno. Ja piszę, a Julka leży na łóżku i gwizdże. Jak ona może? wiem zresztą że nadrabia miną. Ona biedniejsza ode mnie, zostawiła rodzinę prawie w nędzy. Sama zarabiała na ich życie, i teraz pozostali bez niej. To okropne! Julka wymawiała mi moje lekcje, ale dowiedziawszy się, że udzielam je tylko w polskich domach, uspokoiła się. U Pogorskich (także zesłańcy) dają dwie

godziny francuskiego; u Stawiczów (inżynier budowniczy) godzinę francuskiego i 2 godziny polskiego.

Pogorska mówiła, że chciałaby abyśmy u nich mieszkali, ale mogliby z naszego powodu mieć przykrości, jesteśmy pod ścisłym nadzorem policyjnych. Bieruzow nad nami czuwa. Gniewa mię jego argusowe oko, lecz nie szkodzi nam, przeciwnie pomaga.

Chołmaczowie dobrzy ludzie, dość prości, bez pretensji, nie mają dzieci, więc cieszą się nami w zabawny sposób i chcą nam dogodzić. Do niego co dzień, przychodzą znajomi na karty, ale grają po drugiej stronie mieszkania. „Eudoksja Iwanówna“ nasza gospodyni tam ich wyprawiała, mówiąc głośno, że tu będą przeszkadzali „polaczkom rewolucjonerkom i dopieroż by Bieruzow nas zru-gał“. Pomimo woli, zaśmiałyśmy się z Julką, tak to zabawnie mówiła do swych gości, w przekonaniu że my śpiemy.

Pada dziś gęsty śnieg, jakby chciał świat zasypać, takie niesłychane lecą płaty równo, cicho. Ach Boże! jak u nas w Warszawie.

Co się ze mną dzieje?... Są chwile że bez namysłu pozbawiłabym się życia. Ogarnia mię już nie melancholja ale rozpacz.

A śnieg wali i wali. Jak tam dźwięczą sanki na ulicach Warszawy? Na ratuszu teraz jedenasta. Niedziela, tłumy się kręcą, idą do kościołów. Mama z Jontkiem są u Koniczek.

Wolę nie myśleć o tem! Boże, ile męki! Czy takie serdeczne ludzkie tęsknoty biegną do siebie przez ponurą dal? Czy spotykają się z sobą, łącząc w mistycznym uśmiechu żale i gorycze?...

Gdybyż wiedzieć?...

15 Grudnia.

Nie pisałam dwa tygodnie, bo o czym?... o własnych bólach?... Odnawiać je na papierze to jeszcze więcej boli.

A przytem... coś ze mną dzieje się, czego pojąć umysłem dotąd nie mogę, boję się zagłębiać w myślach, by nie odgadnąć prawdy.

Ludzie rodzą się na to aby wiecznie walczyć, wieczną z sobą prowadzić kampanię i zawsze rozwiązanie jest nie jasne. Złe i dobre instynkty w duszy, borykają się z sobą, spychają wzajemnie, wygrajają sobie pięściami, szczerzą na się zęby, ale stanowczo żadne nie wygrywa. I ta walka trwa wiecznie. Dobrze, jeśli siła ciężkości spoczywa w dobrych instynktach, źle, jeśli w złych.

Nie śpiam po nocach, słyszę jak dmie

wicher i wstrząsnę się nieraz, okropnie wstrząsnę na myśl, że jestem w Archangielsku. Sta-je przy mnie mara jakaś, gorsza od wygnania, czasem wołałabym kajdany jak niepojęte uczucia.

17 Grudnia.

Julka mię drażni swym badawczym wzrokiem, coś przeczuwa, o czym ja sama nie chcę wiedzieć.

Matuchno! przyszlij mi przez tysiące mil swe oczy błogosławiące, może one obronią mię, może odwrócą nieszczęście, gorsze od wiecznej niewoli. Matuchno!]

19 Grudnia.

Można jednak wytworzyć sobie cudną chwilę, nawet w moich smutnych warunkach. Lecz chyba tylko tam, gdzie wchodzi muzyka.

Taką chwilę miałam dziś, przed zapaleniem lamp. Grałam trochę na rozklekotanym fortepianie Chołmaczowów, ale to mię rozstroiło. Nakręciłam gramofon. Niecierpiałam przedtem tego instrumentu, lecz pragnienie muzyki, jest silniejsze nad uprzedzenie.

Gramofon grał — arję Bacha. Zwykle wrzaskliwy, ten jeden utwór poprostu pieści. Rzewne, pełne intonacji tony płynęły w ciszę i mrok wieczorny, dźwięczną, zda się, aksamitną harmonią.

W melodji tej arji jest coś dziwnego, jakaś prośba do samego wznoszona Boga, jakiś żal drga na pojedynczych akordach i przejmująca skarga, i tęsknota, i ból. Na słodkich i spokojnych dźwiękach, kładzie się gorzka rozpacz, odczuć się daje tragedia bezgraniczna. Słuchając, duch wznosi się hen! na wyżyny, poza chmury i obłoki, gdzie białe skrzydła Aniołów, muskają w złote struny arleonskich. Siedziałem zagłębiona w fotelu, patrząc na świetlany pas, pozostały po zniknięciu słońca. Dokoła kłębiły się ciemne obłoki nocne, tem jaskrawiej uwydatniając promienisty szlak, nie gorący, nie wesoły, nie *nasz*, ale dziwnie smętny, błyszczący suchem światłem, jak zgaszona dusza człowieka. I zdawało mi się, że na tej jasności zjawiają się cienie, uwypuklające me marzenia, lepiej powiem, wspomnienia. Okno Chołmaczowów było dla mnie jakby panoramą na świat mego minionego szczęścia. Miałam wrażenie, że mój duch wychodzi z ciała i płynie na tej jasności, płynie w dal siną, ludząc się że trafi na światło gorętsze, bardziej świetlane, aż po długiej wędrówce, z nadzieją i hejnałem szczęścia, trafia na zbitą masę czarnych chmur. I ginie w nich, jak topielec bez ratunku, nawet z radością że cierpienia ustały.

A dokoła snuły się cienie, zapadał mrok.

Są chwile że się nie czuje własnej istoty, nie czuje się ciała, brak wszelkiej realności, tylko duch potężnieje, staje się tak ogromnym że aż rozsadza ramy warunków i otoczenia.

Czułam że mój duch był tam na świetlanym pasie, skąd mógł widzieć—niebo Warszawy.

— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Przymknęłam oczy i ujrzałam obraz, namalowany sercem, cieniowany tęsknotą. Oto w naszym mieszkaniu w stołowym pokoju, przy lampie, siedzi mama. Siwe pasma włosów srebrzą się w blasku lampy. Oczy zaczerwienione od bezsenności co ją trapi i od leż. Przy niej klęczy Jontek. Tuli swą czarniawą głowę do jej kolan i pociesza, i błaga o spokój. „Staszek—Cesia“ te imiona mama i Jontek zdejmują sobie wzajemnie z ust. Obraz nagle zadrżał mi w oczach, zaczęły do zrenic napływać łzy.

I zmienił się. Widzę Staszka gdzieś

w śniegach i lodach Syberji. Wzrok ma przygasły, bladą twarz. Myśli o nas i tęskni. Ale nie! Staszek nie traci otuchy! On kocha kraj i dumny jest z tego że cierpi za ojczyznę.

Staszku! i ja chcę być silną, łączmy się myślami i nieśmy je wspólnie przez obce kraje, do tej naszej drogiej *matki* za którą cierpimy i do naszej mamy, i Jontka.

Nie chciałam oczu otworzyć, by nie przysnął czar, bałam się odetchnąć, by nie spłoszyć widzenia, tej halucynacji złudzeń.

Muzyka ustała, zaległa cisza, tylko igła na nutach gramofonu zaczęła syczeć przeciągle.

Pomyślałam, że tak się wszystko na świecie kończy. Że jak wyczerpała się nuta, tak wyczerpują się ludzkie uczucia i duch ludzki w walce z przeciwnościami życia. Ale jak po zgaśnięciu melodji, echo gra jeszcze, tak w człowieku jęczy ból, czasem wiekuiście.

Wstałam i znowu powróciłam życie instrumentowi, znowu grał arję Bacha. Gdybyż to i człowieka po agonii, po stracie wszystkich atomów życia duchowego, jakaś ręka cudownie pobudzić mogła, ożywić, dotknięciem ocucić.

Stałam przed oknem. Arja płynęła,

plynęła ciągle, a na niebie wśród szaro białych kłębow, sterował srebrny sierp. Chował się za ciemne zwoje, wdzierał się na ciężkie futra chmur, czasem zrzucił z siebie te ciężary i kapryśnie przysłał się przezroczą gazą obłoczków. Złożyłam ręce i wpatrzona w jasny punkt, szeptałam słowa modlitwy. Księżyc słyszał, rozumiał moją prośbę, niósł ją do Boga, każde słowo cieniował swemi obrotami. Patrzył mi wprost w twarz, jakby z życzliwym uśmiechem, albo z gniewem zasuwał się za ciemny kłęb, lub nagarniał na się szarą mgłę niepewności. Raz na mój szept gorący, błysnął smugą brylantów, cisnął stos światła na mą głowę, aż twarz mi się rozjaśniła. Szepnęłam: Zrozumiałeś — odczuleś? Ale sierp znowu rozwinął błogą chwilę, schował się zupełnie.

Uklękałam wówczas i gorąco westchnęłam do Boga, z prośbą, niemal ze łkaniem, schyliłam się aż do ziemi, błagając. Ujrzałam blask na podłodze. Sierp znowu siał brylanty, złocił się nadzieją, otuchą. W tem zadzwoniono w przedpokoju.

Czar prysnął!

20 Grudnia.

Dziś był Bieruzow. Otworzył mi drzwi jak wracałam z lekcji. Rozmawiałam z nim

w salonie Chołmaczowów. Przyniósł mi paczkę numerów Kurjera Warszawskiego z ostatnich tygodni. Boże! co za wrażenie! Wiadomości z Warszawy! Dziękowałam mu szczerze a on rzekł: „To taka *drobność* a dla pani wesoło“. Po polsku, choć łamane słowa, ale po polsku. Zdziwiona spojrzałam na niego, a on odrzekł: „ja uczę się po waszemu, panno Cecyljo“. Dotychczas mówił mi zawsze „Cecylja Kazimirowna“. Taki miał dziwny wyraz w piwnych oczach gdy ogarnął mnie niemi... Brrr! oficer żandarmski! Nie chcę o nim mówić. Idę czytać Kurjery; skąd je dostał i... czemu sam nie wraca już do Warszawy.

21 Grudnia.

W kraju wre. Ciągłe aresztowania, ciągła walka o byt. Pochłonełam wiadomości, nawet wszystkie ogłoszenia. W nekrologach jest znajome nazwisko studenta, zmarł nagle. Może samobójstwo? chłopak był młody i zdrow.

22 Grudnia.

Pojutrze wigilja w Warszawie.

Radość w szczęśliwych rodzinach, płacz w wielu domach wśród nędzy. Ile niedoli na świecie! Ile łez plynie!

A na ulicach ruch, ciągle wzmożony ruch.

Przed rokiem wyjeżdżaliśmy wszyscy na święta do ciotki. Mama i Jontek wciąż mi są w myśli i Staszek! Boże! On w ciężkich robotach. On! Staszek! Może to tylko straszny sen- mara? Wściekłość mię ogarnia, rozwalilibym świat, byle wyrwać Stacha z Syberji. I nic nie mogę dla niego zrobić, nic. Przecie to gorsze od śmierci!

Julka mi mówi, że nie powinnam go żałować, bo on walczy za kraj, jest bohaterem. Ja to rozumiem, tylko sercem objąć nie mogę. Wszystko się we mnie buntuje, sama do siebie czuję wstręt. Ja co jestem o tyle mniej warta od Staszka, mam mniejszą karę. Ciągle niby wyrzut gorzki, stoi mi przed oczyma postać brata zakutego w żelazach.

Julka inaczej na to patrzy, ona ma twardego charakter, nazywa mnie głupią patryjotką. Może to słuszne? ale ja mam tylko mniej męzne serce od niej, a patryjotyzm równie silny.

I mnie nie mogą ogarniać takie dziwne uczucia?... Takie sprzeczności straszliwe?... Po wszystkim co się stało ze Staszkiem, ja mogę patrzeć na Bieruzowa z życzliwością? Dziękować mu za jego dobroć—żandarmskiemu oficerowi?... To zgrzyt! to ironja!... A jed-

nak cóż nam winien?... Jest rosjaninem i na służbie. Mógłby naprawdę być złym gdyby chciał i miał to w swej naturze. On jest uczciwy, coś ma w sobie łagodnego, pomimo dzikich ognii w oczach. Wczoraj Julka, patrząc przez okno, zawołała nagle: „Bieruzow idzie do nas, wiesz Cesia, że to dziwny człowiek“.

— Dlaczego? — spytałam.

— Ma w sobie coś co bierze — odrzekła Julka. Zauważ tylko jego oczy i straszne i zarazem ładne.

Patrzałam na nią zdumiona. Nie znosiła go przecie, skąd ta zmiana? A Julka mówiła dalej.

— Albo jego brwi... zrosnięte jak czarne łuki.

— Prędzej jak nahajki—odpowiedziałam z gniewem. Rozdrażniły mię zachwyty Julki.

Ona spojrziała na mnie i odrzekła spokojnie, ale ironicznie.

— Czego się dąsasz? wiem że ci się podoba „Andrej Andrejewicz“ ja się nie dziwię, bo on jest typowy. Zupełnie do Bohuna podobny.

— Szkoda że żandarm! — rzuciłam nerwowo.

— A szkoda!—westchnęła Julka.

Nic już nie odpowiedziałam, bo zadzwieczyły ostrogi w przedpokoju. Poznałam kroki Andrzeja. Zastukał do nas.

— Nie można!—zawołałam.

— Przepraszam!

— Cesia! on po polsku mówi—krzyknęła Julka.

— To i cóż!

Julka skoczyła do drzwi, pobiegła za nim do salonu. Słyszałam jak rozmawiali. Ja szarpałam chustkę na sobie. Gniew mię porывał niepojęty. Po kilkunastu minutach weszła Julka, była zmieniona.

— Co się stało?! — zawołałam.

Nie odpowiedziała ani słowa. Podeszła do okna i oparłszy czoło na szybie, stała cicho jakby zgnębiona. Lęk mię przejął straszny. Podbiegłam do niej i szarpnęłam za ramię.

— Julka! nie masz prawa ukrywać przedemną nieszczęścia! mów co się stało?!

— Nic się nie stało złego, tylko Bieruzow to dzielny i zacny człowiek. Powinniśmy go Cesia bardzo szanować.

— Julka, co to?!...

Wzruszyła ramionami.

— Czegóż tak zbladłaś? Ty Cesia nigdy rozumu nie będziesz miała. Powtarzam ci że

Andrzeja powinniśmy bardzo cenić,—to nasz dobry duch.

I ty to mówisz o nim? Ty?...

Julka wyprostowała się dumnie.

— Potrafię ocenić duszę człowieka nawet we wrogu—odrzekła z mocą.

Niczego więcej nie dowiedziałam się. Julka wyszła zaraz do Pogorskich, gdzie młodszym dzieciom udziela początków. Uległa moim namowom, gdyż bezczynność złe na nią działała.

23 Grudnia.

Dziś była trudna lekcja z Anią Stawicówną. Musiałam panować nad sobą by nie rozpłakać się. Taki mię żal dławi, tak mi czarno i pusto. Pusto bezbrzeżnie.

Olska szczęśliwa. Sprzedaje ryby u Kirylicza i mówi że nie martwi się bo i to minie. Obiecuje sobie zarobić, przez te dziesięć lat wygnania i jest pewna że miną one, jak jedna doba. Jak ona może tak filozofować? Nie pojmuję tego spokoju! Może to tylko brawura?...

Rodziny prawie niema, mąż stracony, więc już do kraju nawet nie tęskni. Czy tak można zagłuszyć w sobie uczucia. Nie, jeśli Olska chce nas pocieszać tą swoją filozofią, to się myli. Mnie tylko napawa goryczą.

24 Grudnia.

Dziś wigilja. Dziś mama, Jontek, kraj cały święci ten dzień uroczysty. Skowyczy we mnie wszystko co czuć potrafi, serce struga ostry nóż wspomnień. Taki szalony zamęt w mózgu. Takie młoty, obuchy wala, miazdzą w duszy każdą jej cząstkę. A Staszek zakuty! Żeby mu Bóg na ten dzień odebrał siłę wspomnień! Niechby nie pamiętał że to wigilja! Niechby wpadł w jakiś letarg, cudowny sen, któryby go przeniósł do swoich duchem. Niechby nie czuł tęsknoty. Boże zlituj się nad nim, nad mamą i Jontkiem. Zlituj się nad tymi co dziś cierpią, nad wygnanymi z kraju. Zeszlij im ukojenie.

24 Grudnia, 12-ta w nocy.

Okropnego doznałam wstrząśnienia, dziś, po powrocie od Pogorskich. Oni obchodzą święta starego stylu, więc tylko rozmawialiśmy o kraju, aż do zmroku. Potem wyszłam, chcąc u siebie spędzić wieczór. Julka poszła do Olskiej.

W domu otworzyła mi drzwi „Eudoksja Iwanówna“ z jakimś zagadkowym uśmiechem na twarzy. Gdy weszłam do pokoju, zdrętwiałam z wrażenia. Na środku stała choinka, mała, zgrabna, na wysokim słupku umocowana. Służąca Nadzia, kończyła zapalać świecz-

ki. Nie mogłam pojąć czy to sen, czy to jawa. Tak plastycznie uprzytomniło mi to drzewko kraj mój i rodzinę. Łzy spływały mi z twarzy, nie mogłam wypowiedzieć słowa. Upadłam na kolana przed drzewkiem i załkałam boleśnie.

Nadzia przedtem wybiegła z pokoju. Musiałam długo płakać, bo nareszcie Chołmaczowowa zastukała do drzwi. Chciałam jej powiedzieć za niespodziankę, ale ona rzekła.

— To nie ja, to nie ja, to Bieruzow.

I opowiedziała mi jak on sam choinkę ustawił, świeczkami ubrał i papierowym łańcuchem, a złote orzechy i te „konfiekty“ to zawieszał, to zdejmował, bo się bał żeby się panna Cecylja nie obraziła.

Wzruszyła mnie do głębi duszy dobroć tego człowieka. Stałam przy drzewku niema z radości i różnych stłoczonych z sobą uczuć. Nagle dojrzałam coś białego na słupku.

Krzyknęłam strasznie, był to list od Mamy! Stempel warszawski i adres napisany ręką Matuchny. Nie pytając więcej o nic, rozszarpałam kopertę i klęcząc przed choinką, rozwinęłam list. Wypadły opłatki. Co za szczęście! Czytałam te drogie litery polykając je z chciwością nadludzką.

Mama i Jontek pisali na czterech arkuszach, maczkiem. Dodają mi otuchy, pocieszają, tak słodko mama przemawia i o Staszku mówi z taką boską rezygnacją. Tyle miłości i poświęcenia w jej kochanych słowach. Takie musiały być dawniejsze matki chrześcijańskie, oddające dzieci na arenę męczeństwa. Jontek pisze o sobie że się uczy pilnie i w następnym roku skończy gimnazjum. Daj mu Boże szczęście i hart, aby mama miała z niego pociechę. Droga matuchna! Ile ją kosztują te słowa nadziei, które mi przysyła. Pisze tak: „przetrwaj lata niedoli, — — — — bądź mężną, a wiary nie zgub, bo to skarb nasz najcenniejszy. Gdy Bóg pozwoli ci wrócić po dziesięciu latach, będziesz kobietą trzydziestoparoletnią, więc jeszcze młodą i pełną sił; jeszcze kraj znajdzie w tobie ząną obywatelkę i społecznikę. A ja modłę się gorąco, bym chwili twego powrotu doczekać mogła i uścisnąć cię po dniach rozłąki“.

Na zakończenie Jontek unosi się nad dobrocią Bieruzowa. On podobno pisał do mamy pozwalając na korespondencję ze mną przez jego ręce. Jaki to szlachetny charakter! Jaka delikatność tego człowieka. Sam się nawet nie pokazał tego wieczoru. Są jed-

nak znaczne dusze w ludziach, którzy nas skądinąd przerażają. Nie domyślamy się często, gdzie jest prawość, nawet słodczy charakteru. Bieruzow od początku opiekował się nami serdecznie, strzegł od wszelkich przykrości. I tu na każdym kroku odczuwam jego dobroć.

Gdy nadeszła Julka z Olską, spłakałyśmy się wszystkie przy choince. W ścianach rosyjskiego domu w Archangielsku rozbrzmiała pieśń polska, o narodzinach Boskiego dzieciątka. Dzieliłyśmy się opłatkiem, a lzy żalu jedna przed drugą skrywała. Dziewięć takich wieczorów musimy jeszcze spędzić, w tym północnym kącie. Czy przeżyjem?... Może Olska dobrze radzi żeby najmniej myśleć o przyszłości, bo to niweczy siły życiowe, a przecież powinniśmy dbać o to by zachować zdrowie dla kraju, gdy doń powrócimy. Trudno o taką trzeźwość, trzeba ją posiadać; wyrobić się nie da.

Tęsknota i beznadziejność, wyżera istotę człowieka w barbarzyński sposób.

Czytałam list Mamy Julce i Olskiej i one się spłakały nad nim, a Julka mi powiedziała z zapalem.

— „A widzisz Cesia? mówiłam prawdę, Bieruzowa trzeba cenić“.

Pytałam ją, czem Bieruzow ją zjednał wówczas w salonie, odrzekła bez namysłu.

— Swą szlachetnością. Dowiedział się że ma być u nas rewizja, policję widział przed domem i ostrzegał nas. Jest tu jakiś oficer z admiralicji, który nie lubi Andrzeja i nas śledzi, prawdopodobnie zechce nam dokuczać przez złość dla Bieruzowa.

Zaniepokoiłam się tem, a Olska rzekła.

— Ta opieka Bieruzowa nad nami, jest podejrzana. Tu wchodzi w grę coś innego, niż prosta uczciwość. Ja trochę domyślałam się.

Nie pozwoliłam jej dokończyć; przeczułam dalszy ciąg jej słów.

Boże mój! Czyżby to była prawda?... Nie, nie, jaknajdalej z podobnemi myślami! Niszczyć je zawzięcie, jak gady kaśliwe, by się nie rozmnażały. Przesiedziałyśmy we trzy, aż do tej chwili. Olska przyniosła jakichś rybek i herbaty. Urządziła nam wieczerzę. Bawiła nas krzątaniem się przy spirytusowej maszynie.

Teraz Olska śpi na mojem łóżku, Julka drzymie i nuci kolędy.

Cisza wielka, wszystko dokoła śpi. Czy wszystko? Uczucia chyba nie znają snu. One błędzą stale w atmosferze, choć nie pobudzone umysłem. Dusza ludzka nie zna snu i ser-

ce nie zna, ono bije zawsze. Nad uszpiem ciałem błądzi moc uczuć, z serca wyciekłych, błądzi i gna w strony ukochane przez jaźń duchową i dosięga serdecznych strun i gra na nich. Tak, uczucia nie śpią. Tworzą sny, tworzą mary, abstrakcyjnie pływają w przestworzu, dopóki umysł ocknięty nie zgromadzi ich w jednolitą całość.

Na ulicy gdzieś słychać szczekanie psa... Jak przed rokiem na wsi u ciotki, tylko świstka nocnego stróża nie usłyszę tutaj.

Chciałabym zamienić się w Niedźwiedzia i zasnąć twardo na tę zimę mego życia; obudzić się, aż kiedy znowu słońce wzejdzie.... Za dziesięć lat. Czy ja spokój odzyskam? Czy ta newroza jest u mnie czasem przejściowym?... Czy będzie trwać?... To byłoby okrutne!

Karzę siebie za taką słabość i brak odwagi. Mama staruszka już i tyle ma hartu w duszy. A ja mając dwadzieścia parę lat, chcę jakiegoś zaniku byle nie cierpieć? Chcę doczekać słońca bez męki?... Egoistką jestem, nikczemną!

Moja dola jest jeszcze promienną w porównaniu z nędzą Staszka. On listu od mamy nie otrzymał, on cierpi najwięcej. A ja chcę spać byle nie czuć niewoli?...

Wstydzę się za siebie!

26 Grudnia.

Drugi dzień świąt. Zagłębam się w ponure myśli aby choć odrobiną zbliżyć się w cierpieniu do cierpień Staszka. Ta choinka i list mamy to dla mnie gorzki wyrzut. Czemuż ja tego przesłać nie mogę Stasz-kowi?...

27 Grudnia.

Coś nowego! Dręczy mnie jakaś kolizja niepojęta uczuć, wrażeń przestraszających. Obawa własnego cienia i najbliższej przyszłości.

Czy można stanowczo zawładnąć nad swemi myślami i uczuciami?...

Nie! Największa siła woli i gmach postanowień nic nie znaczy wobec tej potęgi wyższej po nad wszystko, co nam je nasuwa.

Serce jest władcą ducha ludzkiego, ono zbiera uczucia i rozprasza je. A siła, energia?... jest dla pobudzania mięśni, może i umysłu? Lecz nie dla uczuć.

Może być *energja* czynu, a *moc* ducha.

Więc się nie obronię? To mnie przeraża, jak jeszcze jeden bardzo ostry młot mego nieszczęścia.

1 Stycznia!

Nowy rok. Smutne niesie nam horoskopy. Nam wygnankom. Otrząsam się z nawału ciężkich myśli. Tak dłużej trwać nie może. Po za godzinami lekcji siedzę u siebie i rysuję. Z kart pocztowych z widokami Warszawy, które znalazłam u Pogorskich, przerysowuję na duże kartony. Mam już plac Teatralny, z gmachem teatru i Łazienkowski pałac. Wszystko to teraz pokryte śniegiem. Rysuję z myśli różne zakątki naszego mieszkania, powiększam fotografie moich najdroższych. Tęsknoty to nie osłabi lecz zabija czas i przenosi do swoich. Czytam dość wiele. Pogorscy mają polskie książki.

Zwalczam w sobie tę przeogromną nudę, która zdaje się iść do mnie przez stepy i pola śniegiem obrosłe. Jęczy mi głuchy dzwon w mózgu i tak kołacze, aż ból fizyczny odczuwam. I myślę. Myślę nad tem poco w duszy człowieka żyje uczucie patryjotyzmu? Po co ta świętość poczyną się jeszcze w dziecinem łonie i rośnie i potężnieje? Poco?! By jeden wybuch tego ognia, jeden błysk wyszły z poza obowiązkowej powłoki, niewczył cały plód? Takiej potęgi nie można w sobie zamknąć, bo gdy jest potęga — musi być zapal, a zapal jest głośny i jasny, daje

4 Stycznia.

Była dziś u nas rewizja. Oficer z admiralicji działa na naszą niekorzyść. Ale Bieruzow był na kilka minut przedtem i schował w kieszeni szynela, mój dziennik, oraz listy z Warszawy. Kurjery nam zabrano.

Bieruzow oddając mi paczkę ocalonych papierów, rzekł po polsku: „Niech się pani nie boi, ja pilnuję, krzywdy wam nie zrobią“. Tak przytem dziwnie patrzy. Boję się tych oczu.

5 Stycznia.

Ciągle prześladowają mię oczy Andrzeja. To jakieś przekleństwo!

Co się ze mną dzieje? Co się we mnie poczyna?...

Ach te oczy!

Podła jestem! podła!

25 Stycznia.

Nie mogę pisać teraz. I pragnę tych zwierzeń serdecznych i odpycha mię od nich—strach. Dziwny strach! Mara! Boję się spojrzeć w oczy tej bestji, która już we mnie rozwiemożnia się, którą już odczuwam. Ciężarem osiadła na mem sercu; kaleczy je do krwi. Julka milczy, rozumie wszystko ale milczy. Och! lepiej by mnie wybiła!

Od mamy i Jontka znowu były długie, długie listy.

Matuchno!

30 Stycznia.

Czy wy wiecie, co to jest wygnanie i ta długa zima na północy? Nie wie tego ten, kto szczęśliwy. Ale niedoła nigdy sama nie chodzi, zawsze w parze, zawsze wlecze za sobą inną, czasem gorszą jeszcze i okrutniejszą. I ze mną poszły dwie. Jedna żre duszę, druga serce. Piekielne twory! Zima na wygnaniu, w Archangielsku! Te noce nieskończone, mróz, albo monotonne mamrotanie wichru! Coś wówczas za włosy porywa, rozczątkowuje nerwy.

Bezmiar, bezmiar smutku!

Noce najgorsze! Przewalają się leniwie, łązą ciężkiem cielskiem po duszy ludzkiej i omaszczają rozpaczą. Wolno kąpią godziny brzemiennie w tęsknotę i straszną niemoc. A wiatr suwa się po szybach okien, tak po nury.

Ten wiatr Bóg wie skąd przywędrował tu do Archangielska. Tłucze w okna, a mówić nie umie. Może to on był w Warszawie? Może wiał tam na ulicach naszych? Może szeleścił nagiemi gałęzmi drzew w Łazienkowskim parku? Może w Wilanowie buszował,

na Wiśle ze śniegiem się borykał? A potem... potem zajrząwszy do dziedzińców cytadeli, jęknął z żalu i ruszył odwiedzić tych, co płaczą, co tęsknią—wśród śniegów północy. Odwiedzić zesłańców. Chodź wietrze, chodź! Może otuchę niesiesz? Może w twym szumie usłyszę jeszcze niezgubiony po drodze, jesien-ny bełkot fal wiślanych? Może niesiesz ostatni zew katedralnych dzwonów naszych. Może płacz dzieci, którym zabrano rodziców. Wietrze, mów wiaterku! dotknij mego czoła i wygraj smętną melodię zdjętą z bruku Warszawy. Niech ja się nią upoję.

Wietrze, dotknij mej skroni, rozpalonej tęsknotą. Niech ona upieści się twem głaskaniem, niech mam ulgę w myśli, że to nasz powiew rodzinny muska mię łagodnie i tak słodko.

Widzę w marzeniach swych nocnych, nasze łąki, usiane złotogłowiem kwieciami. Zanurzam się w nich, pławie w kwiatach, niby w szumiącej fali jeziornej, gdzie przeglądają się obłoki. Nagarniam na siebie snopy traw i piję ich rzeźwość. Błękitne niezapominajki, otwierają szeroko swe ciekawe źrenice, patrzą na mnie i szemrzą swą wiekiustą pieśń wiosenną, którą motyle na skrzydłach rozpoznają. Słodczyć miodowa sączy się z pod traw,

z pod kwiatów, idzie ona wonna i ożywcza, słodczyć ziemi naszej drogiej, słodczyć upoistą.

A taka bezbrzeżnie tęskna.

A taka promienna.

Idzie ona za nami do murów Warszawy, przyjeta radośnie, przez serca, co ją kochają. Ochładza czoła uznójone, rozszerza piersi, ściśnięte miejską dusznością.

A zwie się tam—odczuciem ziemi.

Idzie ona i dalej, śladem swych dzieci.

Idzie do pustyń upalnych, za ocean, gdzie polskie siekiery pracują, dla chleba, niweczając bory dziewicze.

A zwie się tam — nostalgją.

Idzie do ludnych miast obcych, gdzie w cuchnących tłoczniach fabrycznych, wśród dymu i sadzy, wsącza się w dusze wychudłych robotników, dążących po pracę, z ubogich zagonów ojczystych.

A zwie się tam—nostalgją.

Idzie ta słodczyć nasza ukochana, do czarnych kopalni, gdzie w czeluściach ciasnych korytarzy, ociekając potem, ze zgietemi grzbietami, ciągną mozół przestraszny tłumy napół żywych istot, z gleby swej za bytem tu przygnanych.

I tu zwie się—nostalgją.

Idzie ona do nas, zesłańców za miłość dla niej, do pustyń śnieżnych, do robót ciężkich, do wątłych ciał biedaków opasanych żelazami, z brzemieniem taczek za sobą.

A zwie się tu, — już nie tylko nostalgia, ale rozpaczna tęsknota, — — — — —
— — — — — i bezkreśną miłością

O łaki nasze złotogłowiem kwiecia usiane! Tak was kocham!

A tu śnieg! śnieg! śnieg!

Mróz ścina oddech i lodem osiada na duszy.

Tylko serce nie zgasi.

Ono żyje, tętni i kipi żywą krwią.

2 *Lutego*.

Dziś Niedziela. Był u nas Bieruzow, całe południe. Siedziałyśmy z Julką w salonie, a on opowiadał o sobie. Urodził się i wychował w głębokiej Rosji, i tam wstąpił do służby żandarmskiej. Mówił, że dopiero w Warszawie, gdzie go przeniesiono, odczuł całą okropność swego stanowiska. Chciał już wystąpić, gdy oddano mu nas w opiekę. Wzbraniał się, nie chciał, ale po ostatniem śledztwie, na którem był obecny, zdecydował się odrazu.

„Ja bał się, żeby wam do konwoju nie dali jakiego *grubego* oficera, tak już wołał sam.

No, bo mnie i pociągnęło za wami strasznie, prosto za serce chwyciło, a tu myślę takie delikatne panienki, a Boże broń czego?... Ot, ja jużby nie dopuścił krzywdy“.

Mówił tak, patrząc swemi przepaścistemi oczyma na zamglone od mrozu okno, i wolnym ruchem gładząc brodę.

Jakaś melancholja była w całej jego postaci i przygnębienie, odrzynające się dziwnie od jego energicznych rysów.

Siedziałam w kącie staroświeckiej sofy, otulona w szalu i patrzałam na niego. Patrzałam jak przykuta, a zupełnie bezwolnie. Rozbudził mnie szyderczy głos Julki: mówiła do niego.

— Czemu pan do Warszawy nie wraca? Przecie panu nie kazali ciągle nas pilnować.

— Nie, nie kazali — odrzekł cicho po długiej chwili.

To czego pan tu siedzi?...

On spojrzał na nią spokojnie, bez uśmiechu i rzekł, jakby zdziwiony.

— Panna Julja, to *widno* tylko co narodziła się.

Tyle było prostoty i szczerości w tych jego słowach, że Julka zwykle obraźliwa, tym razem uśmiechnęła się łagodnie.

Mnie jakiś skurcz ścisnął serce.

— Oho! nie wiadomo, kto z nas głupszy dzieciak, zażartowała Julka.

— Głupszy to może ja, ale wy napewno większe *ditia* ode mnie — odrzekł Andrzej.

— Dlaczego?...

No bo jakże! Nawet i tego nie rozumiecie czego ja tu siedzę; a jaż nie chodzę w masce.

Wstał i zaczął się zegnać. Do mnie zwrócił się ze słowami.

„A panna Cecylja to milczy i milczy, nie laskawa na mnie“. Boże mój! Duże jego oczy zaszyły powłoką smutku. Nie chciałam widzieć i... jednak widziałam. Powtórzę za nim: — Boże mój! ale dodam: ratuj mnie!

5 *Lutego.*

Nie śpiam nocami. Mordują mnie różne widziadła, okropne, podle lecz i... takie słodkie. Im są słodsze, tem podlejsze, im rozkoszniejsze, tem śmielsze. Z głowy mej wypływają strugi myśli obłądnych, wprost czasem tyranicznych. I pełzną! do najtajniejszych skrytek serca. Po złodziejsku się do niego skradają chcąc mu wyžreć tajemnice i może zbeszcześcić. Bo myśl z uczuciem nie zawsze jest zgodną. Myśl jest już odruchem rozumu. A rozum to wielki pan, głup-

szy lub mądrzejszy, ale zawsze wyrachowany, sztywny; umiejący zatrzymać się z ręcznie na progu, gdy widzi, że po zanim jest nieodpowiedni teren, dla jego dostojnych nóg. Umiejący nie wyciągnąć ręki do skaleczonego biedaka, nie dotknąć łachmanów żebraczych, aby nie psuć sobie spokoju i nie powalać rąk. A uczucie, to proste pacholę wieśniacze, o ufnych, jasnych żrenicach i pełnej piersi dobroczynnych tchnień. Ono swobodnie idzie w przestwór, gnane tęsknotą, zanurza się w kwieciu, kłosa zgarnia na swą głowę, tuli do się wszystko co biedne, co łaknie. Ono brodzi nieustraszoną stopą, wśród lasów ciemnych i ciernistych, wskroś bagnisk nieprzebytych, wskroś płaczących łjanów niedoli. Wciąż dąży do jakiejś wizji urojonej i przeczutej która stać się może ukochaniem jego, pulsem jego życia. I gdy dosięgnie nareszcie, nie zatrzyma się na progu. Choćby ten próg nabit był ostremi ćwiekami, choćby go poranił, pachole ufne, szczęśliwe, stapa śmiało, zwyciężko idzie naprzód i osiąga — marę lub cudną prawdę.

Uczucie dotknie się najbrudniejszej istoty, gdy widzi że ona cierpi, a nawet gdy wprost intuicyjnie przeczuje w niej coś co nie mówi, nie błyszczy, ale jest, żyje i odczuć się

daje. Wszystko, co odczuć się daje, warte jest odczucia, wszystko, co intuicyjnie odgadujemy, ma w sobie moc. Bierności nie odczuujemy — chyba w ten sposób jak kamień, gdy go usuwamy z drogi. Ale i bierność ma swą filozofję.

Nie być. Może to największa prawda życiowa? może w tem koncentrują się wszystkie rozumy i przemyślenia, przetrwania najistotniejszych dogmatów. Może to jest właśnie zdobycie wszechwiedzy i wszechrozumienia ludzkości?

Nie być.

Kto sobie tak powie i tak trwa, ten jednak zdobył jakąś prawdę, i ona mu mówi że walka — to nicość, że praca to nędza, że ideał to złuda, że myśl — to strata czasu, a uczucia—miraż, a rozum — głupota.

I gdy dojdzie do takiej syntezy, oczywiście samą siłą zdobytych faktów, popada w bierność, trwa w niej i nawet rozkoszuje się nią.

Ale czy pozbywa się również ironji? Czy też ona zostaje w popielisku jego idei, i przez nią patrzy na ludzkość, borykającą się, wznoszącą i ginącą, ze śmiechem szyderczym, jakby mówił: „kręćcie karki, i was przegryzie rdza mojej filozofji i wy osiędziecie na

mieliznie bierności, bez pragnień zepchnięcia się z niej“.

Nie, jeśli absolutna bierność, więc i pozbawiona ironji. To stolek — przed którym fikają kozły, tańczą, płaczą, kołki na nim ociosują, siadają nań, rzucają w ką, dywanami przykrywają, rozkładają na nim drogocenne dzieła naukowe i dzieła sztuki, ryby skrobą, a on nic, zawsze ten sam—niemy stolek.

Więc cóż jest bierność? największa mądrość, czy największa głupota? To coś trzeciego, całkiem odrębnego, to stoi po środku mądrości i głupoty zażywiane sokami jednej i drugiej. A znowu — jeżeli bierność, więc nie może być odrębną?

To jest — rodzaj nijaki. Daleko odbiegłam od uczucia, a przecie bodaj czy ono nie jest również w pewnych warunkach zbliżone do bierności. Nie rzeczowo — ale podobieństwem środowiska. Bo i uczucie to wytwór zasilany w równej mierze potężnym źródłem największej mądrości, i żyłą pędzącą muł z dna głupoty.

Więc moje uczucia?

Oh! nie mówić o nich! nie mówić!

8 Lutego.

Staram się zagłuszyć w sobie wszystko,

co czuję i myślę. Chcę być głazem. Chcę być — biernością.

Dzień za dniem przechodzi bez różnicy zewnętrznej. Codzień śniadanie, obiad, kolacja i znowu śniadanie, obiad, kolacja. Odbywam lekcje, rysuję i czytam. Zaniechałam wstępowania do kościoła, bo chłodna cisza panująca tam i stygmat świątyni, przenosi mnie do Warszawy, a przytem budzi rozpacz. Rozpacz mego obecnego istnienia, mej targaniny wewnętrznej, którą chcę zadławić dośzczętnie.

Z Julką rozmawiamy ostrożnie, bojąc się naruszyć jakiej struny bolesnej dla mnie. Za to chodzę często do Olskiej. Patrzę jak ona waży ryby, jak je układa, i mówi bez przerwy. O czem mówi?... O kundmanach Kirylicza, o gatunkach ryb i w ogóle towarów, a razem o naszej tu podróży, o cytadeli, o Warszawie. Przeskakuje z tematu wielkiego na temat płaski, jak wiewiórka z niebotycznego dębu, na śmietnik. I tak samo, jak wiewiórka, gryzie orzechy najgłębszych zagadnień, z filozofją ostrych zębów, jak i te z półki Kirylicza, które wciąż miażdży w ustach. Płytkość wieje od tej kobiety, drażniąca nerwy. A pomimo to, gdy siedzę u niej lżej mi jest, bo rozmyślając nad nią

i badając ją, zapominam o tem, co nurtuje własną duszę. Z Julką, Olska się zawsze kłóci, a na mnie mówi, żem „zamarynowana w smutku“. Wyrażenie iście kupczychy rybnej, ale wybaczam jej bo każdy na swój sposób biedę znosi.

Zresztą Olska, to z gruntu dobra dusza, a że prosta i bezucuciowa, to może właśnie dogmat jej szczęścia.

Oto jest już dobry typ bierności.

22 Lutego.

Przeżywałam dnie zmagania się straszliwych, jakbym błędziła wśród puszczy, gdzie czycha tylko niebezpieczeństwo. Na ziemi gąszcz splątana i dzikie bestje, na drzewach kaśliwe węże truciele. Żadnego wyjścia z tej otchłani poczochranych wrażeń, z tej masakrowanej niemiłosiernie geheny uczuć. Puszcza nieszczęścia stoi przede mną otworem. Zieje z niej do mnie parzący war jak z huty piekielnej, słyszę kłapanie wilczych kłów na mnie ostrzących się. Zamykam oczy, zatykam uszy i nic nie pomaga! Puszcza przeraża mnie, zbliża się nieubłagana by mnie pochłonać. Nie mam sił by się bronić i już się... nie obronię.

Każdy nerw, każda żyłka krzyczy we mnie protestem, a ten żar zabijający ciągnie

przemocą niesłychaną i wchłania mię wolno po atomie, zda się, ale stale, ale okrutnie.

Wylałam dziś przez sen, konwulsyjnie płakałam. Zbudziła mnie przerażona Julka. Podbiegła do mnie.

— Co ci to Cesia? Dziecko, cicho!

Jeszcze drżąc, prawie bezprzytomna ze wzburzenia, wysunęłam się z łóżka i runęłam do nóg Julki, Za to jedno słowo—dziecko—za ten jeden dźwięk! Całowałam jej ręce, łzami je oblewając. I skarżyłam się jęklawie i błagałam o ratunek. Czułam jak przez mgłę, że się zdradzam, ale potoku skarg wstrzymać nie byłam w stanie. Musiałam jednak coś wypowiedzieć strasznego, bo Julka zamilkła, tylko tuliła się mocniej i lży jej ciekły na mą głowę. Tuliła mię jak matka i ja się do niej garnęłam, jak do swojej matuchny. Ułożyła mię łagodnie na pościeli, ale już zasnąć nie mogłam.

Mój sen stał mi ciągle krwawą łuną w oczach.

Byłam wśród zesłańców; w kopalniach Nerczyńskich, widziałam Staszka, ale jak?.... Patrzył na mnie karcącemi oczyma i wskazując mnie innym, mówił z goryczą.

— „Patrzcie! oto wyrodna córka, polka, patryjotka, a w sercu nosi żmiję i hoduje ją

miast zadławić zanim wyrosła. Patrzcie w jej duszę!—jakie się tam potwory legną, widzicie jej uczucia spodłone, w bezwstydy unurzane! Patrzcie to Polka“!

Staszek tam mówił, a oni wszyscy okuci w żelazach spoglądali na mnie ze smutkiem bolesnym i lży im padały na szare więzienne sukmany. Stałam jak przed własnym szafo-tem, z głową zwieszoną na piersiach. Rzuciłam się do nich, nogi im całowałam, bo na tych stopach odczułam zebrany pył nieszczęść ojczyzny. O litość ich błagałam. „Nie potępiajcie mię, jam nie winna; ten gad wyłgł się bezwiednie w mem sercu. Ono kochało tylko ojczyznę i za Nią cierpiało. A ta nowa jasność zgrzytem mię przejęła... Staszek podniósł nade mną przeklinającym ruchem ramiona.

„Ona tę ohydę jasnością nazywa! Potępiona, potępiona“!

I nie było dla mnie ratunku, nie było litości. Przeklinali mię bracia, mnie wygnankę taką jak oni.

Wołałam matki, ale nie przyszła i ona mię przeklina!

Wtedy zaczęłam wyć z bólu, rozpacz, co mi jak hiena wyżerała serce.

Przeraźliwy sen. Tragiczny sen.

Na drugi dzień byłam chora, miałam gorączkę, Julka nie puściła mię z domu. Ale nie leżałam. Tłukłam się po pokoju, jak zwierzę w klatce, chciałam samą siebie gryźć by fizycznym bólem zagłuszyć cierpienia duszy. Julka mię łagodziła, przemawiała do mnie serdecznie, ale to nie pomogło. O tem co bolało mię w istocie, milczyłyśmy obie.

Po obiedzie, którego nie jadłam, zastukano do drzwi. Weszła Chołmaczowa mówiąc, że przyszedł Andrzej.

Zadrżałam, musiałam zmienić się na twarzy, bo pocziwa ta kobieta zaczęła się o mnie troszczyć i radziła wezwać doktora. Nareszcie wyszła, Julka z nią. Słyszałam głos Andrzeja. I on o doktorze mówił. Słuchałam z napięciem, troskliwych jego słów, chłonełam w siebie głos niski a smętny, jakby zgnieciony teraz. Nie wiem jak to długo trwało, tylko uniesiona byłam w zaświaty. Archangielsk, wygnanie, cała przykra jawa, zapadła się gdzieś bez śladu. Brodziłam w pysznym gaju róż, obficie zroszonym rosą słoneczną. Słuchałam jak krzewy szepcą, tym niskim, smętnym, jakby zgniecionym głosem. Taki płynął spokój, taka upoista cisza i — ten głos.

Aż nagle, dźwięk ostróg w przedpokoju,

głos żaloszny, ale już inny, już zbyt wyraźny. „To ja będę czekał. Jakby Boże broń gorzej“.....

— Dobrze! zawiadomie — odrzekła Julka. Żegnają się, szcęk drzwi. Wyszedł z piorunową szybkością i mocą; powrócił znów do myśli mych Archangielsk, Nerczyńsk, wygnanie, przeklinający brat i.... oficer żandarmski.

Spazmatycznie trzęsłam się, szarpałam jak w ataku wściekizny. Julka weszła i bez słowa położyła swą dłoń na mej głowie.

Nie mówiłyśmy do siebie nic.

25 Lutego.

Miałam dziś listy od Mamy i Jontka. Nie domyślasz się mamo, co się tu ze mną dzieje. Nie trzeba żebyś wiedziała. Ja jestem zbrodniarką.

Andrzej przyniósł listy. Nie było nikogo prócz mnie. Oddał mi paczkę i spytał o moje zdrowie. Długo patrzył na moje podkrążone oczy, na błądź moją i wahał się. Chciał coś mówić ale się wahał.

Ja wreszcie prędko skończyłam tę chwilę żegnając się. Ucałował moją rękę w milczeniu. Żar, żar jego ust. Spuściłam głowę i stałam jak po wymierzonym policzku, bo mi ten pocałunek odjął władzę nad sobą. I prze-

raził i wstrząsnął, i krew napędził do serca. On stał także. Nie wiem gdzie nasze oczy błądziły. ale musiały się spotkać w jakiejś przestrzeni i zatonać w sobie. Odczuwałam wulkan jego żrenic, choć nie plastycznie. Znikł jego mundur, znikło jego stanowisko, pozostał tylko on sam, jego oczy i dusza dziwnie jasna, dziwnie promienna, która mie brała w siebie żywiołową mocą.

Ja pierwsza się ocknęłam. Znowu Ner-czyński! Odeszłam.

Widziałam go jak szedł przez ulicę. Głową miał zwieszoną, chód ciężki.

28 *Lutego.*

Człowiek to bardzo słabe i ułomne stworzenie. Nie jest w możności zatrzymania fali swych uczuć, gdy ta rośnie, nie zdoła skierować umysłu na inny brzeg, gdy ten pędzi wprost na skały.

Nędzny taki byt — bezwolny.

Ja byłam silną, miałam hart. Gdzież się podział?...

Znikł, znikł. Tylko uczucia rosną i już są przeogromne, mocarze.

Byłam w kościele. W bocznej nawie klęczałam. Msza się skończyła i cisza wionęła taka przeuroczysta. Pogaszono światła. Stuk zamykanych drzwi od zakrystji uderzył

ostro w sklepienie, rozbił się tam i echem przypadł do murów.

Zatuliłam się w kołnierz futra, twarz schowałam w mufkę i siedziałam cicho z natłokiem myśli, które tu jakoś zlagodniały. Miałam wrażenie jakbym po wrzaskliwej orgji sępów i jastrzębi weszła w stado białych gołębic, słodko gruchających. Białe pióra łagodnie szemrały, cichą pieśń, jakiś nokturn melodyjny, otaczał mnie i kładł do duszy rozwite gałęzie wonnych lilji. Powiewały nademną kwiaty. Błogość nie ziemską wsnęła się do żył rozpalonych męką, rozpuszczała zbite kawały serdecznej krwi, pieściła ją, mieszając z nektarem błękitnym wielkiej szczęśliwości. Pulsa moje były równo i słabo. Pogoda błysnęła po burzach, pogoda słoneczna

Pachnąca świeżością przestworów powietrznych, okraszona cudowną tęczą, nabraną kolorami, niby czara najdrogocenniejszych farb, zapożyczonych od słońca i gwiazd.

Tęcza ciężarna wielką nadzieją.

I wraz z nią i wraz z lutnią słowiczych pieśni, wzięła mnie ta przedziwna pogoda w swe zakłète kolisko.

Cisza pobożna, cisza anielska.

Wyratowałam się.... wyszłam z gniazda os zjadliwych, jestem oto wśród łątek, świecą-

cych skrzydełkami z kryształu, wśród cichej chmurki motyli, bujających nad roztoczą błękitno seledynowej fali. Czuje ukojenie i szepoty łagodne. To drobne falki szeleszczą w siewie: Czasem w tę ciszę boską, niby błyskawica, wpadnie myśl nagle i zmać ją. Jak szybki ukośny lot jaskółki, co spadając raptownie pomiędzy motyle, piersią swą roztrąca je i burzy na chwilę gładką toń wodną. Tylko na chwilę. Znowu spokój, pogoda, radość.

Uczucia me, zmordowane walką, targaniem się beznadziejnym, wypelzły na słońce tej pogody wewnętrznej i piły rozkosz, piły żarłocznie słodycz po goryczy. W całej istocie rozlał się przepiękny, dobry spokój i prądem silnym płynął. Burzył się radością. Więc minęła niedola duchowa? Już przebrnęłam nędzę największego swego bytowania?..

Szczęście niezmównane!

Wszystko przetrwam, przeboleję, byle w tej pogodzie nie zaćmił się jeden blask, byle jedno skrzydełko kryształowej łatki nie zwisło umarłe, byle cisza się nie zmać.

Trwam w niej, trwam. Tak dobrze.

Usłyszałam czyjeś kroki. Ktoś idzie przez środkową nawę, cicho, jakby się skradł. Nie otwieram oczu.

Może zakrystjan zamyka kościół?... Niech zamknie. Tak mi tu dobrze. Nie spojrz, nie zobaczy mię i odejdzie. Kroki ucichły. Ktoś stanął na wprost ołtarza.

Boże! gdybyż mię nie dojrzał! Powiem że chcę się jeszcze modlić.

Słyszę westchnienie. Co to?! Westchnienie ciężkie skolataney piersi. Westchnienie zrodzone z bólu, westchnienie tragiczne.

Co to?... Jakieś znajome jest mi to westchnienie?!

Otworzyłam oczy.

Chryste! To Andrzej stoi!

Mocno zacisnęłam powieki, ale jakaś potęga wewnętrzna rozwarła je znowu.

Andrzej! Andrzej! Przy barjerze od prezbiterjum. On! On! Stoi pochylony z głową schowaną w dłoniach. I to westchnienie! Jego westchnienie. Takie ciężkie!

Zlituj się Boże wszechmocny!

Huragan zawiął, zmać pogodę! Rozprysły się łatki. Tęcza zczerniała, rozpadła się i jęła kapać na ciszę moją wielkimi krwawymi łzami. Całą swą barwę w te łzy skupiła.

Fala z błękitnej siną się stała, potworną i bryzgać zaczęła brudną pianą i pluć i ryczyć zajadle. Gromy się jakieś odezwały

w mem sercu. Ból przyczajony runął na nowo i darł mi żyły, i kapał się we krwi, co jak wartki strumień buchnęła we mnie.

Nadzieja, spokój, błogość tylko co odczuwana, stała się utopią, śmiesznością.

Rozpacz powróciła straszna, ironiczna.

Zlituj się Boże wszechmocny!

Patrzę, patrzę, jak oczarowana.

On pochylony bez ruchu.

Czy modli się?...

Prawosławny!

Nowy kolec w serce, zatruty kolec.

Nie pytam siebie, czego tu przyszedł?...

To konieczne, to naturalne!

Musiał przyjść, musiał zmącić tę pogodę słoneczną.

Musiał.

Może to wizja? Czego on taki czarny? Jednolicie czarny od stóp do głów. Nic się na nim nie błyszczy.

Ale to nie wizja, On sam. On najwyraźniej. Boże mój! nie śpię, to nie sen.

Znowu sen, znowu Nerczyńsk!

Zatargało mną. Za nic dłużej tu nie zostanę.

Wstałam cicho. O gdybyż nie słyszał.

Szłam wolno, boczną nawą, sunęłam niby cień. Usłyszał. Idzie za mną. Nogi mi

ciążyły jakbym miała obuwie z kamieni. Idzie, już jest blisko.

Zachodzi mnie z boku, idzie środkową nawą

Nagła myśl: uciec do zakrystji i stamtąd na ulicę. Nie dogoni, nie trafi.

Ale i ja nie trafię, pozamykane.

Na nic, na nic wszystko! Stanął obok mnie. Pochylił głowę w ukłonie.

Czego on taki czarny, cały czarny?

Już stanęliśmy przy drzwiach. Umoczyłam palce w kruży z wodą święconą i... podałam jemu. Był to ruch mimowolny. Przeżegnałam się, on dotknął palcami swego czoła.

Wyszliśmy na ulicę. Śnieg, zadymka, i chłód. Nie widać świata po za gęstą zwałą śnieżycy. Szłam jakby niesiona, z twarzą ukrytą w mufce. On obok mnie. Taki wiatr, że nie słyszę jego ostróg, nic nie dźwięczy, szpada nie sunie się po ziemi. On idzie cicho i patrzy na mnie.

Jak długo to trwało? Może wieczność?... Śnieg ciepłał mię w twarz, wicher północny dał tamując oddech.

Dziwna plastyczność niektórych szczytów a mętńia innych.

Oto wiem, że dmie wiatr północny, wiem na jakiej jestem ulicy, poznaje domy. Ale kto

idzie obok?... Mąci się Tak, to on, Bieruzow. Czy tylko on istotnie, czy duch, czy wizja?

Idziemy długo, bez słowa. Dlaczego ja nic nie mówię?... to głupie. Co on pomyśli?

Śnieg, śnieg, zda się, nieprzebyty. Jakiś dźwięk nagły i ostry. Pewno szabla i ostrogi Andrzeja?

Nie, to sanki przemknęły, ruska „trojka“. Jakiś tegi „jamszczyk“ na kozle, lisia czapa, wyciągnięte jak struny ręce. To nie, jak nasi dorożkarze.

Jakiś plac—może Teatralny?...

Podnoszę oczy. To Archangielsk.

Mroczy mi się w głowie.

Nagle poślizgnęłam się, prawie uklęknęłam na śniegu. Nim zdołałam krzyknąć i pojąć co się stało, silne ramiona uniosły mnie delikatnie, jakby bez dotyku. Na moment jeden owiało mnie gorąco. Zadrżałam. To on się pochylił podnosząc mnie.

Nie pamiętam czy mu skinęłam głową, czy podziękowałam? Stałam już przy swej bramie i to spostrzegłam.

W tem jakiś śmiech. Śmiech szyderczy, mrozący, jak sopłami lodu.

Spojrzałam obłędnie i Andrzej spojrzał.

Trzymaliśmy się za ręce, nie wiem jak to się stało?... Pewnieśmy się żegnali.

Na trotuarze stał zakurzony śniegiem oficer i śmiał się.

To ten z admiralicji.

Wbiegłam do bramy. Za mną gonili śmiech bezwstydnym oficera i głos Andrzeja.

— Tfu! drań!

Więcej nie słyszałam.

Czego się on śmiał?... czego się on śmiał?..

Upadłam na kanapę, jak stałam, w futrze białem od śniegu.

Ach! ten śmiech!

2 Marca.

Andrzej Bieruzow prosił o dymisję i już nie jest oficerem, nie jest żandarmem. Chodzi w czarnym palcie—bez mundura.

Mówiła to Julka.

12 Marca.

Z Julką nie rozmawiamy. Wyraźnie, ale się wybornie rozumiemy. Jest ona dla mnie dobra i pobłażliwa. Raz tylko widząc jak mizernieje, rzekła, kiwając głową żałośnie.

— Po co ci, Cesi, ta druga niedola, po co ta nowa bieda? Chociaż ty to bierzesz zbyt tragicznie. My kobiety, widzisz, nie zawsze zależyśmy od swej woli, bo..... coś jest w nas już takiego, że musi się wyładować, że

musi..... choćbyśmy się bronili nogami i rekoma. Jak poko..... jak to przyjdzie, przypadły wszelkie rozumowanie“.

Widoczne było z niedokończonych jej zdań, że niechce słowa wymówić, które jeszcze wśród nas nie padło i którego ja sama instynktownie boje się. Gdy mówiła, słuchałam z zapartym oddechem, jak ktoś, kto czeka, że łađa chwila, runie mu na pierś salwa karabinów. Lękałam się tego słowa, niby ostatecznej katastrofy, jakby ono, to jedno słowo, miało moc wyrokowania o mojem nieszczęściu.

Julka to odgadła i nic nie wyrzekła. Drugi raz Julka znowu zaczęła mówić. Było to w nocy, usłyszała że nie śpię i nagle rozległ się w ciemni pokoju, jej głos smutny.

„Ciebie to musiało spotkać Cesi. Ty jeszcze tego nie znałaś, a materiał masz podatny, bo uczucia w tobie kipią. Ty jesteś i sokół i gołąb, a przedewszystkiem kobieta z sercem gorejącem. I powiem ci nawet, że to nie głupi wybór serca, tylko nieszczęsny. O! w tem rzecz“.

— Julka dosyć, — przemówiłam głosem zduszonym.

— Ja nic nie mówię — ciągnęła ona dalej — tylko rozumię, że uważasz to sobie za

zbrodnię, a ja ci powiem, że się mylisz. Mogłaś trafić gorzej, w zwykłych warunkach, ale szczęśliwiej. To widzisz jest różnica. Teraz trafiłaś dobrze lecz — nieszczęśliwie. Ale to nie zbrodnia, nie podłość. To tylko -- nowy krzyż.

Zamilkła, a ja już tęskniłam za jej słowami. Cisza zimowej nocy rozsiadła się władczo w pokoju i smutek snuła ponury.

— Julka! — zawołałam.

— A co chcesz?...

— Mów jeszcze.

Ciche te słowa padły z mych ust, jak nieśmiała prośba. Wiedziałam że grzęznę, że lecę na głowę w niebezpieczeństwo i brnęłam.

Usłyszałam szmer, lekkie plackanie bosych stóp. Koło mego łóżka stanęła Julka. Nagle wsunęła się pod kołdrę i zaczęła mnie całować.

Włosy mi na głowie powstały.

Zechce zwierzeń, a ja nie powiem, nic nie powiem.

Przeczułam.

Julka całowała mnie, tuliła moją głowę do piersi i szeptała.

— Cesia, dziecko biedne, my tu same na wygnaniu, bądźmyż jak siostry. Wyznaj, powiedz co czujesz. Nie bój się, ja zrozumie.

ja nie taki kół, jaki się może wydaje, ja nie Olska. Mów dziecko! Zacięłam się. Łkałam wewnętrznie na piersiach Julki, ale usta nie wyznały. Milczałam.

Ona odczuła mój upor. Nie nalegała i nie przestała mię pieścić. Długo przebyłyśmy tak splecione uściskiem siostrzanym. Szczersza nuta w nas zamarła. Julka znowu rzekła:

„Ciężko żyć z takim kamieniem na sercu. Źle kobietom które mają uczucia silnie rozwinięte. Ot, ja naprzykład, łojówka w porównaniu z tobą, bo ty gorejąca pochodnia. Dwa razy warjowałam w życiu, ale myślisz że bardzo?... Gdzietam! Ot, jak mówią morskale, „od nieczewo diełat“—Zgłupiałam i znowu zmańdrałam, ale żeby się tak zapaść bez wyjścia? to pewno nie dla mnie specjał“.

Westchnęła smutnie, a potem energicznie trząsnęła głową i rzekła.

— A może i to być?...

Umilkła i tylko pierś jej podnosiła się często westchnieniem.

Na dobranoc, kiedy już świtało, Julka rzekła smutnie i sennie.

„Źle robisz Cesia że milczysz, to zeżre ci serce na wiór. I na ciebie przyjdzie czas. Ty przemówisz“.

Nie, nigdy! — pomyślałam z zaciętością.

Ale czułam że Julka ma rację, że przemówię.

20 Marca.

Przez cały tydzień starałam się jaknajmniej myśleć o sobie. Pracowałam zawzięcie, jeszcze dobierając lekcji u Pogorskich gdzie mi najlepiej. Dopytują się co mi jest, widząc we mnie zmianę, ale kładą to na karb tęsknoty za krajem. Znowu moja podłość ujawnia się. Bo ja powinnam tylko z tego powodu cierpieć. A ja?... Czy już ratunku nie ma istotnie?.....

Andrzej pewno nie był. Widzę go tylko, jak co dzień rano wychodzi z hotelu idąc do biura. Pracuje gdzieś jako urzędnik. Czasem nawet nie patrząc odczuwam że on idzie ulicą. Po chrzeście śniegu poznaje, że jest gnieciony jego stopą. Ogromne przeczulenie sugestyjne. A nie myślałam żeś zdolna do takich subtelnych przeczuć, w ogóle do takich abstrakcyjnych płynów. Bo sugestja, to jest istotnie niby czarodziejski płyn, który duchem przepływa z jednej jaźni w drugą, a jest niewidzialny.

Sugestia jest taką samą potęgą, jak na przykład—młodość. Tylko nie dla wszystkich jest ona wyraźną, bo sugestja to wytwór wyłączenie duchowy, więc może być czynnikiem

tylko tam, gdzie duch przeważa, a zmysły są mało znaczące. Odczucie zmysłowe, to już nie sugestia, ale raczej zwierzęcy pęd krwi, to się objawia inaczej. Można kogoś pożądać nawet na odległość, ale ten ktoś, nigdy nie wpłynie odradzająco na naszą duszę, przeciwnie, deprawując. Odrodzić może tylko sugestia płynąca z silniejszej duchem istoty w słabszą. I nie koniecznie ma być poparta miłością. Jednak pewna wspólność, czy sympatja jest niezbędną. A może nawet jedynie wiara? Bo wiara to pobudka do sugestji. Nie może być sugestji bez uprzedniej ufności.

Musowe, lecz odruchowe branie kogoś na pychę swej woli, to już hipnotyzm, to już co innego.

Wspomniałam przed chwilą że sugestia jest taką samą potęgą jak—młodość. Ale sugestia ma zastosowanie tylko w dziedzinie ducha, a młodość zawsze.

Gdyby mnie zapytano—jakiego daru pragnę od życia — odpowiedziałabym:

— Być wiecznie młodą.

Co za moc leży w młodości!

Czy potrafi najrozumnniejsza starość zdziałać to, co zdziałała bujna młodość, gdy ma pragnienie czynu?

A któraż młodość nie czuje wiru we

krwi, przyspieszonego tętna, jakiejś pulsacji znamionującej temperament i przyływ energii?

Wyjątki są. Jak między ptakami są lotniejsze i są ociężalsze, a są wiecznie gnuśne i powolne — tak samo i w ludzkich gminach. Bywają tacy, że młodość ich nie poruszy, limfatyczna krew, wolno sączy się w ich żyłach. Oddani są pracy bezzapalnej, zastosowanej ściśle do systemu pojęć ich, duchowych i fizycznych. Oni nie mogą wzlatywać, bo młodość dotknęła ich zaledwo powierzchownie, nie dała im ani piórka na skrzydła. Zewnątrznie młodzi, są to właściwie starcy, są jak żółwie zapancerzeni w skorupie swej gnuśności. Lecz taką samą pracę niech podejmie człowiek młody, wszystkimi fibrami życia, żądzą czynu, ideą, zapalem, pędem krwi, którego młodość ukochała, na którego złożyła wszystkie swe skarby zew — i wewnętrzne. Taki człowiek z najniższej pracy zrobi górą, przypnie jej lotki i polecą wzwyż, bo dąży do celu materialnego, czy do idei, mówiąc: „chcę“.

Człowiek stary wewnętrznym ustrojem ducha, powie tylko tak, jakby mógł powiedzieć wiekowy starzec:

„Chciałbym“.

A człowiek gnuśny i tego nie powie.
Bo niczego nie pragnie, niczego nie żąda.

Talent urodzony z bujnej młodości stać się może gienjuszem, gdy kolebką jego jest wiek późniejszy, pozostanie tylko talentem.

Młodość duchowa może się stać w krajnie abstrakcji potęgą najwyższą, par excellencje nie doścignioną. W życiu realnem będzie zawsze siłą podnoszącą największe ciężary do postulatów swej natury.

Nawet istotna starość u ludzi którzy byli *młodymi*, w pełni znaczenia tego słowa, inną jest niż przeciętna.

Jeśli niema już przed sobą czynów, ma wspomnienia, które nasuwając przed spłowiałe oczy minioną jutrenkę chwały, rozdmuchują taką samą w duszach nowych pokoleń.

Bujną, twórczą młodość złamać, jest tak samo trudno, jak skruszyć na proch młodziutką soczystą latorośl drzewną. Jest ona niby pancerz na którym nie każdy miecz zrobić może wygięcie.

Młodość ma w sobie blask złota, siłę stali, tylko *czas* żłobi na niej bruzdy.

Czas—ironizujący satyr.

Młody potrafi kochać duchem i dla idei, stary tylko dla siebie i zmysłami

Młodość, gdy kocha, bierze wszystko i od-

daje wszystko. Starość, jak skąpiec, chciwie zgarnia wszystko dla siebie, nie dając najczęściej nic w zamian.

Ale i młodość ma swoją—piętę Achilesa a jest nią — nieszczęśliwa miłość.

Ona jedna, z młodego może zrobić starca, z energii robi ociężałość, z wesela bezgraniczną apatię. Z krwi gorącej pełnej tętn i pulsów nie robi wody, ale ją zwarzy, że stanie w miejscu spieczona bólem.

Miłość sama przez się jest wytworem młodości, jej zawdzięcza byt swój i życie, a ku niej obraca swe żądło umoczone w nieszczęściu. I czarę słodczy nad którą przeleciał anioł.

Mnie dała zatrute żądło.

22 *Marca*.

I on się męczy i On cierpi. Strasznie cierpi. Mówią to jego oczy. Ich głęb co raz się staje mętniejszą i bardziej zbolalą. Zgasły dawne iskry, dawne płomienie, tylko żar pozostał ten sam, nawet gorętszy. Żar duszy starganej, która płonie, i parzy. Parzy uczuciem, tragizmem swym.

Na ustach usiadł mu bolesny wyraz. A jednak on chyba mniej cierpi, bo nie ma w swem sumieniu tego strasznego wyrzutu jaki mnie dręczy. Bo cierpi przez uczucie

jedynie, a nie przez obawę obrażenia świętej idei.

Wiem że to mój wyrzut urojony, że naszej idei ojczyściej nie obrażam, a pomimo to u niego boleść jest odmienną.

Mój stan uczuciowy już się nie wzmaga, stanął na bezkresie. Cały ogrom jego mam w piersi.

Wobec tej mistycznej wielkości, wszystko inne zmałało, stało się tylko czynnikiem do wywołania jej na nowo.

I tak: listy z Warszawy są przezemnie oczekiwane, bo—wiem kto je przyniesie.

Odbieram z jego rąk paczki i myślę, że one po to przysły tu, aby on miał mi co ofiarowywać a ja za co dziękować. Jednocześnie wyrzut własnego sumienia, dławi mnie, ale wrażenie obecności Andrzeja zagłusza wszystko co nie jest nim. Jest to może nikczemne, ale tego nie wykorzenię.

Gdy gram na fortepianie nasze polskie melodie, a on chodzi po pokoju, jak zwykle trochę przygnębiony i wolnym ruchem gładzi brodę, mam wrażenie, że nie tylko ja jestem wygnanką lecz i on również. Więzień uczucia.

Miewam dnie spokoju, dziwnej błogości. Wtedy patrzę śmiało w czarne oczy Andrzeja, uśmiecham się, czytam w nich treść pełną

nowych dla mnie prawd. Nie analizuję, tylko biorę je w całości. Analizuję częściej siebie. Jego dusza to kryształ szczery i promieniejący. Jego dotyk nie wstrząsa mną, tylko mnie gładzi tak łagodnie, niby skrzydłem łabędzim. Nazywa mnie „panno Cesium“ bo mówi, że mu tak łatwiej wymawiać. Rozmawia już po polsku, ale gawędzimy rzadko kiedy samotnie i nie pragnę tego. Bądźmy szczerzy, — boję się tego. On dysputuje z Julką, ja słucham i przez nią odpowiadam na kwestje które on rzuca. Ten system pośredni męczy go, ja to widzę i mnie drażni, ale—jest bezpieczniejszy.

Ostatnim razem, jak był u nas, poznał po moich oczach, żem płakała. Zupełnie niespodziewanie spytał o powód. Byliśmy sami. Zalekłam się. A gdy on dość natarczywie pytał, chciałam wpaść w ulubiony jego temat analizowania wszystkiego i rzekłam.

— Tak, płakałam, ale pan wie że płacz jest to transpiracja serca, skraplająca się w oczach przez filtr duszy. Gdy temperatura serca wznosi się wysoko, sięgając Celsjusza, wówczas filtr bywa różowy, a skroplone łzy są słodkie i radosne. Przeciwnie, gdy temperatura opada do nizin Reaumiura filtr jest szary, czasem czarny, a skroplone łzy, są palące jak witryolei i gorzkie. Są także łzy

wytłaczane tylko przez nerwy a wtedy są bardzo różne.

Mówiąc, sama siebie podziwiałam, że potrafiłam być tak bezpiecznie chłodną i rozumiejącą. On patrzył na mnie uważnie, w końcu rzekł.

— A wasze lzy jakie są, panno Cesi?... jaka u pani temperatura serca....

— Celsjusz czy Reaumiur?

Zmieszałam się.

— Może nerwy — odpowiedziałam wymijająco.

— Nerwy?... no, nie! Wy panno Cesiu nie kapryśna baba żeby się z nerwami porać. U nas jest taka przepaść czucia i duszy i serca, że nerwy, to już poślednią rolę grają. To tylko figuranty.

— Więc pan myśli, że płakałam?...

— Z jakiegoś uczucia — podchwycił prędko.

— Z serdecznego uczucia. Albo ono było jasne i miłe co duszę łagodzi, aż do płaczu, albo nieszczęsne i smutne, co gryzie serce, że prosto zabić się człowiekowi.

Umilkliśmy oboje. On stał oparty o futrynę okna, ja obok położyłam skroń na zimnej szybie i drżałam wewnętrznie. On po chwili mówił znowu:

— Dusza ludzka nieszczęsna jest. Żadna bestja nie jest narażona na tyle niebezpieczeństw co ludzka dusza. Zewsząd na nią czatują—jak nie anioł to djabeł. Różne pokusy a strachy i utrapienia bodą ją, niby rogi czorta, a z drugiej strony anielskie szaty głaszczą. Ni ratunku, ni szczęścia dla człowieka. Jak zdaje się że szczęście masz za pazuchą, że anioł ci je tam włożył, to zaraz ono czarne kły wystawi i zgrzyta, i uchwycenie go — niemożliwem czyni. Ot, ludzki los! ot, męka!

Westchnął ciężko. Och! to jego westchnienie! wryło mi się w pamięć.

— A pani wie co to szczęście znaczy?... a?... — spytał.

— Nie,—odparłam krótko.

Popatrzał na mnie badawczo.

— Nie prawdę pani powiedziała, panno Cesi. Pani wie co to jest szczęście, ale... i... wy uchwycić go nie możecie bo.... czarne kły zaporą stoją. Jabym chciał te kły waszego szczęścia powyłamywać, żeby zostało swobodne i dobre, ale sił nie mam takich. To Herkulesowa robota.

Instynktownie czułam że powinnam odejść. Nie mogłam. On szepnął zmienionym głosem

— Jeden taki czarny kiel, to ja przed wami już złamał, bo ja już nie... żandarm.

Oderwałam się od okna jak brutalnie popchnięta. On posunął się do mnie.

— Panno Cecyljo, ja was proszę nie uciekajcie. Co ja wam takiego zrobił, że się pani mnie boi?

Nagłym ruchem wziął mnie za rękę, ale usunęłam je energicznie.

— Niech mię pan nie dotyka! — krzyknęłam wzburzona.

On patrzył chmurnie lecz spokojnie. Spytał powoli.

— Czy ja dla pani wróg?.....

Staął w progu zagrządzając mi drogę. Ogarnęła mnie panika strachu i gniew.

Nie panowałam nad sobą.

— Tak! wróg, wróg mój i mego narodu. Należy pan do plemienia którego.... nienawidzę!

— I mnie... i mnie pani nienawidzi?... Zacięłam się.

— Wy kłamiecie! Och jak wy kłamiecie, panno Cecyljo. Ja wiem wy plemienia mego nie lubicie, wy patryjotka! Ale ja?... Czy ja temu winny, że wy mnie poniewieracie. Ot! niesprawiedliwość!

— Niech pan idzie stąd i... nie wraca! — wybuchnęłam.

Poczerwieniał jak sama krew.

— Dobrze! pójdę! ale wrócę. Ja z wami chcę innej rozmowy i wy musicie.....

— Do niczego mnie pan nie zmusi, nie obawiam się pana i... i...

Brakło mi słów. On rzekł chyląc nisko głowę, ze czcią i smutkiem.

— Zmuszę was, jak obraz święty do słuchania modlitwy. Zmusić muszę, bo chcę i wam i sobie zdjąć wagę z serca. Co wy czujecie to ja wiem, tak samo, jak to co ja czuję. Boże broń takiej męki! Lepsza katorga! Wy nie oszukacie mnie. Możecie zdeptać, ale nie zawieść. Ja wasze serce mam na swoim, to i znam dobrze.

Jeszcze niżej pochylił się w ukłonie i wyszedł.

Zostałam bez sił, bez ruchu. Przyparta do ściany, szłam jednak. Szłam w skurczu bólu, ruiny moralnej, przez jakieś zasy pyłu, kopci; przez korytarze ponurych podziemi; przez kopalnie, duszących piersi sklepień sadzy. Kłęby potworne zabójczego pyłu wbijały mi oddech do płuc. Nie czułam nic, tylko ten tłusty kopeć w ustach, w oczach, do duszy się wtłaczał. Pokój, gdzie stałam,

ścieśniał się, zwał, aż ściany jego zbiegły się z sobą i wsparły na mnie. Sufit miałam na głowie, piersi i plecy zgniecione. Jeden ruch i zgine, zmiażdżona murem. Żadnego ratunku! Płacz mię uratował! Płakałam strasznie, skulona w kącie ścian.

30 Marca.

Wyznał Julce! Wszystko wyznał. Och Boże! jak on mógł, jak śmiał! Julka mówi że napadła na niego z góry, że mu zaczęła wymówki robić o mnie. Jaka ona głupia. Ale ona to robiła z powodu uczuć siostrzanych dla mnie. Ona wie co się ze mną dzieje, więc chciała prawdy. I wyznał. Mówił że całemu światu wyzna, bo się tego nie wstydzi, ale się tem chlubi. Mówił podobno, że od kiedy ta siła wyrosła w jego duszy, czuje się mądrzejszym i lepszym, że ma dla siebie cześć, bo takie uczucia cześć wzbudzają. Julka jest podniecona i pod silnem wrażeniem wyznań Andrzeja. Na mnie patrzy z jakimś uwielbieniem, jakbym była ołtarzem u stóp którego hetakomby składają. Ona mówi z zapalem o Andrzeju i jego uczuciach. Podnosi jego szlachetność, miesza razem zachwyty nad jego sercem i nad głębiną oczu. Mówi tak.

On bierze pod swój wpływ, bierze przemocą. Ty jesteś... pod innym, ale i ja

jestem pod urokiem piękności jego duszy: A nawet zewnętrznie to się objawia. Powiedz?... Ten wyraz w oczach, albo chociażby ten miękko okalający jego profil, krótki zarost. Nawet i to tchnie jakąś szlachetnością“.

Śluchałam nie słysząc. Ale jak on mógł to wyjawić?... Jak on śmiał?!...

Drażniło mię że już wyjawiał i... że nie mnie pierwszej. A przecie się tego bałam.

3 Kwietnia.

Listy od Mamy i Jontka. Tam u nich święta nadchodzą. A Staszek?... Podobno w Nerczyńsku. Wyśnił mi się. Staszku, gdybyś ty wiedział? Czyżbyś przeklął?...

4 Kwietnia.

Dziś powiedział mi wszystko. Andrzej kocha mnie i... ja go kocham.

Więcej pisać nie mogę.

20 Kwietnia.

Zaledwo teraz doszłam do pewnego skojarzenia myśli i do jakiej takiej równowagi po tem co się stało.

Czwartego kwietnia, w sobotę Andrzej wyznał mi swą miłość.

Przyszedł przed wieczorem, kiedy Julka była na lekcji, a Chołmaczowa piekła ciasta i nie pokazywała się z kuchni. Zastał mię

w naszym pokoju i tu wszedł. Odrazu zauważyłam zmianę w jego twarzy. Przeraziłam się. Dziwna mnie ogarnęła niemoc. Wstałam z krzesła. Cały pokój zalany był zachodem słońca. Łuny te padły na smagłą cerę Andrzeja i rozjaśniły ją. Stał jak w glorii zło-cistej.

Wziął moją rękę. Nie broniłam. Wziął i drugą. Staliśmy tak kilka minut, może dłużej. Szczęśliwość bezmierna wionęła na mnie z jego oczu. A potem czarna ściana, czarna otchłań... Nerczyńsk!... Przekleństwo brata....

Ale nie drgnęłam nawet. Większa siła trzymała mnie w swych — drogich szponach. Milczenie, milczenie, tylko dusze mówią. Słyszałam jak się nasze serca trzepotały i rwały do siebie, jak objęły się w niewysłowionym uścisku i oddały sobie wzajem cały przestwór gorących uczuć.

Chwila święta, chwila uroczysta, wieczna w swej piękności. Cud mistyczny spełniony, cud duchowy! Światłość.

— Cesia!... ty moja... — szepnął Andrzej gorącym swych ust. Miłowanie płynęło z jego głosu, z tego szmeru.

Jęknęłam tylko bez odpowiedzi.

Ogarnął mnie ramieniem, tak lekko, jak

skrzydła motyle kwiat ogarniają. Uczułam jego oddech tuż obok swych ust.

— Ty... moja! — powtórzył.

Straciłam przytomność.

Orkan szczęścia. Tak tylko nazwać możnaby tę chwilę.

— Twoja! — szepnęłam prawie głośno.

Byłam bez woli, bez myśli. Serce me z całym zastępem uczuć wypęzło mi na wargi i wyznało.

— Duszeńka! Cesia! moja niewiesto!...

Runęło szczęście! Prysło jak nabrane serdeczną krwią serce ludzkie, ciśnięte fatalną ręką na ostre zęby.

Te słowa Andrzeja, ten akcent, ten język był dla mnie przerębem z lodu.

Chlusnęła na mnie prawda obrzydliwą ciecżą i wstrętem wstrząsnęła całą duszą, potworny młot rzeczywistości rozszarpał ją na strzępy.

Zanim Andrzej zdołał przycisnąć mnie do swej piersi, już stracił mnie na zawsze.

Krótko, stanowczo, zdyszany głosem, wypowiedziałam mu treść i nędzę swych uczuć. Nie kłamałam! Kocham i byłam szczera. Rzuciłam mu swe wyznanie.

Ale nic nadto. Żadnej nadziei!

Nic! nic!

W smutku pozostała moja miłość i w nim pozostanie.

On błagał, zaklinał, modlił się...

Nie pomogło.

Żądał nadziei na podstawie mej wzajemności...

Nie pomogło!

Płakał, a mnie w duszy wyły wszystkie rozpaczne świata.

Ale ... nie uległam.

Tej samej nocy Andrzej wyjechał z Archangielska.

— — — — —

Oficer z admiralicji przeniesiony do Kronsztađu. To wpływ Andrzeja.

— — — — —

Pozostałam z krwawą raną w jądrze serca, z tragedją, z rozdzierającym żalem.

Czy i z dumą zwycięstwa?

Tylko z bólem.

Nie! i z wyrzutem! Z okrutnym wyrzutem w sumieniu, że ja mogłam pokochać człowieka, należącego społecznie do tych, co katuszą mych braci w kazamatach. Łzy tych męczenników spadały mi na serce, a każda zło-

biła w niem jak rozpalonem żelazem, litera po literze hańbiącą obelgę.

— Wyrodna! Wyrodna!

Zostałam z wyrzutem. Gorzki wyrzut mieszał się z bólem serca. Uczucia omdlewały pod tyraniczną banicją sumienia i tęsknota i żal.

Tragedją moją stał się teraz ten piekący wyrzut, co niby dzwon pogrzebowy, niby złowrogie krakanie sępa zagłady, huczał we mnie ponuro, jak trąba sądu.

— Wyrodna! Wyrodna!

I pomimo to kocham, rozpacznie, boleśnie, ale kocham.

Z tem pozostałam.



POŁĄCZENI.

Siedząc na fotelu wpatrywała się w portret zawieszony nad biurkiem...

Ujęty w rzeźbione ramy portret przedstawiał popiersie trzydziestoletniego mężczyzny. Blondyn o przenikliwych szarych źrenicach patrzących z dumą i zuchwałością miał wyrytą na czole inteligencję, w wyrazistych rysach coś niepospolitego. W twarzy jego łączyły się różne sprzeczności, więc: bujna fantazja, buta magnacka, w połączeniu z taktem, powagą i głębokimi rysami myśliciela. W zsuniętych brwiach na czole widniała energia, siła charakteru i rzutkość natury. Wydatne usta wyrażały zmysłowość, pulsował w nich pesymizm z domieszką ironji w dobrym stylu, co sprawiało wrażenie niezwykłe, zbratania się swawolnika z krytykiem. Ładny wąs, podkrecony w górę, niewielkie baczki na ściągłym szlachetnym profilu dodawały wytworności tej głowie, nie pięknej lecz indywidualnej.

Patrząc na tę twarz, bardzo zresztą przystojną, mimowoli nasuwało się pytanie „co ten człowiek myśli“, i portret przykuwał wzrok ludzi głębiej sięgających, interesował.

Pod portretem, na biurku, stała fotografia młodej kobiety, jasnej blondynki w popielatej sukni i w koralach na szyi...

Przez otwarte okno wpłynęły do pokoju słoneczne pasma, ogrzewając dwoje ludzi zaklętych sztuką wynalazku. Blaski otoczyły ich złotą aureolą, krzesząc w nich jakby pozory życia.

Kobieta na fotelu miała oczy utkwione w portrecie, czasem spuszczała je na fotografię i znowu wznosiła z wyrazem tęsknej myśli. Była już niemłoda. Jasne włosy utkane białą nitką świadczyły o przeżytej ilości lat, leżała na nich poważnie czarna koronka, znamie siwizny i zmarszczek. Tych jednakże rysowało się nie wiele. Ale na białej, trochę bladawej twarzy znać pewne znużenie, zarówno fizyczne jak i duchowe, może nawet bardziej duchowe. Szczupła postać kobiety już się trochę pochylila, lecz rysy — jakkolwiek ściągnięte latami, odzwierciadlają wiernie tę — na fotografii. Ta sama twarz, ta sama postać, jedynie różnica epoki — znamienna.

Tamta — wychylona z ramek tchnęła ży-

ciem, świat ją nęcił; z wiarą i nadzieją wstępowała w jego szranki. Ta dzisiejsza — utraciła wszystko z dawnych skarbów młodości, prócz duszy i uczucia które w niej żyło stale. Tamta, w jasnym stroju, ze sznurem koralu na piersiach — ozdobą młodych, ta w czarnej ciężkiej sukni i... także w koralach. Ten sam sznur zdobiący jasną suknię tamtej, leżał teraz na fałdach czarnego stanika dzisiejszej. I nawet nie raził, wyglądał jak czerwony głóg na opadłym z liści krzewie róży. Podobna myśl przemknęła przez głowę kobiety — spojrzawszy na swą ozdobę uśmiechnęła się lekko z czułością. Wnuczka tak ją ustroiła, a teraz pobiegła do ogrodu po fijołki dla babuni. Był właśnie początek Maja, trawniki w ogrodzie aż błękitniały od tych kwiatków. Z za okna dochodził świergot ptaków, ćwierkanie jaskółek tłuczących się pod zrębami dachów, czasem gwizdnęła przeciągle wilga, lub zakwiliła makolągwa. Rzeźki poszum drzew, błyszczących świeżą zielenią nanosił do pokoju mnóstwo wiosennych zapachów.

Słońce sklonione na drugą stronę nieba, szło ku zachodowi, i na pożegnanie umajonej ziemi złościło się, grało pysznemi barwami czerwieni, tuliło ziemię w gorącym uścisku, uśmiechało się do niej promiennie. Mnó-

stwo świetlistych iskier, wsypanych do pokoju, migotało błyszcząc co raz ognisćiej.

Postać kobiety, ozłocona zachodem, nabrała różowych odcieni, korale krwawiły się łyskliwie.

Podniosła oczy na portret i długo patrzyła w milczeniu. Po chwili westchnęła głęboko.

— Ile lat, ile lat!...

Cofnięta w głąb fotelu oddała się rozmyślaniom.

Przed oczyma jej duszy odżywały minione obrazy. Jak chmura różnobarwnych motyli spadły na nią wspomnienia.

Jedne białe, niewinne z owych czasów, kiedy młodziutka dziewczyna w białej sukni, z jasnym warkoczem spoglądała w świat z wiarą i zaciekawieniem. Z czasów, w których się nie odczuwa nadziei, bo się ją nosi w sobie nierozłącznie, jest ona w naszej krwi, jest jakby częścią naszej istoty. Wówczas szczęście widzi się w każdym kwiatku, rozsypuje się dokoła uśmiechy pełne wesela, oczekując czegoś co ma przyjść z różów świata, czegoś co płynie razem z promieniami słońca. I owe „coś“ ma być, potężne, świecące jak złoto.

Na rozczarowanie brak miejsca, to są

czasy tęczowe, słodkie, bez kropli goryczy. Jedną tylko posiadają wadę,—że nigdy długo trwać nie mogą.

Po białych następują roje innych, co raz bardziej kolorowych motyli. Z tych wspomnień wieje wielka różnorodność wrażeń, pełno różnorodnych uczuć. Są jaskrawe barwy, są ciemne i niewyraźne lecz nie widać już dawnej przeczystej bieli, ani różano-złotych pyłków... one zginęły bezpowrotnie.

Blade usta kobiety uśmiechnęły się smętnie. W napływających wspomnieniach ujrzała pierwszą miłość, wątłą jak drobny kwiatek wiosenny, słaby, prędko przekwitający.

A jednak ona wierzyła w jego siłę, nie myśląc nawet że może przekwitnąć.

I ten pierwszy kwiatek wykwitły z jej serca zaprowadził ją do ołtarza.

Nie zawahała się, wierzyła głęboko w szczęście, wierzyła w swą miłość, ufając bezgranicznie temu który ją zdobył.

Czy na długo?...

Usta kobiety opadły jakby pod wpływem przykrości, gorycz musnęła jej twarz.

Wspomnienia napływały.

Znikły barwne motyle, zostały ciemne otoczone mgłą.

Ten kwiatek zginął bardzo prędko zwiądl bezpowrotnie.

Kwitnąć nie mógł, taką już miał naturę.

Ona z początku nie wierzyła, nadto ufała w jego moc by odrazu dojrzeć więdnienie. Lecz i to nastąpiło. Przeraziła się.

Rozpacznie zaczęła podwajać starania chcąc zatrzymać zanik uczuć, lękała się czarnego kręgu pustki. Wszystkimi siłami, ale już bez nadziei, podźwignęła to w co nie wierzyła. Ze względu na dzieci było dla niej drogiem. Szeptano jej w duszy że ta walka ją podtrzymuje, że w tem borykaniu się tli słaba isierka nadziei wskrzeszenia tego co zamarło. Czula, że gdy ta isierka zgaśnie otoczą ją chmury czarne, ciężkie niedolą. Że wówczas pozostanie tylko obowiązek i że poniesie go bez osłody, bez jednego promyka jaśniejszego. Więc z głuchą rozpaczą szamotała się sama z sobą.

Napróżno! Walka nad siły. Sama po- dołać nie mogła — a ten dla którego walczyła nie dopomógł nigdy.

Przeciwnie, przeszkadzał stale.

Zdawał się nie widzieć jej starań serdecznych.

Przeszkadzał, bruździł, rwał to co na-

wiązała, gasił co zapala, oziębiał co chciała ogrzewać.

Tytaniczne siły za słabe byłyby na taką walkę, musiała uleść.

Ta walka skończyłaby się u niej razem z życiem, możeby nawet zwyciężyłaby samą siebie lecz brakło jej pomocy a choćby nawet pewności—że i on pragnie tego do czego ona dąży.

Miała inną pewność; on o tem nie myślał. Był na wszystko, co się tyczyło ich szczęścia, obojętnym. Szydził z najdroższych jej uczuć.

Wówczas opadły jej ręce.

I wtedy otoczyła ją czarna, ciężka chmura smutku, wzięła na swe barki obowiązek i wpatrzona w dzieci wytrwale szła naprzód.

Ale w sercu, jakkolwiek umieściła w niem dzieci, było pusto.

W duszy, chociaż oddała ją dzieciom, było pusto.

Głusz opadła ją zewsząd i ciężyla jej.

Z początku nie rozumiała się. Lecz bezmiar smutku, i nagle obudzonej tęsknoty uświadomił ją, wskazywał istotną przyczynę pustki, która mimo uczuć dla dzieci i gmachu obowiązków ogarniała ją coraz potężniej

Drzemały w jej sercu, niespożytkowane

siły duchowe, pragnienie szczęścia budziło się gwałtownie. I rozpacz zaczęła ją toczyć jak robak, gdyż wiedziała że wszystko to już dla niej zamknięte.

Świat ją pociągał, nęciło inne życie — a musiała znosić własne.

Kobieta otworzyła oczy i z wolna wzniosła je na portret. Oświecały go ukośne promienie słoneczne, w oczach kobiety błysnął również jasny płomyk, na twarzy wystąpiły słabe rumieńce, odetchnęła głęboko.

Cóż się stało?...

Oto w czarnej chmurze, zaświecił złoty gorący ognek i uwieńczył ją, tchnął na nią nieznanym czarem.

Odżyła!

A chwila ta, przytłoczona ilością lat, musiała być znamionną reakcją w jej życiu, gdyż jeszcze teraz twarz kobiety odmłodziła. Wspomnienie, niby złoty motyl, rozsiało dokoła niej tysiące pyłków drogocennych. Twarz kobiety promieniała.

Trzymając oczy utkwione we własnej fotografii, dotykała ręką koralu, uśmiechnięty rozjaśniony wzrok znów podniosła na portret.

Ile lat! ile lat!

Kiedy pierwszy raz poznała tego, którego rysy widzi na portrecie, była wówczas

bardzo młodą. Fotografia jej na biurku pochodzi z owych czasów, nawet z pamiętnej chwili pierwszego spotkania: miała na sobie tę samą popielatą suknię, i korale. Dziś one jedynie na portretach przypominają przeszłość.

Tylko dusza jej pozostała niezmienioną, uczucie nie zestarzało się. Czy u niego tak samo?...

Od tej chwili szczęśliwej, gdy pierwszy raz podali sobie ręce, przepłynęła fala czasu.

Ile walki, ile męki.

Ale dziś mogła spoglądać w swą przeszłość z podniesionem czołem, wybrnęła z trudnych warunków bez skazy.

Przechodziła ciężkie rozterki duchowe, zwalczała silnie pokusy i wyszła zwycięsko. Dla siebie nic nie żądając, była jednak szczęśliwą, kochała i miała wzajemność. Jej szczęście świeciło dla niej jak lampa zbawienia, nie mogła jej dosięgnąć, jedynie zdaleka brać z niej ciepło do swej duszy.

Chciała się bronić, przeczuwając że ta miłość będzie jej niedolą, lecz jednocześnie, gwiazdą na jej ponurem niebie bytu.

Więc walczyła z miłością... i kochała coraz potężniej.

Broniąc się rozpacznie... tą samą siłą brnęła w zaczarowane koło.

Nie pomogły obowiązki przywoływane na pomoc, ani groza ciasnych warunków w jakich wzrosła jej miłość.

Z przerażeniem spostrzegła że jest na stromej pochyłości, jeden krok nie baczny — a runie w przepaść. Cofać się nie miała sił. I tłumiąc w sobie uczucia, zaciskając zęby, nakazując milczenie namiętnościom pozostała na krawędzi przepastnej. Siła zbyt potężna rwała w niej wszystko!

W sercu, w duszy, w mózgu, we krwi, krzyczało jej: kocham! kocham!

Usta milczały, to zależało od niej i to postanowiła uratować.

Wówczas spostrzegła różnicę między wątłym kwiatkiem wiosennych jej uczuć — a tym dzisiejszym wspaniale rozrosłym krzewem miłości.

Zrozumiała... słabiutki kwiatek zginął, nie mógł żyć na gruncie gdzie mogą wzrastać takie krzewy.

Poczuła siłę której się w sobie nie spodziewała. Nosila w swej duszy wielką potęgę, lecz nie mogła jej spożytkować — ale zamknąć, gorące wybuchy wtłoczyć gdzieś na same dno serca, aby najdrobniejsza iskierka nie wyjrzała z tej otchłani, aby nic nie odkryło istotnej prawdy.

I takie siły marniały. Taka miłość milczała. Dlaczegoż przyszła zapóźno?... Dlaczego w tak nieprzyjaznych warunkach?

Wielka prawda nie mogła mówić prawdy, musiała nawet kłamać.

Jakże powiedzieć ukochanemu: „kocham cię, choć należę do innego“ jak powiedzieć temu z którym dzieliła życie: „kocham innego, choć należę do ciebie“.

I zgryzła w sobie miłość nieszczęsną, stłumiła jęk wyrrywający się z piersi.

Dla ocalenia kobiecej godności, dla ocalenia ambicji.

Pomiędzy nią a ukochanym stało dwoje ludzi... ten, któremu ona przysięgała i ta, której tamten przysięgał.

Straszna otchłań, przepaść bez wyjścia. Przytem obok niej stały dzieci. Dla dzieci kobieta poświęci wszystko: szczęście, dołę, samą siebie.

Ona musiała zgnieść serce aby dać dzieciom dobrą sławę matki. Nie miała prawa odbierać im tego skarbu. Ona to rozumiała i on rozumiał.

Był szlachetny!

Kto nigdy nie walczył z potęgą uczucia — ten nie pojmie ile siły, rezygnacji i wytrwałości walka taka wymaga.

Zmaganie się uczucia z rozumem jest ciekawą batalją. Siły nierówne.

Uczucia to siła napadająca, strona zaczepna, to wreszcie armia zjednoczona. W zakres jej wchodzi serce — główny motor, pragnienie, tęsknota duszy, siła temperamentu, która popycha całą armię w stronę przez siebie oznaczoną. A jako wróg tej potęgi występuje zimny rozum, sztywny na wszelkie namietności, bierny na wolę serca, głuchy na jego krzyk, obojętny na prądy temperamentu.

Jak Gładjator występuje okuty w swe zasady jak w pancerze. Cóż go obchodzi że się jego przeciwnik męczy, że te blachy straszą go, że go zabijają. On dąży do swego celu.

I ma podstawy wielkie, prawdziwe, pełne prawdy i siły. Lecz występując do walki już przeraża...

Kobieta ciężko westchnęła.

Ona tak walczyła przed laty, takie siły w niej się zmagaly.

Jak długo wytrwałaby?... może całe życie.

Los pokierował inaczej.

Przyszedł grom, niespodziewany i odwrócił kartę jej życia.

Po ciężkiej chorobie męża została samą z dziećmi, główną ich opiekunką.

Życie płynęło innym prądem.

Myślała że ogólna zmiana położenia wpływie i na zmianę duszy. Lecz światło zbawienia zamiast gasnąć zaczęło się rozświeć. Potężny krzew uczuć rósł w niebotyczny pień. Wówczas ujrzała że tylko śmierć potrafi zgasić w niej ten ogień.

Wszystko zostawiła za sobą — prócz miłości.

Wszystkiego się wyrzekła — prócz miłości.

Wzięła ją z sobą jak pochodnię by oświecać i ogrzewać nią dalsze swe życie.

Odrzuciła wszystko co on jej ofiarowywał.

Nie miała nadziei, nie chciała nic dla siebie, nawet zapomnienia.

Nie chciała widywać, nie zgodziła się na korespondencje.

Zabrała z sobą garstkę drogich wspomnień owianych tęsknotą, i z gorejącą iskrą w sercu poszła.

Śmiało podnosząc głowę i z dumą mówiąc:
Zwyciężyłam!

W męce, w bólu, z żalem — ale zwyciężyła.....
— — — — —

Kobieta podniosła oczy na portret.

Patrzyła w wyraziste rysy młodego mężczyzny z szacunkiem i wielką czcią. Usta jej szeptały:

Zwyciężyłam, ale tyś mi do tego dopomógł szlachetnością, wyższością. Ty mnie zrozumiałeś.

Jaki szlachetny!

Pozostało jej po tej walce nieskalane uczucie, drogie wspomnienie i... pewność wzajemności. Pozostało zaspokojenie sumienia i duma że z tak strasznego chaosu wyszła bez zarzutu. Że błędne koło sprzysiężonych na nią nieszczęść nie zdołało zgnieść jej do ziemi. Że w oczach jego stanęła na takich wyżynach, do których mógł sięgać tylko szacunkiem. On wiedział że go kochała, odczuwał jej mękę. Musiał ją cenić. Znał ją dobrze; nie była pozbawioną serca ani temperamentu, więc jedynie siłą woli nakładała na nie wędzidło.

Podziwiał ją.

Rozstali się w przygnębieniu, z rozpaczą w sercach lecz jednocześnie z potęgą duchową, która mówiła:

Jesteście czyści!

Mieli żal do losu że postawił ich naprzeciw siebie po to, by odgradzać nieublaganą zaporą.

Sumienie im mówiło, że idąc przebojem spadliby z wyżyn prawości.

Jak widmo stałaby przed nimi tamta kobieta, jego żona, która... kochała go.

On o tem wiedział i nie miał prawa łamać jej życia.

Stało się jak stać się mogło.

Rozstając się uścisnęli sobie ręce z bólem lecz przekonaniem że są godni siebie. Z cichej swej tragedji nie robili publicznego rozgłosu, schowali ją w duszy głęboko i w milczeniu poszli w dwie przeciwne strony.

On odszedł, unosząc z sobą całą jej duchową istotę. Miał ją w duszy, w sercu, w myśli.

Ona kochała pierwszą prawdziwą miłością.

Kochała w bezmiarze tęsknoty.

Kochała wspomnieniem.

Kochała każdą kroplą krwi, każdym nerwem, każdym włókienkiem swego istnienia, każdą tkanką duszy i ciała, każdym tętnem pulsu.

Nie widując go kochała bez zmiany, tęsknota wzmagająca w niej miłość — i ta stała się dla niej świętą.

Uwielbiając ją — czciła jak skarb najdroższy. A lata biegły, życie płynęło. Przeszłość zbłąkitniała, lecz nie straciła uroku, siła drogich wspomnień nie osłabła. Stojąc ciągle na najwyższym stopniu potęgi, była tak czcigodną, że z piedestału swego nie mogła zejść na niższy stopień.

Pozostała na wyżynach. — — — —

Kobieta wpatrzona w portret przymknęła oczy. Wspomnienia szły dalej.

Wiadomości o nim które świat jej przynosił, zbierała jak drogocenne perły, kładąc je na sercu. Każdej wieści słuchała z rozkoszą, ze skupieniem, prawie z nabożeństwem.

O tajemnicy tak dla niej drogiej wiedziała zaledwie parę osób z jej najbliższych—potem gdy dzieci dorosły sama wyznała im wszystko, pragnąc aby dowiedziała się o tem z ust matki, nie od obcych ludzi. Bo ludzie domyślając się czegoś sądzili ją rozmaicie.

Jednych zastanawiało, że będąc tak młodą nie pragnęła nowych związków. Inni, odrzuceni, w gniewie szukali przyczyn tworząc przeróżne domysły. Ale naruszyć jej dobrej sławy nikt nie potrafił.

Jej opinja pozostała nieskalana.

Minęła wiosna jej życia i lato, nawet smętna lecz pogodna jesień była już po za nią.

Nadchodziła zima.

Lecz otaczał ją spokój. Kobieta przypominała listopadowy dzień, trochę oszroniony ale nie bez światła. W duszy czuła jasność, chociaż nieco melancholijną.

Nie wystygła tęsknota, nie uleciało wspomnienie drogiej przeszłości, wszystko to żyło w jej sercu przysłonięte księżycową srebrnicą marzenia.

Dawne walki, serdeczne niepokoje nie występowały wyraźnie jak w dniach młodości. Owiewał je cień ideału.

Czas i walki życiowe kładły na dawne uczucia piętno niemal religijne, jakby mistyczne. Wielka miłość przestała być ziemską, nie tracąc na swej sile. Żyła w całej istocie niezmiennie ale jakby w słonecznej dali, w krainie Aniołów, niedościgłych ludzkim pożądaniom. Wielka miłość realna i zmysłowa w swem powstaniu, miała wiele pierwiastków idealnych, nie zniszczył jej czas. Świetlana, choć z cichą tragedją połączona przeszłość, stała się cudną legendą rozjaśniającą dzisiejszą pomrokę, brzmiąc dźwięcznym hejnałem strun, jak złota harfa.

Kobieta na fotelu podniosła głowę, patrząc w okno. Było szeroko otwarte. Ciepło wieczorne, powietrze strumieniami lało wiosenne zapachy do przyćmionego pokoju. Smugi ogniste słały się na skłonie błękitów rzucając krwawe blaski na ziemię, ostatnie mrugania słonecznych źrenic.

Na trawnikach pachniały fijołki, bieleły

się białe gwiazdki stokroci. Drzewa pokryte puchami wonnej bieli szemrały cichutko, prowadząc rozmowy z przyrodą. Gwarzyły z kwiatami rosnącymi u ich stóp, z zielonemi kępami traw, z czerwienią obłoków i ostrym cieniem nadchodzącej nocy. Może opowiadały jak dziś grzało słońce, jak rzeźwiła ich rosa—i jak swym widokiem cieszyły oczy ludzkie. A może zapominając o radościach dnia, skarżyły się tylko na roje chrabąszczy i żuków, które po barbarzyńsku wplatały im się w ich białe welony.

Złe owady niszczą pachnącą ozdobę drzew, aż całe mnóstwo białych drobniutkich pyłków opada na ciemny aksamit traw. Drzewa się skarżą, żal im tej krasy, lecz nie chrabąszcze są główną przyczyną pozbawiającą ich piękna. To wiosna ich życia przechodzi.

Zamiast dzisiejszej sukni wiosennej będzie złota szata jesienna i znowu przyjdzie biała, ale zimna, bezwonna, a taka smutna, beznadziejna.

Dlaczego ludzie nie mają tych praw?... dlaczego oni gdy raz się przyobleką w szron, już się go pozbyć nie mogą?

Dla nich po zimie wiosna nie zaświeci, chyba ta nadziejska, w krainie obiecanej, do której duchem dążymy. Dla duszy wiosna

powróci jak świetlana zorza, którą nosimy w swej wyobraźni, jak jeden z dogmatów religii. Ziemską powłoka nie ma odrodzenia.

.....

Kobieta westchnęła, jakiś ciężar gniótł jej piersi.

— Skąd mi takie myśli, szepnęła cichutko, i dlaczego nasuwają się dziś właśnie? Całe życie ujrzała jak w zwierciadle, wypadki, wrażenia przesuwaly się niby obrazy.

Dlaczego właśnie dziś?...

Czy wpłynął na to pachnący wiosenny wieczór, czy zachód słońca ognisty i tak gorąco żegnający ziemię na całą noc. Czy owe motyle, ocieźale zawisnięte nad kwiatami?... może i one przed swą słabiutką pamięcią rozsnuwają drobniutkie pyłki wspomnień z krótkiego istnienia.

A może dokazał tego portret oświecony tak ładnie gasnącym zachodem, owe rysy drogie, wyraziste choć nieme, pełne myśli, pełne życia a jednak bez życia.

Kobieta rozrzewniła się.

Gdyby Go choć raz jeszcze zobaczyć, choć raz przed śmiercią. Jak wygląda?... czy i jego zbliżająca się zima pokryła już szronem, czy i u niego gną się już barki pod cięż-

żarem lat?... Oboje są późnym wieczorem, ich słońce dawno zaszło.

Kobieta poruszyła się.

Ktoś szedł do niej po cichutku, na palcach. Odwróciła głowę.

— Babunia nie śpi?—zadzwieczał za nią młodziutki głosik, i smukła postać ukłękła przy fotelu.

Delikatną ręką kobieta pogładziła jasną główkę wnuczki.

— Nie spałam moje dziecko, dobrze żeś przyszła.

Wesoły głosik zaszczębiotał znowu.

— Jak to dobrze! ja dla babuńci narwałam mnóstwo fijołków i stokrotek i żółtych kaczeńców z łąki. Daleko, biegałam po kwiaty dla babuni, — a oto są.

Sięgnęła za fotel i na kolanach swych postawiła spory koszyk napęczniony po brzegi pachnącem kwieciem.

— Czy to wszystko dla mnie?...

— Wszystko dla babuni, a jakże! obsypię cały fotel, całą suknię babuni, i biurko. Jak będzie ładnie!

Chwyciła pełnemi garściami pomieszane kwiaty i zaczęła je rozsiewać dokoła. Nagle słiczny, radosny uśmiech rozchylił jej wiośniane usta, oczy błysnęły.

— Babunieczka nie zdjęła koralu?... jak to dobrze! babuńci w nich tak ładnie. Ja bardzo lubię stroić babunię w te korale.

— Moje dziecko, już teraz ty powinnaś je nosić — odrzekła babka i umilkła, nagle. Dziwny ból uczuła w sercu, pulsa w skroniach zatętniały mocniej, przymknęła oczy.

— Co to babuńci?... Może mamy poprosić?... babunia tak zbladła.

— Nic malutka, to przejdzie, głowa mię zabolą, to nic.

— Może zapach dusi babunię?... za dużo kwiatów.

— Nie, dziecko, owszem, niech kwiaty tu będą, nie zabieraj.

Odetchnęła silniej i pocałowała wnuczkę. Nagle dreszcz przebiegł jej ciało.

— Co to — co?... — zawołała przerażona, patrząc w okno—jakiś turkot?...

— Tak babuńciu, to pewno posłaniec z poczty przyjechał.

— Dowiedz się malutka, może są jakie listy, gazety?...

Dziewczynka zerwała się z klęczek — i resztę kwiatów wysypując na biurko z pustym koszykiem pochyliła się do babki.

— A babuńci naprawdę nic nie jest?... — spytała troskliwie.

— Nie, dziecko. Idź, idź!

Dziewczynka skoczyła do drzwi.

Po jej odejściu kobieta oparła się ciężko o poręcz fotela, ręką przeciągnęła po czole.

— Straszno mi, czego ja się boję?...

Spojrzała na portret.

— On mówi! On mówi do mnie... porusza ustami... Boże wielki!

Z zapartym oddechem wpila oczy w jego rysy w obsłonie krwawej łuny zachodu.

Patrzyli na siebie.

W jego źrenicach drgało życie wzbudzone czerwienią blasków, usta zdawały się poruszać. Cicha mowa szła z tej typowej twarzy do tej drugiej wpatrzonej w nią uparcie.

Halucynacja trwała.

— Co mówisz?... niech usłyszę... co mówisz?... - szeptały usta kobiety.

Była jak zahypnotyzowana, oczyma wrosniętą w drogie rysy.

Już nie przerażona lecz z dreszczem szczęścia, z uśmiechem na ustach.

Czyżby go rozumiała?...

Jeszcze długa chwila głębokiego natężenia myśli, wzroku, i z ust kobiety wionął cichy szept, jakby w obawie że głos duszy nie zostanie usłyszanym.

— Czy już czas?... czy się złączymy?...

Powieki na portrecie opadły ruchem potakującym, na ustach błysnął błądy uśmiech. Kobieta widziała to, tamując oddech w piersi, ogarniał ją nieokreślony lęk i tajemna rozkosz.

— Nareszcie! Po tylu latach przemówili do siebie.

Więc on nie zapomniał! — ale co znaczy jego żądanie? On chce połączenia?

A czy to nie szczęście wyśnione przez lata?

Usta z portretu uśmiechały się do niej ciągle, wpatrzone w nią oczy zdawały się wzywać:

— Chodź ze mną, bądźmy razem.

Wizja stała się dla niej realną prawdą. On rozmawiał z nią, po tylu latach. Była tak olśniona, tak szczęśliwą, że nie słyszała szybkich kroków wnuczki wbiegającej do pokoju.

— Babuńciu, listów nie ma, ale są gazety, przyniosłam babuni ostatni numer.

Kobieta drgnęła z przestachu. Kredowa błądź powlokła jej twarz, zimno wstrząsnęło ciałem, ręką przycisnęła serce bijące gwałtownym nienaturalnym tempem.

Dziewczynka położyła gazetę na biurku i chciała ją rozłożyć, lecz zaledwo zdjęła opaskę, gdy nagle babka zatrzymała jej rękę.

— Co to babciuniu?...

— Nic dziecino... zostaw mię samą, chcę przeczytać.

— Zapalę lampę, może już ciemno.

— Nie, malutka... zachód mi przyświeca i tak mi jasno!

Dziewczynka stała, nie rozumiejąc. Strach przeniknął jej dziecinną duszyczkę. W zamroczonym pokoju, w krwawym zachodzie i w obec bladej babki — drżała. Przycisnęła wargi do chłodnej ręki, zwisłej na czarnej sukni, z czułością ale z lękiem.

— Niech ci Bóg błogosławi dziecko — rzekła babka trochę zmienionym głosem.

— Co babciuni jest?... ja się boję.

Uśmiechnęła się do wyleknionej wnuczki.

— Dziękuję ci malutka za kwiatki, widzisz jak ładnie mię stroją — a teraz idź, chcę przeczytać gazetę.

Dziewczynka wybiegła. Palil ją pocałunek babki, był jak zawsze gorący, lecz odczuwany — nie z tego świata.

Dziewczynka prędko o tem zapomniała. Dla niej świeciła pierwsza wiosna życia, wrażenia przemijały szybko. — — — — —

Kobieta nerwowo otworzyła gazetę, serce biło potężnie, sprawiając ból, usta zaciskał kurcz,

Jedna strona... nic, druga... nic, gorączkowo odkryła trzecią... i... szeroka czarna ramka... krzyżyk... obok krzyżyka... Ś. P....

— Cóż zwykły nekrolog!

.....Kobieta załamała ręce, jęk głuchy podobny do skowytu wyszedł z jej piersi. Serce zaledwie pulsowało. Pot zimny, kroplisty wystąpił na czole. Załamane ręce podniosła w górę, wzrok pełen grozy utkwiała w portrecie, z ust wionęło.

— Przeczyłam... odeszłeś... jesteś tam... a ja tu sama.

Wpatrzyła się w poważne jego rysy z napięciem, aż całą postacią pochyliła się naprzód. Oczyma szukając jakiegoś znaku, wyęzając słuch by usłyszyć wezwanie

Ale twarz na portrecie była już tylko portretem.

Wizja nie powróciła.

Kobieta czekała długą chwilę, twarz jej stopniowo traciła wyraz przerażenia, lęk ustępował.

Bił od niej cichy spokój. Płynęła z rysów łagodność.

Oczy kobiety błysnęły ostatnim promykiem zachodu, raz jeszcze szepnęła cichutko.

— Wzywałeś mię... zrozumiałam... przyszedłeś po mnie?... czy dla nas tam... odro-

dzenie?... Pot wystąpił obfity, splecione ręce opadły na suknię. Ciężko wsparła się w fotelu. Westchnęła, patrząc na portret. Białe jej usta zaszeptały cichutko, spłynęło z nich imię Bogarodzicy.

Serce bić przestało..... — — — —

Ostatni krwawy promyk zachodu drgający na chmurach — wpłynął do mrocznego pokoju. Musnął marmurową twarz śpiącej, zaświecił na poważnych rysach mężczyzny z portretu i rozświetlił je.

Pod ognistym, ostatnim płomieniem korale na czarnej sukni zakrwawiły się gorejącym pasemkiem. Zadrgały jak czerwony obłoczek na czarnej chmurze. Trysnęły purpurą niby krwawe łzy. — — — — —

Promyk zachodu wysunął się z pokoju. Unosił na swym szkarłacie dwa duchy ciche i szczęśliwe.

Skolatanie życiem, teraz spokojne.

Niósł je w przestwór jasny, do krainy wymarzonej za życia.

Do nowej wiosny, do odrodzenia.

A kwiaty zdobiące ziemię, drzewa pokryte wonnemi puchami, mroczne obłoki na niebie i powiewy wieczorne, pełne upajających zapachów, szemrały radośnie:

Połączeni, połączeni na wieki!

Z A C Z Y T A N A.

W zielonym buduarze, zanurzona w fotelu, czytała. Była noc świąteczna, po wieczery wigilijnej. Gęsta zamieć śnieżna sypała w szyby okien, jakby kto piasek rzucił z pełnych sił. W buduarze na konsolce paliła się świeca, błyskając żółtym ognikiem. Czerwono złote refleksy błędziły po zielonych ścianach, zapalały iskry na ponsowem obiciu fotela, igrały na obnażonych piersiach i szyi Zaczytanej, czyniąc niepochwytym zwój gazy, co otulał jej kształty aż do ciemnej sukni ściśniętej w stanie. Włosy luźno spięte z tyłu głowy nabierały w ogniu połysków metalicznych. Ciepły przytulny buduar dobrze ochraniał wątłą okrytą postać Ireny, jednak dreszcze wewnątrz wstrząsały chwilami jej ciałem. Oczy spuszczone na duże album w gustownej oprawie, mrużyły się często, z pod masy rzęs nie jedna łza spadła na welinowe kartki jaskrawe w blasku świecy.

Nie jedno westchnienie poruszyło żywej zwojem gazy.

Tyle wspomnień!

Wieczór wigilijny, miniony, jakby w szarej pomroce oddalenia, znikł w pamięci ludzkiej..... Zielony buduar nie zapomniał, zachowując w swych ścianach dawne marzenia.

Od tamtej wigilii buduar nie widział już promiennych uśmiechów na twarzy Ireny, zaszły one razem ze słońcem szczęścia, zasunęły się chmurami

I teraz jest noc powigilijna, i dziś, jak wówczas śnieg sypie w okna, zamieć na dworze. W domu cicho, wszystko spi.

Irena odczytuje ukochane album gdzie ma mnóstwo pamiątek. Jaką moc czaru mieszczą welinowe kartki, zawrotną przepaść wrażeń, cudną woń irysów delikatnych drażniących duszę, i zmysły.

Irena przy ognistym pasemku jednej świecy, czyta i myśli, leci duszą przez śnieżne dale, gdzie szumi morze. Gdzie góry strome o zielonych stokach, wspaniale w swym uroku i majestacie.

Myśl Ireny przebija zielone ściany buduaru i gna niepowstrzymana, leci z wichrem jak zamarzły płatek śniegu. Oczy utkwione w albumie widzą co raz nowe obrazy. Widzą wieczór wigilijny, taką radosną. On był wówczas z nią razem, łamali się opłat-

kiem—mówią sobie oczyma dużo, dużo Usta musiały milczeć. Lecz mowa oczu daje często więcej szczęścia i upojenia, może ułudy?... słowa bywają za blade, aby wyrazić niemi całą potęgę uczucia.

Irena wspomina ubieranie drzewka wigilijnego i rozmowę przy zawieszaniu cacek. W tej chwili najtragiczniej przedstawił się im — dramat ich życia. Zmuszeni uleść konieczności powiedzieli to sobie jasno i wyraźnie. A cacka na choince świeciły, drzewko szemrało jakby mówiąc:

„Nie dla was szczęście, nie dla was życie rodzinne“,

Po wieczery śpiewali kołędy, ona rozdawała dzieciom zabawki, on pożerał ją smutnym wzrokiem i mówił do swej duszy pogrożonej w sady nieszczęścia.

— „Nie dla mnieś ty, nie dla mnie“.

Minęły smutne święta, bo wigilja była dla nich przełomem ze złotej ułudy do szarych pustyn rzeczywistości.

Minęły święta, on wyjechał, rozstali się—może na zawsze?

I przeszedł rok. Znowu wigilja.

Świat się toczy!

Teraz Irena sama ubierała drzewko, każde cacko kropiąc łzami On nie siedział w ką-

cie salonu na foteliku, nie łamała z nim opłatka. Przy wieczerzy łkanie tamowało jej głos, w piersi czuła ból rozpaczy i żalu.

A śnieg sypie tak samo jak przed rokiem, na dworze zamieć.

W ciszy nocnej zdaje się rozlegać pieśń uroczysta:

„Bóg się rodzi, moc truchleje“

Irena czytała półgłosem:

„Ledwie się poznał, już cię żegnać muszę

A żegnam ciebie jak gdybym przez wieki

Żył z tobą razem i kochał twą duszę

A teraz jechał w jakiś kraj daleki

I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,

Chyba gdzieś, kiedyś po śmierci, tam w Niebie“.

....Te słowa Krasńskiego pisał on przed rokiem, po wieczerzy wigilijnej, gdy zostali sami w salonie.

Irena poczuła wilgotną chmurę w oczach, łzy splamiły welin. Jedna po drugiej spadały z pod ciemnych rzęs Zaczytanej — lecz nie czuła tego. Ręce jej drżały, łkanie porywało gwałtowne, zaciskała usta by nie wydać jęku.

Wszystko stracone, nadzieje zamarły, w rzeczywistości nie żyły nigdy. Zwiędły piękne kwiaty szczęścia, zagasły ognie co w sercu rozgrzewały namiętność.

Tylko iskry uczuć serdecznych wybuchają potężnie w złote stosy. Irena kocha wielką miłością, jej miłość dla niego rośnie i olbrzymieje, ubrana nie w jaskrawą szatę namiętności lecz w błądą iluzję ideału.

Tej delikatnej, cudnej tkaniny, nie zerwie żadna siła w życiu, żadna brutalność światowa.

To szata Anielska. Przędą ją złotowłose Anielice w obłokach, gdzie nie sięga złość ludzka, gdzie ironja dostępu nie ma bo ją tam depcą jak gada.

Jasne Anielice przędą tkaninę, snują z blasków zorzy, z bieli swych piór. Wdychają w nią wyżyne uczuć, powagę i anielski majestat. Takiej szaty świat nie zbruka, bronią jej potęgi.

Taka rozbłękitniona iluzja nie często ubiera uczucia ludzkie, ona idzie zawsze śladem ideału, unika jaskrawej szaty zmysłowej — wytworu duchów ciemnych. Owiewa jedynie uczucia uświęcone. Świat je nazywa — zbłękitniałami.

Bo są potężniejsze od codziennych, tem samem nie dościgłe dla uczuć w jaskrawej szacie zmysłów.

Myśli Ireny, tętą jej serca są wyanielo-

ne. Genjusz ideału błądzi w zielonym buduarze.

Irena siedzi smutna, zaczytana w literach drogiego pisma.

A tam nad morzem, w kraju pomarańcz, tam gdzie słońce jak wielki, rozpalony lampion sypie na ludzi kaskady złota; tam gdzie brzmia słodko mandoliny, gdzie białe żagle prują błękity Adrjatyków, tam gdzie *on* podróżuje—czy nad nim unosi się jaki duch?...

Jest mężczyzną i minął rok—wielka przestrzeń czasu!

Anielice przedzą swą otaczają przeważnie uczucia kobiet, mężczyźni częściej hołdują jaskrawej szacie zmysłowej.

Ta łatwo błędnie w oddaleniu i bez widoku który ją pobudza.

Więc czego on doznaje po upływie roku?..

Iluzja go nie owiewa. Irena nie zbłękitniała w jego uczuciach, a jaskrawa szata zbladła, może zanikła?

Co on odczuwa?..

Może piękność natury, może własny dobrobyt życia, może nudę czy apatię?..

Co porywa go?...

Czy wir życia?... czy zgielk przy stole Kasyna i suche wołanie krupierów?...

Za czym tęskni?..

Ha! może za krajem?...

Genjusz z zielonego buduaru nie wyfrunie do niego, Anielice nie użyczą mu swej szaty.

Minął rok Wielka przestrzeń czasu, otchłań zapomnienia!

Dla Ireny to czas nie zadługi, nie wygnał go z jej pamięci, ona nie odepchnie Anielic, nie zdejmuję iluzji. Genjusz ideału otaczać ją będzie aż do zmroku jej istnienia, aż do zaniku.

Łzy Ireny zdawały się milknąć w swym bólu.

Zamyślona smutnie, jasnowidząco, popadła w szarą zaćmę tęsknoty.

A śnieg sypał w okna, wiejka nie przestała szaleć. Strop nieba nieznacznie zbladł. Wstawał świt.

Boże Narodzenie—pierwszy dzień święta.

Nizko na konsolce dopalała się świeca, rzucając na zielone ściany buduaru, na obnażoną pierś Ireny, na zwoje gazy — czerwono złote refleksy.



W PRZEDZIALE I KLASY.

Pociąg rwał całą siłą pary.

Przez okna wagonu migwały wzgórki i rozległe doliny, pokryte kępami jałowcu i karłowatą wierzbą. Pogoda była śliczna, godzina przedwieczorna, zalana krwawą luną zachodzącego słońca. Biały kłęb dymu wylatując z lokomotywy, rozpadał się na pojedyncze kłaczki i świecąc w słońcu różowo, obsypywał gęsto wysoki nasyp toru.

W przedziale pierwszej klasy, pociągu kurjerskiego, przy oknie, siedziała młoda kobieta. Miała włosy jasno blond, z połyskiem, mieniające się w złoto; zaczesane bujnie nad czołem, lekko faliste, zakańczal z tyłu duży węzeł skrecony luźno.

Siedziała wspierając głowę na dłoni, zapatrzona w jaskrawe luno, z tęsknym wyrazem w ciemnych oczach. Drugą ręką zwiśla na sukni, trzymając rozłożoną książkę. W postaci kobiety przebijała apatia i rezygnacja.

Monotonny stukot kół wagonowych, świst lokomotywy, wpadał biernie do jej uszu.

Trwała w głębokim zamyśleniu, może

o tych roztoczach zalanych krwawiącym się blaskiem, które migwały przed jej oczyma z szybkością niepochwytą, jak najlepsze chwile w życiu człowieka.

O czym myślała?.. może o tem co już przeszła na ziemi, i co ją czeka jeszcze w wielkiej liczbie dni jej pozostałych.

Lubiła świat i ludzi. Wielkie zbiorniki cywilizacji, środowiska ludzkie pociągały ją również silnie, jak ciche łąki wiejskie z kłosem bocianów, jak rozległe pola ze śpiewem fujarki pastuszej. Kochała naturę, wielbiła sztukę. Muzyka, byle harmonijna, upajała ją zawsze. Ludzi lubiła dla własnych studjów, mówiąc, że ma przeciwne zdanie od Seneki. Ten mędrzec twierdził, że ile razy poszedł między ludzi, mniejszym wracał człowiekiem. Ona zmieniała mniejszy na—rozumniejszy.

Ludzie i świat, gdy weszła wśród nich młodziutką dziewczyną, zaczynającą żyć, wzięli ją odrazu w dość barokowe ramy. Ale inteligencja dopomogła jej do prędkiego rozejrzenia się. Zrozumiała ludzi, i pomimo ich błędów nie mogła bez nich żyć. Sama uważając się za pełną ułomności była wyrozumiałą na cudze winy. Z siebie nigdy nie czuła zadowolenia, wiecznie coś sobie zarzucając. I teraz w wagonie także karciła się widać, bo

wyraz grymaśny i gniewny przemknął po jej ruchliwej twarzy.

Z głębokiej zadumy obudził ją głośniejszy huk hamulców. Dojeżdżano do stacyi.

Wszczął się ruch w korytarzu, szmer głosów ludzkich i prędkich kroków. Lekkie szarpnięcie, przeciągły ryk lokomotywy, sygnały i pociąg stanął.

Młoda kobieta nie ruszyła się z miejsca. W korytarzu usłyszała głos konduktora.

— Proszę pana tu jest coupé, zajęte tylko przez jedną panią, może pan pozwoli?

— Ja pozwolę, ale czy ta pani pozwoli?—odpowiedział żartobliwy głos mężki.

— Poprosimy,—zawyrokował konduktor.

Drzwi się raptownie odsunęły, młoda kobieta odwróciła głowę, iskry gniewu zaświeciły w jej oczach.

Konduktor skłonił się.

— Pani pozwoli zająć to miejsce....

Z po za niego ukazała się wytworna głowa mężka, ręka odsunęła konduktora, i wysoki mężczyzna, zdejmując kapelusz, zawołał.

— Przepraszam panią że robię jej różnicę—ale...

Nie dokończył, jak popchnięty posunął się naprzód, z rozjaśnioną twarzą. Młoda ko-

bieta, w łunie rumieńca, powstała żywo podając mu rękę.

— A to traf szczęśliwy!.. bajeczne! — zawołał i jej dłoń podniósł do ust.

— Nie spodziewałam się pana spotkać— odrzekła z uśmiechem.

— Więc instaluję się tu na dobre. Pani tak groźnie spogląda na mnie, żem chwilowo stchórzył, ale teraz nawet nie pytam.

— Taki pan pewny? a jeśli odmówię.

— Nie zrobi pani tego, zresztą ja nie usłucham, bo najpierw cieszę się na myśl wspólnej podróży, a powtórę nie mam się gdzie podziać, wszędzie zajęte.

Wyrzwał na korytarz i zawołał na konduktora.

— Niech tu zniosą moje rzeczy.

Przy rozkładaniu walizek nie zamienili ani słowa. Gdy pociąg ruszył, usiedli naprzeciw siebie w milczeniu. On pochylił się do niej.

— Pani Anno, czy jestem wielkim intruzem?..

— Choćbym nawet powiedziała, i tak pan by na to nie zważał.

— Wolałbym jednak — nie.

— Więc powiem coś trzeciego: jest mi to obojętne.

— Brawo! ja tak mówić nie mogę, wolę

jechać z panią niż z jakąś tłustą bankierową, albo w pustych ścianach.

— Słowem szanse możliwe.

— I dobrze nam z tem.

Patrzył na nią przenikliwie.

Anna cofnęła się w tył, i oparta o poduszki, spojrzała mu śmiało w oczy.

— Czy pan także do Warszawy?..

— Tak, jadę w swoich sprawach, a pani?...

— Ja do krewnych, na krótko.

— W każdym razie obejrzy pani miejscowe wystawy sztuk pięknych, mówiąc nawiasem sztuk średnich, gdyż na prawdziwe piękno mamy zawsze posuchę. Będzie pani na paru operach.

— Zapewne, po raz setny odwiedzę wszystkie zakamarki godniejsze uwagi.

— I po raz setny wyjdzie pani znudzona.

— Znudzona?... to za silne, nie zachwycona, wyłączam opery, które zawsze lubię.

— A więc muzykę, jest pani złożona z tonów i refleksów bardzo subtelnych.

— Lecz nie zawsze harmonijnych, mięsam dysonanse.

— Skoro je pani odczuwa to znak osobistego krytycyzmu, analizy jaką pani nad sobą rozciąga.

— Jest to system dobry ale męczący.

— I pouczający, a bez walki nic.

— Jednak szczęśliwe są natury nie parzące w siebie, ani po za siebie, żyją w miejscu, bez pragnień, dążeń, a zatem i krytycyzmu.

— Ale istnienie takich skorupiaków to moralna śmierć, na jaką bym się nie zgodził, i pani również. Życie bez horyzontów, szerszych idei mogą ślimaki, bo im dobrze w ciasnej muszli, są szczęśliwe. Nawet nie pojmują istot unoszących się w górne sfery. Dla nich to trwanie czasu na darmo, szukanie utopji, przeróżne błędzenie ambicji bez rezultatów. Ich postulaty odpowiadają intelektualnym zdolnościom, polegającym li tylko na umiejętnym budowaniu własnych ram i pełzaniu po ziemi.

— Zapewne, błędzenie w krainach abstrakcji jest wielką ponętą dla ludzi o umysłach bardziej skrzydlatych. Ale czy pan nie sądzi że to istotnie utopia?... i że praktyczność jest po stronie skorupiaków?..

— Praktyczność?.. bez kwestji, ale ona z ideałem niema nic wspólnego, to siostrzyca ziemi, ideały są to dzieci błękitów, podobno nawet posiadają ich barwę.

— Więc praktyczność powinna być szara?.

— Taką też i jest.

— Czasem ideały zmieniają się również w szare, nawet w czarne.

— Skąd taki pesymizm?... pani jest jakby spadła z obłoków.

— Nigdy na nich nie byłam.

— Nie dążyła pani do nich.

— Bardzo ślizka droga — rzekła z grymasem.

— Tem ponętniejsza! Par excellence nie lubię utartych szlaków.

— O i ja nie! lecz gdy się po kilka razy wspinać, zawsze napróżno, to w końcu zmęczy, zniechęci tak, że nawet istnienie skorupiaków wydaje się znośnem.

— Trzeba walczyć do końca.

— I zginąć wraz z nadzieją?..

— Nie i zwyciężyć! Czy wie pani — rzekł zmieniając ton — widzę w niej wielką różnicę, od ostatniego widzenia się.

— Od ostatniego i od pierwszego, niech pan doda.

— Prawda, żeśmy się tylko raz widzieli, czasem myślę że znam panią od bardzo dawna.

— Mówiliśmy z sobą dużo.

— Tak, i o rzeczach jakie można zapamiętać. Rozmyślałem wiele o pani, szczególnie podobało mi się jej zdanie o ludziach, że im więcej się ich poznaje, tem większa ochota

do śmiechu a mniejsza do życia. To dowodzi pewnej krańcowości, bo już na płacz nie znalazła pani zastosowania, a płacz to przecie objaw pośredni.

— Bo ludzie nie są warci płaczu.

— Tylko śmiechu, dobrze! ale czemuż tak raptowny przeskok od śmiechu do śmierci?

— To są rzeczy różne, śmiech dla nich, śmierć dla mnie, gdybym już nie mogła ich znosić.

— Z tem się nie zgadzam, za marna idea aby dla niej pozbawiać świat takiej istoty jak pani.

— Gdyby mię ludzie tak zrazili że marzyłabym o śmierci, co by było wówczas światu po mnie?...

— Bardzo wiele! wskazać pani inny cel, inne horyzonty, gdzieby panią ludzie nie dosięgli.

— Czy pan rysuje obraz klasztoru? to nie dla mnie.

— Nie, ja zmierzam do zamążpójścia pani.

— Rzuciła się w tył niecierpliwie, ironiczny wyraz osiadł na jej twarzy.

— Ach! i pan?... myślałam, że choć pan odstąpi od tego szablonu wydawania mię za mąż. Zresztą jeśli by mię ludzie zrazili, czyż mogłabym iść pośród nich znowu?...

— Owszem! iść ręką w rękę z człowiekiem któryby się świata nie bał, a z ludźmi dał sobie radę.

— Więc musiałby w nich wierzyć.

— Nie koniecznie, mógłby ich równie dobrze puszczać kantem.

— To rzadki wytwór ludzkości taki człowiek.

— Czyż pani wszystkich, bez wyjątku podsumowuje pod swój kodeks?..

— Zamyśliła się.

— No nie, ja zresztą nie doszłam jeszcze do takiej ostateczności. Niekiedy doznaję wrażeń przeciwnych, są ludzie którzy mię nawet pociągają, wzbudzają ufność, którym wierzę.

— Doskonale! między nimi wybrać człowieka zastosowanego do pani, i w drogę, na przestworza! a ludziom rzucić na pożegnanie spazm ironicznego śmiechu.

— Powtarzam panu, to nie dla mnie, szablon, szablon!

— Za pozwoleniem! Co pani nazywa szablonem w tym wypadku?

— Co?... wychodzenie za mąż, gdy się do tego nie ma przekonania, zwłaszcza powtórnie. Pojęcie ludzi że młoda kobieta samotnie żyć nie może, czy nie potrafi... bo ja wiem!

W danym wypadku szablonem jest pańska troskliwość o moje secundo voto, wszędzie naokoło to samo słyszę.

Przesunął ręką po czole i wpatrzył się w nią długo, poważnie.

— Pozwoli pani że wszystkiemu zaprzeczę. Najpierw zamążpójście bez przekonania ja nazywam wprost niemoralnością. Oddanie się kobiety mężczyźnie bez wewnętrznego popędu, sugestji płynącej z jednakowych temperamentów, czy duchowych poglądów, jest usankcjonowaną prostytutką. Jednakowo nazywa ta przysługuje pannie jak i wdowie, nawet więcej wdowie gdyż jest bardziej uświadomioną. To punkt pierwszy. Dalej: ludzie myślą, że młoda kobieta samotnie żyć nie może, czy nie potrafi. Może—napewno, ale czy potrafi to pytanie?...

— Ja nie widzę w tem różnicy — przerwała Anna.

— A jest wielka. Żyć samotnie, bez oddanego sobie człowieka, który panią osłoni i stanie się jej tarczą w życiu, mistrzem, dobrym duchem, pani żyć może, zapewne, ale czy pani za takim istnieniem nie zatęskni?... Czy pani nie będzie jak bluszczyk, co bez podpory nie rośnie w górę, lecz wbrew przeznaczeniu wije się na ziemi, tęskniąc za opoką?..

Może żyć, tylko nie potrafi być szczęśliwym. Pani jest jak ów bluszczyk, choć się pani podaje conajmniej za dąb. Więcej ma pani energii niż siły, i naturę swą tęgą, trzeźwą i oryginalną, ale kobiecą, przygniatą pani ambicją wystarczania sobie. Popelnia pani błąd. Jest pani silną duchowo, ale nie tak dalece aby przejść przez życie bez opieki i jakiejś większej siły. Jest pani trzeźwą, lecz nie do tego stopnia aby świat i ludzie jej nie razili. Jest pani bluszczykiem i mimozą, te dwie rośliny rzucone na pustyni zginą zawsze. Ma pani ideały, dążności, które w czyn wprowadzone być nie mogą, gdyż za słabą jest pani kobietą: wrażliwą, głęboko czującą, z sercem i wschodnim temperamentem. Niech się pani nie krzywi na ten superlatyw, zaudało go ludzi okrzyknęli, w rzeczywistości wyraz ten użyty dobrze, jest nie zastąpiony.

— Względem mnie jest źle użyty, — przerwała lekko wznosząc ramiona.

— Pani daruje, lecz sąd o tem ma zawsze druga połowa rodu ludzkiego. Wracam do rzeczy: Nie jest pani emancypantką, chociaż wysoce kulturalną kobietą, czyli, że wszystkie cechy jakie wymieniłem, sformułowane, wytworzą stanowczy wniosek, że pani samotnie żyć może, ale szczęśliwą być nie po-

trafi, i jak mimoza wśród piasków zwiędnie pani prędko, tak moralnie jak i fizycznie, a to byłaby szkoda nie do darowania.

— To punkt pierwszy.

— I ostatni chyba?

— Czy znudziłem panią?

— Co znowu?...—rzekła żywo.—Przeciwnie, to co pan mówi zajmuje mię bardzo, pan mię znudzić nie może.

— A jednak nazwała mię pani szablonowym?...

— To w innej kwestji, to co innego.

— Właśnie teraz o tej innej kwestji będę mówił, raczej bronił się. Pani twierdzi że szablonem jest moja troskliwość o pani secundo voto, otóż ja temu zaprzeczam.

Poruszyła się żywo.

— Już widzę że się omyliłam, pan głębiej tłómaczy swą troskliwość i mówi pan z zasady, podczas kiedy inni tylko dla braku tematu, lub z obowiązku pochlebiania mi, że o mnie i o małżeństwie razem można jeszcze mówić. Miłosierne dusze! To jedynie nazywam szablonem.

— I jest pani w prawie; ja mówiłem z przekonania, a po drugie mam w tem osobisty cel.

Otworzyła szeroko oczy.

— Cel?... — jaki?... — spytała.

— Podsunął się bliżej i wziął obie jej ręce w swe gorące dłonie.

— Abyśmy razem szli w przestworza i abyś wsparta na mojem ramieniu mogła rzucić ludziom spazm ironicznego śmiechu.

Głos jego o niskich tonach brzmiał uroczyście.

Anna zbladła, cofnęła się przestraszona, ale trzymał jej ręce jakby w kleszczach. Fała krwi uderzyła jej do głowy oblewając twarz i szyję.

— Panie, co to znaczy?...—wyjąknęła.

— Chcę, abyś mi podała rękę, została moją żoną.

— Ależ panie Andrzeju! my się prawie nie znamy; wie pan, że gdybym go mniej szanowała, mogłabym się obrazić.

— Nie pani, kobieta obrazić się może wówczas gdy jej mężczyzna okaże brak czci. A ja składam jawny dowód jak panią wysoko cenię, skoro ją chcę mieć dla siebie.

— Czy to ma być pochlebne dla pana czy dla mnie?...

— Dla nas obojga.

— Czyli że zaszczyci?...

— Jest z obu stron, — dokończył.

Patrzył jej w oczy z pewną dumą i wielką pewnością siebie. Ona po chwili spuściła powieki.

— Więc czy tak?...

Podniosła głowę gwałtownym ruchem wysuwając ręce z jego dłoni.

— Proszę, niech mi pan powie co pana skłania do podobnej prośby?.

Wyprostował się dumnie.

— Głębokie przekonanie—rzekł z mocą.

— Przekonanie?...

— Że będziemy szczęśliwi, że pani jest kobietą jakiej dawno szukałem, a ja najodpowiedniejszym towarzyszem dla niej. Musieliśmy się w życiu spotkać i powinniśmy iść razem w jego szranki.

Patrzyła na niego zdumiona, imponował jej, porywał czarem.

— Ależ gdzie jest pańska teoria, jaką pan przed chwilą głosił, że małżeństwo bez głębszych idei jest... — jak pan to powiedział?....

— Niemoralne, i to samo teraz powtarzam, ale w naszym położeniu idea istnieje: obopólny pociąg ku sobie.

— Z pańskiej strony — rzekła z akcentem.

— I ze strony pani także — odrzekł śmiało.

— Pan jest zarozumiały!—wybuchnęła.

— Nie pani, tylko pewny siebie.

— Więc pan myśli że go kocham?...

— Jeszcze nie, ale to nastąpi niebawem, zamałszy z sobą przebywali. Tymczasem jestem pani wybranym typem, tak jak pani jest moim. Mamy na siebie wpływy. Zrobiłem na pani wrażenie od pierwszej chwili, ja zaś ujrzawszy panią powiedziałem sobie że będziesz moją. Jest to nieomylny znak jednakowej rasy, spotkanie się pokrewnych typów.

— Mówi pan jak Bourget.

— Ach tak! no więc i pokrewnych dusz.

Czy pani wierzy w platoniczną miłość?..

Zastanowiła się, poczem poruszyła głowę.

— Nie, może być platoniczne uczucie polegające więcej na przywiązaniu, ale miłość, w całem słowa znaczeniu, ma zawsze podkład inny.

— Zmysłowy, mówmy otwarcie, pani rozumie to jednakowo dobrze, jak ja. Nasza miłość wyrośnie na tej glebie. Obecnie pojmują się nasze duchy, i popycha nas ku sobie wspólność typów. Wszystko to z czasem stworzy potężne uczucie.

— Więc pan mię również nie kocha?...

— Owszem, ale po swojemu. Poco pani powiedziała również?...

— Bo i ja pana nie kocham.

— Owszem, ale także na swój sposób.

— Ha! ha! ha!—śmiała się Anna podnieconym śmiechem. Wsparta o aksamitną poduszkę, śmiała się serdeczną, długą gamą.

On siedział milczący, wpatrzony w nią. Szare jego źrenice nabierały blasku, twarz bladła. Na sfałdowanym czole żyły miał nabrzmiałe, nozdrza mu latały, usta zacinął.

Nagle zerwał się, stanął przed nią i porywając jej rękę zawołał stłumionym głosem:

— Pani Anno, co znaczy ten śmiech?... on mnie obraża, z czego się pani śmieje?...

— Z sytuacji!... ha, ha, ha!...

Ścisnął mocno jej dłonie, przeczuwał w tym śmiechu jeszcze coś innego i milczał.

Po chwili usiadł, ona się uspokoiła.

— Dlaczego sytuacja nasza wydała się pani tak śmieszną?... — spytał.

— Nie wiem! nie wiem! nawet nie śmieszna ale... dziwna, sam pan przyzna że nasza rozmowa...

— O tak, jest dość oryginalną, i mogła powstać tylko między ludźmi tego rodzaju jak my. Z panią nie mogę rozmawiać jak z pierwszą lepszą panną, i nie umiem padać na kolana prosząc o rękę. My z sobą musimy mówić inaczej. W każdym razie na odpowiedź pani czekam — za długo.

Spuściła głowę. Milcząc zaczęła gładzić białą, delikatną ręką fałdy sukni. Na palcu jej błyszczał brylant oprawny w złoto.

Milczenie trwało. Po twarzy jej przelatywały fale bladłości, i gorące płomienie. Oczy ma mrugała, usta jej drżały. Piersz opięta stankiem podnosiła się szybkim tempem.

On oka z niej nie spuszczał. Powoli wziął jej rękę i bez słowa, z pewnością siebie. ściągnął migocący brylant z jej palca i wsunął na swój mały palec. W zamian na jej białej ręce, błysnął pyszny rubin oprawny w brylanty, i krwawił się jak krwi kropla. Ona nie broniła się, więc pochylony, przycisnął do rozpalonych warg jej miękką, ciepłą dłoń. Wówczas powstała jakby siłą uniesiona, i w milczeniu z ogniem w oczach podała mu drugą rękę. Stali patrząc na siebie; z namiętnych ust jego wionął szept.

— Moja?...

— Tak! Wziąłeś mnie.

Objął ramieniem jej postać i wyciągając rękę, wskazał szerokie równiny za oknem, w czerwieni gasnących zórz.

— A teraz w przestworza!—zawołał gorąco.

Spojrzeli na siebie poważnie i połączyli ich długi, serdeczny uścisk.

„PANEM ET CIRCENSES!“

W salonie księżnej Idy raut rozpoczęty.
Wśród cieplarnianych kwiatów przecho-
dzą strojne pary, grupy palm kryją rozmarzo-
nych.

Eros szepce tu ckliwe słowa, powiew je-
go skrzydeł roznosi echa. Zabawa kipi. Męż-
czyźni i kobiety chciwemi dłońmi czerpią
z urny bogactwa i wesela, migotliwe cacka.
Nurzają się w szerokiem źródle zapomienia.
Drogocenna klatka pałacu otacza ich miękko lecz
stanowczo, chroniąc od zewnętrznych burz.
Przewodników światła mają mnóstwo, elek-
tryczność jest na zawołanie. Kwiaty, wy-
kwintne potrawy na srebrze, wszechświatowe
wina. I muzyka upoista, gdy się słuchać chce,
i amfory pełne uroczych nektarów zabawy.

Złota, ciepła, wygodna klatka.

Księżna Ida w otoczeniu przyjaciół załża
się wdzięcznie, z grymasikiem na ustach, i po
francusku.

— Jesteśmy pogrążeni w zupełnej ciasnocie warunków, taka bezmierna nuda to źle działa na duszę, mnie już ogarnia spleen.

— Odwagi książę, odwagi, — pocieszał hrabia Artur. Ten martwy sezon już się kończy.

— Ach tak się nieźnośnie wlecze! co hrabia myśli robić z jesienią?....

— No, przedewszystkiem wyścigi; zapowiadają się dobrze, ogromny będzie zjazd.

— I pyszne okazy koni — dodał jakiś hrabicz.

— A trenerzy?.... można powiedzieć europejskie siły.

— Trochę za mały nasz hipodrom — ozwał się z lekceważeniem baron Lulu. Mała satysfakcja, wolę totalizatora.

— O! pyszna gra. Pan zapewne jędzie potem zagranicę?....

— Do Wiednia, hrabino—odpowiada Lulu, pożerając oczyma z pod szkieł, okrągłą figurę hrabiny Wiki, w mocno przewiewnej sukni.

— Rozkoszne miasto!

Lulu zaczyna się zapalać.

— To właściwie nasza stolica! w Warszawie nawet Jockey-Clubu nie ma.

— Co to jest?.... zżymnęła się księżna Ida — prócz Hersego, który... ujdzie, więcej nic.

Lulu uśmiechnął się.

— Przedtem jednak muszę odbyć nie-miłą podróż na Ukrainę do swoich dóbr.

Hrabia Artur spytał naiwnie.

— Pan się niemi zajmuje?....

— Wyciskam, — odrzekł Lulu z dowcipną miną wysuwając głowę naprzód; ręką robił ruch jakby wytłaczał mokrą gąbkę.

— Ach tak! cela va sans dire!

— Pocóżby inaczej jeździł? — wzruszyła obnażonemi ramionami piękna Wika.

— A panie jakie snują projekta na zimę?...,

— O bardzo urozmaicone, bardzo poważne. Namawiam księżną aby towarzyszyła nam w podróży — mówiła Wika. Jedziemy liczną paczką, na Wiedeń, Rywierę. Będziemy w Paryżu, nawet tam najpierw, bo nę-cą nas wyścigi i miejscowy highlife.

— O! to projekta rozległe.

— Jeszcze nie wszystkie, mamy być w Madrycie na walce byków.

— Aż tak?....

— A tak, na walce byków—potwierdziła Wika z tryumfem. To musi być bajeczna przyjemność, rozkosz podniecająca nerwy. Marzyłam o tem zawsze.

— I mnie to dziwnie ciągnie — zaśmiała się Ida—potrzebuję takich wrażeń aby żyć.

U nas ich brak szalenie. Teatr blade, nie sprawia emocji, jedynie operetka daje czasem żywszy impuls. Cyrk nędzny.

Lulu ujął się.

— No, walki siłaczów nieźle, to drażni.

— Tak, byłam parę razy, ale denerwuje mnie zawsze wyjąca tłuszcza na górze, nawet w łoży nie można swobodnie patrzeć.

Hrabina Wika zmysłowo odchyliła swe perłowe ząbki z karminowych ust.

— Ja lubię siłaczów, szczególnie ten jeden taki piękny, jak posąg, nazywał się Freszt. Gładjator prawdziwy.

Ida skrzywiła się.

— Mnie tylko zajmowała ich energia, i takie bajeczne muskuły.

— Zazdroszczę paniom Madrytu—mówił Lulu.

Więc jedźmy razem.

— Z żalem, lecz nie mogę, mam pewne sprawy we Wiedniu.

— Erotycznej natury — bąknął brzegiem ust hrabia Artur.

Obie panie ciekawie błysnęły oczyma. Lulu patrząc na hrabiego położył palec na ustach.

— Dyskrecja hrabio..... szepnęła z uśmiechem i dodał głośno.

— Mam się tam zjechać z przyjaciółmi, Jockey-Club nas zjednoczy.

— Pękniętą tysiąc — rzekł młody hrabicz.

Lulu spojrział na niego z góry.

— Mam ich dosyć, Ukraina mi dostarcza, zresztą nie daję zasypiać jej, żądam stale dochodów i administracja musi dawać.

— A strajków u pana nie było? — spytał hrabia.

— Nie uważałem na to, to rzecz administracji, ja muszę mieć pieniądze i daję mi je.

— Podobno w tamtych stronach społeczny ruch rozwinięty?

— Nie słyszałem, może wśród drobnych obywateli.

— Owszem było parę nazwisk naszych, myślę jednak że i oni robili społeczność tylko dla rozrywki. To ma nowy smak, przytem wzbudza zaciekawienie u plebsu. Jedni dążą w ten sposób do zabawy, inni dla rozgłosu.

— Bo nam już wiele rzeczy spowszedniało — odrzekła Ida — pragniemy nowości, a tych niema, wieczny głód wrażeń.

Lulu wysunął głowę naprzód, mrużąc oczy.

— Ja prócz wrażeń pragnę jeszcze jednego motoru do życia, najgłówniejszego...

— Miłości?...—podchwyciła Wika.

— Mamony!

Wszyscy potwierdzili, Wika wzruszyła ramionami.

— Ja tam o to nie dbam, muszę mieć dużo złota i mąż mi daje.

— A pani mąż musi mieć jeszcze więcej i również nie dba o to, bo muszą mu dać: majątki, różne dzierżawy, lasy—oto nasi bankierzy, od nich żądamy, od kraju — mówił hrabia Artur.

Orkiestra na ukwieconej estradzie w sali zaczęła grać walca z „Czaru“, „Śpiewaj ach śpiewaj walczyku ty“. Hrabina Wika słuchała siedząc w niedbalej pozie, oczy melancholijnie przykryła powiekami. Wachlarz drżał w jej dłoni. Baron Lulu pochylił się do jej ramion.

— Pani marzy?.....

Ocknęła się, powłóczyście wzniosła oczy.

— Ładny walc..... do tęsknot pobudza, więc pan nie jedzie z nami?...

— A pani mąż?....

— Aż do grudnia poluje na renifery, gdzieś tam u barbarzyńców północy.

Lulu przysunął się bliżej.

— W takim razie.... jądę.... jako gladiator... czy zwyciężę?.....

— Kusicielu! — szepnęła Wika zalotnie.

— Czy zwyciężę przeciwnika?... powtórzył.

— Męża?.. przez to samo że nie obecny.

— Co państwo projektują—spytał Artur.

Wika i Lulu zaśmieli się swobodnie, — ona odrzekła.

Nowe igrzyska! baron jedzie z nami na walkę byków, potem do Monte-Carlo na tir aux pigeons i naturalnie... ruletę

— Ja wolę trente et quarante—rzekła Ida.

— A ja baccarata — dodał hrabia Artur.

— Więc razem w świat do życia i zabawy! bo ono jest w niej—zawołał Lulu.

— A teraz słuchajmy walca.

— — — — —
W dobrach milionowego magnata, którego okolica знаła pod nazwą Krezusa, oczekiwano wielkich zmian. Krezus otrzymał bardzo znaczny spadek po rodzicach. Jego kapitały, mocno szarpnięte na różne potrzeby majątkowe, spęczniały poważnie. Krezus w każdym majątku miał fabrykę, gorzelnie, browary, turbinowe młyny. Podziwiano jego czynność, ale jakoś nie miał przyjaciół. On o to nie dbał, czując się wyższym nad opinię pospolitych ludzi. Używał świata i jego bogactw;

w swych dobrach dawał zarobki wszystkim którzy mu byli dogodni; roiło się tam od Niemców i żydów, bo ich Krezus uważał za najpraktyczniejszych. Bawił się w sport, puszczając konie na tory, a gdy raz jeden koń złamał nogę, Krezus z zimną krwią zabił go sam. Nie lubił nieużytków. Do pasji jego należało polowanie z chartami, pierwszy pędził za niemi, wpijając ostrogi w boki wierzchowca aż do krwi. Z rozkoszą patrzył na psy jak rwały zająca, upajał się wrzaskiem mordowanego zwierza,

Krezus lubił i umiał się bawić po swojemu.

Nagle przyszły dziwne czasy, jakieś fermenty wśród ludu, agitatorstwo, filantropje.

Krezus kręcił głową powątpiewająco.

— Czego się to im zachciewa?.... — mówił do żony.

— Plebs zawsze nieugłaskany—odpowiadała ironicznie Krezusowa.

Ale ruchy wzrastały. Różne związki obywateli, uczącej się młodzieży, różne partje przewrotowe, zdumiewały Krezusa.

Spółczeństwo, kraj, lud, brzmiało dokoła wywołując wielkie ofiary, rodząc zapał.

Do Krezusa zaczęły napływać prośby, odezwy o składki na cele społeczne. Z po-

czątku czytał i słuchał z zajęciem, potem — listy szły do kosza, a ustnie proszącym odpowiadał.

— Nie mam pieniędzy, jak dostanę spa-dek..... wtedy.....

Rzucił w powietrze obietnicę podkreślając ją wymownym gestem.

Życzliwsi brali jego stronę.

Nie ma gotówki, wszystko włożył w majątki, poczekajmy.

I fakt się spełnił. Olbrzymie sumy wzbogaciły kasę Krezusa. Oczekiwano zmian.

— Teraz on sypnie na dobre cele, teraz społeczeństwo pozna w nim opiekuna i patryjotę—mówili optymiści.

Posypały się piękne projekta okolicznych działaczy. Zakładanie szkółek w dobrach Krezusa, gdyż nie było ani jednej, ochron, szpitali.

Kosztorysy przedstawiono Krezusowi, ciesząc się z jego filantropijnych obietnic.

Grono obywateli pragnęło utworzyć parę instytucji społecznych, szerszej działalności, z udziałem inicjatorów. Liczono na największy współudział Krezusa. On kręcił głową na sesjach, wydymał usta, marszczył brwi i ciągle powtarzał:

— Genjalna myśl, tak, tak, wybornie.

Ale na sesjach się kończyło. Krezus pieniądze nie dawał, ciągle mając na planie coś „pilniejszego“, a ruch brwi i gest ręki nasuwał pewność, że to coś bardzo ważnego.

Czekano cierpliwie, chociaż wśród pesymistów zaczęto sarkać. Optymiści uspakajali.

— Ależ czekajcie! to się pokaże, on pewno coś robi; dotąd skrycie, ale prawda wyjdzie na jaw; to musi być gruba robota.

I prawda wyszła. Krezus zaczął odnawiać pałac. Sprowadzeni z całego świata artyści kierowali robotami. Rzeźbiarze, malarze pracowali za olbrzymie sumy, czyniąc bogaty pałac skarbnicą przepychu i zbytku.

Marmurowe sale, krzyształowe sufity, drogocenne materje rzucano na ściany. W parku zrobiono istny pogrom z niepotrzebnych drzew. Lipy, stare dęby, odwieczne buki, — to przesąd krajowy, — poszły pod topór. Zastąpiły je angielskie ogrody, zagraniczne drzewa. Sadzono cyprysy, muzy, magnolie. Gustem naśladowano Szönbrunn.

Krezusowie krzatali się ogromnie zajęci.

— Cywilizujem kraj — mówiła Krezusowa — trzeba mu dać choć jeden prawdziwie europejski pałac.

— A szkoły, szpitale?.. a nasze projekta?—pytali trochę zmartwieni optymiści.

— Cierpliwości panowie, ja myślę o kraju, ja działam, lecz... do czasu... odpowiadał Krezus.

Znowu ruch dyskrecji i obietnic.

Pani Krezusowa tymczasem układała co raz nowe pomysły; dopomagał jej w tem jakiś młody, błękitny ptak miejski, który wpłatał się w grono arystokracji i zyskał uznanie, nawet zachwyt. Stał się on encyklopedją gustu dla Krezusostwa, doradzał, chwalił lub ganił, i tysiące grzeźły w posadzkach i murach pałacu.

Pani Krezusowa jednocześnie bardzo polubiła zielony kolor. Okolica zdziwiła się ujrzawszy nowy zaprząg Krezusowej jadącej na spacer. Lando miało zielone (papuziaste) aksamitne wybicie, stangret i lokaj zielone liberje ze złotem, angielskie szory w zielone paski, a Krezusowa w jasno zielonej sukni z chińskiego jedwabiu, w takim samym kapeluszu, rękawiczkach i z koronkową parasolką w zielone pasy.

Ludzie po wsiach otwierali gęby na tak niezwykły widok, a oświeceńsi zaczęli odgadywać do jakiej partji należy Krezus reklamowany przez żonę.

Pesymiści wyraźnie machali rękoma, nie mając już poparcia optymistów, gdyż i tych ogarnęło zwątpienie.

Dwa lata prawie odnawiali pałac, dwa lata najcięższych trosk społecznych, największych zaburzeń, najgwałtowniejszych potrzeb kraju.

Przestano wierzyć w obiecujące gesty Krezusa i odzywać się do niego w bieżących kwestjach. Zażalenia optymiści spoglądali na niego z ukosa, pesymizm wziął górę.

Gdy pałac ukończono, Krezusowstwo rozesłali mnóstwo zaproszeń na bal do nowej uklejonowanej klatki. Przedtem jednak drgnął w Krezusie społeczny nerw, zapragnął działać.

Do okolicznych obywateli, pesymistów i optymistów, nadeszły własnoręczne listy jego, zapraszające na sesję w pałacu, gdzie przedstawi swe programy

Powstał mały szumek, jedni się zapalali, drudzy chłodzili, wiedzano bowiem że odnowienie rezydencji pochłonęło takie sumy że z dawnych zostały resztki. Ciekawość przemogła zwątpienie; pojechano.

Krezus przyjmował „braci patryjotów”—tak ich nazywał—bardzo czule i gościnnie. Dał im wybornych win, jeszcze lepszych ostryg i najlepszych cygar. Wielu pod wpływem tych śliczności, wybaczyło mu wszystkie zawody, pito jego zdrowie z zapalem. Lecz większa część gości była wstrzemięźliwszą.

Po obiedzie, czarnej kawie, cygarach przypomniano właściwy cel zjazdu, pytając o programy.

Krezus ruszył poważnie brwiami i uroczyście powstał z fotelu. W głębokiej ciszy zaczął mówić pewnym głosem.

— Właśnie wezwałem tu panów, pardon!... sprowadziłem..... właściwie... prosiłem na sesję... tak, na sesję, w celu omówienia pewnych pomysłów społecznych. Dziś stoimy na drabinie, bardzo rzecz można górnej, mówię—my, patryjoci, szerokie horyzonty mamy przed sobą do działania. A zatem... a zatem nie zasypiajmy panowie! dzwon obowiązku nas woła, nie cofajmy się!...

W salonie przemknął lekki szmer, kilka głosów mruknęło.

— Nie może się cofać, kto nie siedł.

— My nie spaliśmy wcale.

— Dzwon obowiązku dawno brzmi.

Krezus mówił dalej.

—Ja więc jako patryjota, pragnę panów wciągnąć w swe zamiary, mam nadzieję że pójdziemy społem, nie odmówcie mi!

Znowu pomruk.

— Nas wciągnąć?... to myśmy wciągali, bezskutecznie.

—Chcę przedstawić projekt — mówił Krezus — abyśmy wszyscy jednocześnie, podnieśli płacę dla służby. Ja daję przykład. To panowie będzie czyn filantropijny, to trzeba przegłosować. Rzucam myśl! Teraz druga.....

Spojrzał po obecnych, sprawdzając wrażenie. Siedzieli, zagadkowo milcząc, tylko jego sekretarz kręcił się na krześle.

—Teraz druga: trzeba po wsiach, (uradźmy w jakich) pootwierać małe sklepy, rodzaj restauracji, gdzie mogliby zjeść i wypić, na wzór zagranicznych bierhallów. Do sprzedawania nic, tylko opłata (uradźmy jaka) za jedzenie i picie. To punkt drugi.....

Znowu spojrzał na salę, czekał oklasków ale nie było ich; sekretarz kręcił się ciągle.

—Punkt trzeci i... ostatni. dać ludowi, pogrążonemu w ciemnościach, biednemu naszemu ludowi, który nic nie ma prócz pracy... dać mu... teatr!..

Milczenie; sekretarz spadał z krzesła. Wszyscy siedzieli jak uśpieni, istotnie myśląc że śnią. Krezus zniżonem głosem kończył.

—Te trzy punkta zaznaczam jako niezbędne. To podniesie ducha, wzmoże siły, i ostatecznie będzie kulturą dla tych mas... ciemnych. Wierzcie mi panowie, że teatr da ogromny impuls, sztuka wyrobi w ludzie este-

tykę i zamiłowanie do piękna. Ja, powtarzam, daję przykład i zaprowadzam to u siebie.

— Ale za co?...—odezwał się rozgorączkowany sekretarz.

Krezus zdumiał się.

— Jakto za co?

— Bo na to panie szefie, trzeba pieniędzy dużo, a u nas.....

— Co?... co?... nie rozumiem!

— A u nas już ich... nie wiele.

Zgromadzenie poruszyło się. Panowie powstali z krzeseł; rozległy się głosy chłodne, zawiedzione ostatecznie.

— Choćby pan miał pieniądze—mówiono do Krezusa—to nie jest cel pakować w bierhalle zagraniczne i rozpajać lud do reszty. Restauracje również nie na czasie.

— Co do podwyższenia płacy, to żaden z nas na to się nie zgodzi, z tej racji, że na to nie ma. Podwyżki były po strajkach, są już wyżyłowane, więcej dać nie możemy.

— Filantropja z cudzej kieszeni, — padł jeden głos.

— A teatr jest głupstwem, tam gdzie brak szkół, analfabetom potrzebniejszy belfer jak aktor.

— Myśmy pozakładali ochronki, ale te nic nie znaczą w obec ogromnej potrzeby oświaty.

— Liczyliśmy na pana i jego dawne obietnice. Społeczeństwo wymaga ofiar nie okruszyn.

Gdy po chłodnych pożegnaniach z obrażonym Krezusem „bracia patryjoci” rozjechali się, on mówił do żony z ironiczną miną.

— To profani! nie potrafili ocenić moich pomysłów. Cóż wznioślejszego jak dać ludowi byt i sztukę?...

Krezusowa, leżąc na kanapie, ziewnęła rozkosznie.

— Mówiłam ci daj pokój, nie wdawaj się z nimi, sameś sobie winien.

On kręcił głową i uśmiechał się.

— Dziwni, dziwni ludzie—powtarzał.

Pani nagle zerwała się z kanapy,

— Mój drogi, mówmy o balu! już za parę dni. Co ty sobie myślisz?...

Krezus ożywił się.

— A prawda! no więc?.... mów. Plan powzięty, opracowałaś go pewno?...

— Naturalnie ze szczegółami. Otóż najpierw bal, z udziałem muzyków i śpiewaków. Przytem rakiety, ognie bengalskie, potem turnieje, mam zamiar urządzić konnego kadryla. No, i zresztą polowanie par force, to już twój wydział, a na jesień uciekamy za granicę, prawda?...

Położył się na kanapie, i wyciągnięty wygodnie, mówił powoli.

— Chyba tak, pałac skończony, możemy jechać, a tam się jakoś inaczej żyje, miękko i zarazem podniecająco. Wiesz?... tęsknię już do francuzkich sałat i Lacrima Christi.

— A do rulety?...

— O także! muszę dużo wygrać, trochę jesteśmy spłókani, ten pałac bajeczny — ale drogi.

— To trudno, mon chère, noblesse oblige, my nie możemy mieć innego pałacu.

— Muszę wygrać, — powtórzył sennie Krezus.

Przymknął oczy, i widział już czarny stół w Kassynie, poznaczony figurami krupierów. Złoto błyszczało gromadnie.

— Muszę wygrać!

— — — — —
Południowe, złote słońce Rzymu rozjaśniało olbrzymie mury Colosseum. Wpełzając w szczyby i oczodoły okien, świeciło na kamieniach, ogrzewało grzyby. Październikowe słońce, już łagodniejsze lecz zawsze jaskrawe. Miljonowy raz rozbłysło na jasnych kostjumach pań i panów, którzy weszli na dawną arenę podziwiając jej starożytność.

Panie brały piasek w rękę i odłamki kamieni. Mężczyźni dotykali murów.

Wszyscy byli rozciekawieni, weseli.

Księżna Ida oglądała gmach z zajęciem.

— Czy ta arena większa, czy Madrycka?

Hrabia Artur badawczo badał ruiny.

— Trudno osądzić, tu pustka, a tam urządzenia, ławki i publika.

— Ach te walki! nie wychodzą mi z myśli — rzekła jedna z pań.

Przewodnik wskazywał łożę Cezara, powtarzając słowa nieskończonej śpiewki swego fachu.

Baron Lulu, Wika i Krezus chcieli koniecznie usiąść na ruinach dawnej łoży, ale im odradzono, powalają się ubrania,

— Tu siedziała Poppea i Neron—mówiła jakaś księżniczka,— a tu może Winicjusz i Petroniusz z Quo Vadis.

— A tu na arenie była Ligia i Ursus.

Przewodnik nie słuchając rozmowy turystów, objaśniał bez przerwy, trzepiąc po włosku, wskazywał górne piętra ruin.

— Tam gromadził się lud rzymski zebrany na igrzyskach.

Hrabia Artur zamyślił się.

— Tak! — rzekł po chwili. Mury te pa-

miętają dużo, czasem i tu rozbrzmiewało nie-ludzkie wycie plebsu:

„Panem et circenses“!

Towarzystwo skrzywiło się, niesmak osiadł na wszystkich ustach.

— Fe! idźmy stąd — rzekł Lulu — Hrabia poruszył poziome wspomnienia.

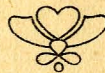
Krezus uśmiechnął się.

— To okrzyk i dewiza zbestwionego tłumu, już się on nie powtórzy. Mamy cywilizację.

Nachmurzeni, z wyrazem wstrętu w twarzach, panowie magnaci wychodzili z murów.

Wielkie ruiny Colosseum zdawały się śmiać ironicznie, wyszczerzonymi oczodołami dziurawych łóż. Odwieczny gmach igrzysk żegnał nowoczesnych inteligentów barbarzyńskim okrzykiem:

— Panem et circenses“!



I D E A.

ZAWOD IDEI.

Spłynęła z błękitów kolorowa, śliczna w przejaśni, co jak złoty krąg otaczała jej mistyczną postać.

Spłynęła w fioletowej łunie natchnienia — w różowym zawoju uczuć subtelnych. I niosła wonny, wybuchały kwiat Ideału. Sama go wypielegnowała, wzrósł na jej łonie i równie był biały i niepokalany.

Wetchnęła weń zapach czarowny słodkich upoiń i dała mu siłę panowania i potęgę tytanicznego wyrostu w bezmiar, w nieskończony rapsod szczęścia.

Posypała go gwiazdnym pyłem marzeń, by świecił jak mleczna droga na ciemnych przestrzeniach nocy.

Pokropiła go brylantową rosą z tęczywej rzeki natchnień, by skrzył się miliardami ogniwek i roznosił swe race wysoko, hen, łącząc ziemię z tęczą błękitów.

Ona rozruciła mnóstwo takich kwiatów pośród ludzi, stworzonych na swem łonie i cisnęła je na świat hojną dłonią w nadziei, że rozrosną się wspaniale, że świat weźmą w swój krag.

Silnym ludziom rzuciła na głowę pączki swych kwiatów.

Słabym podarowała rozwinięte kielichy—aby upajając się pięknem ich, dążyli na wyżyny...

I spłynęła z błękitów, aby ujrzyć rozkwit siewu, nakarmić się obfitością plonu. A jeden kwiat zabrała z sobą by dawał przykład ludziom: do jakich rozmiarów i piękna dojść można—gdy się pragnie celu. — — —

I kolorowa, śliczna w łunach z fioletu, z białych kielichem w dłoni, spłynęła na niziny ziemskie, roz tęsknionem okiem, szukała wśród ludzi — rozświtu jutrzeńki.

Cicho, jak wiew motyla, zsunęła się nad marmury pałaców. Lśniły w słonecznej roztoczy bielą przezystą, a zimną, jak fala jeziora. Migotały wykwintne płyty, otaczał je przepych i moc kwiecia.

Ona, szukała plonu.

Mnóstwo cudów! wyniesione szczyty pałacu w koronach wieżyczek, śmiało wskazujących obłoki, zdobne w klejnoty fresek mar-

mur ścian, arkady rzeźbionych balkonów, kryształły szyb zimowego ogrodu, wszystko tonęło w rozrosłych djademach drzew, ciemne kontury otulały biel pałacu—niby aksamitna toga dziewicze ciało

I pałac — jak dziewica — rozsuwała na jezioro ciężką togę, aby fale mogły poić się wdziękiem kształtów, pieściwych, uśmiechniętych rozkosznie do słońca — również zakochanego.

Kwiaty wieńczyły podnoże marmurów, czepiały się balkonów, spływały festonami z okien. Potop kwiecia, barw, zapachów, królował, ozdabiał połyskujące zęby schodów, omotywał wiadukty, plątał się na wodotryskach i posagach.

Kwiaty i kwiaty—przepaść! otchłań!

Róże wspaniałe, rozkosznie oddane słońcu, kąpały się w tęczy, drażniąc ilością barw. Zmysłowe róże! Na hamakach ze szmaragdowych atlasów bujają ułożone w pysznym rysunku miękkich powabnych ciał. Dokoła czuć perfumy tych zbyt: silne, odurzające, roznamietnionym motylom oczadzają głowy. Róże opylone brylantowym pudrem, czerpanym z przestworzy świetlików powietrznych, — słońce pieści się niemi i całuje aż do zapa-

miętania; gorącem pożądliwych oddechów, spala delikatne płatki boginek rozkoszy.

One tego pragną; spoczywając na siatkach, kołyszą się wyniosłe, uśmiechnięte, mrużąc piękne oczy i wabiąc kokieteryjnie licznych zalotników.

Zmysłowe róże!

Ale białego kielicha o gwiazdnej aureoli, kwiatu Idealu wśród nich niema. — — —

Ona, ta z błękitów sfrunięta, płynie i szuka dalej.

Białe lilje, niby takie niepokalane — czyste, — mają na swych pręcikach pył żółtawy, który brudzi je za każdym wstrząśnięciem. Stają sztywne, bardzo majestatyczne i nieprzystępne, z powagą pochylają czaszki lśniące jak srebrna lampa, wygięte z klasyczną finezją. Jednak złamać je łatwo, byle mocniej pochylić a ścisnąć palcami, zaraz więdną, — na wygiętych wachlarzykach występują ciemne plamki i. . koniec. Ale woń, jak marzenie, taka nieuchwytna, trochę nastrojowa.

Obok nich kapryśne, pełne fantazji — dalekie krewne — w stylu moderne irysy.

Powróciła ich przedwiekowa świetność, kiedy wieńcem kielichów ozdabiały tryklinia Cezarów, ogrody Palatynu i z anemonami

rozpanoszyły się w pachnących komnatach rzymianek. Wróciły dobre czasy.

I dziś irysy święcą tryumf, podnoszą secesyjne głowy butnie, po nad zielone szable swych liści, z lekka rozchylają ciemne i jasne lila koszyczki. Ale i wśród nich niema gwiazdnego kwiatu Idealu.

Ona, ta z obłoków sfrunięta, płynie i szuka dalej.

Smutne rozteśknione powoje zarzucają ramiona na białe arkady marmuru, obficie kwitną ozdobne maki, tęcze barwy goździków z dygocącym wewnątrz piórkiem serdušek.

Wielka rozsnuwa się po kłabach emalii bratków, aksamitnych, zdobnych w niesłychanie piękne źrenice, i azalje bukieciaste, i tuberozy i lewkonje pachnące szczodłą wonią. Wiją się kółka różnobarwnych werben — wyniosłe tulipany sterczą jak dzidy, pospółstwo kwiecia, oceany barw, roztoz woni.

Tu posiew zaginał, nieodpowiednia gleba.

Ona, ta z błękitów sfrunięta, popłynęła dalej szukać plonu.

Opuściła marmury — tu go nie znajdzie. Gorycz zaćmiła śliczny róż zawoju marzeń, pyszny gwiazdny kielich drgnął rozżalony.

Suną w skromniejsze siedziby. Wsze-

dzie zawód. Wszędzie inny krzew rozrasta się wspaniale. Tam cieszy się miłością lepki chwast Egoizmu, tam niski krzak Namietności pęcznieje i wyrasta w drzewo kolosalne. Lecz z największego powodzenia słyną jaskrawe kwieciska dobrobytu i tyje wielki, tłusty pień Pychy. Nigdzie ani płatka z Idealnego kielicha, ani pyłka z gwiazd mlecznej drogi, wszędzie ponury szmat cieni.

Zasmuciła się Idea, zgasła fiolet luno, wicher żalu rozwiął róż zawoje.

Wymarzony plan zginął, pochłonięły go rośliny rozwiemożnione żarłocznie.

Zawód bolesny! bo to, co szczęście daje istotom ludzkim, co podnosi ducha, odmładza starców, uszlachetnia młodych — to nie wyrasta.

Biednaś kraino, gdzie takie giną kwiaty! Mizerna glebo, w której marnieje taki siew!

O! straszno Ludzkości — gdy zwiedną wśród niej gwiazdne Ideały kwiatu.

Czara z nektarem szczęścia zamyka złowróźnie skarb, już nie płyną źródła Altruizmu; — nie ulatnia się wonny dym wybujałych myśli, wszechprzestrzeniowych pragnień — bo te, skryształizowane, tworzą Dzieła.

Gdy ich brak, Ludzkość pogrążona w sy-

barytyzmie mierźnie — zaraża się upodleniem i następuje rozkład.

Idea, ta z błękitów sfrunięta, westchnęła nad krajem gdzie zginął jej kwiat.

WALKA IDEI.

Lecz oto drgnął gwiazdny kielich w Jej dłoni, drgnął i popchnął je do czynu. I rzekła sobie — walcz!

Łunę z fioletu rozjaśnił blask, kwiat sypnął gwieździste rakiety.

Wskrzesić, pobudzić, na nowo tchnąć!

I rzutem kochającej Matki, na widok zranionego dziecka, Idea poszła na wielki bój.

Oni skrzywdzeni — ocalę ich!

W kolorowych dymach idąc ku — Ludzkości, wzniosła w górę wonny kielich; spadło z niego tysiące kwiatuszków, niby kaskada pereł z mlecznej drogi — na szare padoły. Spadły jako nowy dar, hasło do podniesienia przyłbicy tym, którzy boją się Idei i jej tchnień, jako surm wojenny dla tchórzów — co zamknęci w ciasnych namiotach bytu, dążą w obawie walk.

Posypały się kwiaty rozbłysłe gwiazdami

Zaszumiły pióra.

Złotodajna ręka szafuje bogato, sypie na marmur i wieżycę, na rozkwitłe ogrody.

Sypie na kolosy miast i tam podwaja hojność, sypie na skromne siedziby — sypie na Ludzkość — niewdzięczną, a siejąc Idea woła!

Rośnij—rośnij w plon!

I różne rzeczy ujrzała.

Bywają miejsca twarde, gwiazdny kwiat rozpada się w pył, w proch brylantowy, nieprzystępne miejsca dla siejby z rąk Idei. Inne kielichy toną w morzach — Rozpętania.

Groźne morza o huczących bałwanach i czarnej fali. Pianą śliny zatruwają kwiat, ciągnąc go w otchłań brudu gdzie ginie. Czasem białe kielich boryka się z wichrem Szału—co chce go przerobić w płomienny krzew, aby niósł pożogę w przestworza—Ludzkości. Kielich, gdy zwycięży, gasi pożar Szału—lecz i sam w świszczących żarach schnie.

Gdy gwiazdny siew dosięgnie nizin — Ambycyi, otoczonych łańcuchem gór—Próżności, — znowu zwalczy. Tam chcą go mieć za szyld, aby rozszerzał sławę.

Gorliwie oprawiają go w ramy, by świadczył o tożsamości Idei tam, gdzie jej niema. Stawiają go przed sobą jak lampę elektryczną, by wobec świata rozjaśnił ciemności ich we-

wnętrznego śmiecia. Ale nie zasadzą Idealnej płonki na gruncie trwałym, nie użyzniają kompostem czynów, nie skropią rzeźką Myślą, — służy im za dekorację. Próżność — i ambicja, lubią strój pożyczony z fioletowych łun, bo to ma wyłączny urok — wzbudza ciekawość.

Człowiek Idei — to nastrojowo brzmi.

W innych miejscach łączy — Niedoli — warzą płatki białego kielicha; tam rozrost byłby możliwy — ale wielki brak powietrza dławi grzeskie bagniska — Nędzy; zamykają drogę do polotów, okrutne mrozy — Nieszczęść — łamią łodygę kwiatu. Niemożebnością jest karmić kwiat i czekać jego rozpęku, gdzie brak powietrza, pokarmu, a obfitość bolących cięgow zmartwia ciało, zbydłęca ducha.

Potop białych kwiatuszków z rąk idei spadł w takie straszliwe gehenny Ludzkości — bezskutecznie.

Tu ginał, tam go wyrzucali, inne rośliny znajdowały opiekę, inne kochano.

Ona — ta z błękitów sfrunięta, broniła swego kielicha z zawziętością matki — dającej dzieciom zdrowy pokarm miast słodkich trucizn.

I walka jej nie ustawała, z Jej łona szły tchnienia głębokie, z oczu skrzyły się żary miłości dla ludzkich stref. Z Jej ust mistycznych

wybiegł srebrny głos ku dolinom — Wszec-
bytu, niby organ wzywający:

— Bierzcie mój kwiat, pielęgnujcie, ko-
chajcie!

A ręka siała i siała wciąż.

ROZPACZ IDEI.

Zmogły się gigancie siły, umilkł błagają-
cy organ.

Ona, z błękitów sfrunięta, zgasła fiolety,
i otoczona mgłą niechęci porzuciła Ludzkość.
Rozpacz—jak czarna ptaszyna z czeluści noc-
nych, okryła ją skrzydłem.

A ciężkie ono i chropawe.

Idea usunęła się w głębie puszczy nieprze-
bytych i zapomniana, przypadła do szmarag-
dowych mchów, gdzie błyszczwały opale rosy.

Skryła się pod sklepienia borów, pośród
zarośli aby wśród—Natury zapomnieć o Nie-
wdzięcznych.

Otulały ją niebotyczne jodły, szumiące
igliwiem; chrzęst srebrnej lamy przelatywał
czuby drzew i kołysał ją do snu.

Grały jej fujarki ptasie i fleciki owadów.
Leszczyna szemrała nad Nią atłasiście. Brzo-

za biła w kastanietki listków, sosny roznosiły
szumy tytanicznych oddechów.

Potężne Dęby huczały basem, klony jas-
no zielone, powiewały jak wachlarze z piór.
A mchy o pluszowym włosie, niby puch łą-
będzich piersi, gotowały Jej łożę pachnące
ziołami, zdobne w ametystowe trzęsienia wrzo-
sów i pęki lila macierzanki, drobnusiej jak
tysiączne banieczki z pachnidłami, jakimi
wiatr okadza powietrzne prądy.

Cisza wielka i spokój Natury, i bezmiar
dziwnego roztęsknienia.

Tam na mchach wtulona Idea oddawała
się rozpaczy. Tam Jej łono zadrgało szło-
chem żalu — w czarnych Jej oczach błysły mi-
styczne łzy.

Tam płakała za Ludzkością — widząc
zgubę Jej, odczuwając przepaść, co ją po-
chłonie.

Zaparliście się mnie? Zginiecie!

I szloch wpadł w bolesny jęk.

Idea płacze — szemrała Natura, wieść ta
niosła strach

Bo to wielki grom.

WZLOT IDEI.

Gwiazdny kielich kwiatu, przyémiony,
nadwiedły, pobudzał soki. Wspaniałym ożył
kolorytem, świetną rakieta sypnęły gwiazdy,
buchał krąg jasności Ocknęła się Ona, ta
z błękitów sfrunięta, otrząsnęła gorzkie łzy,
uśmiech szczęścia rozpalil Jej usta.

Wzniosła kielich w górę.

— Wzlot! wzlot Idei! do Ludzkości!

Płynęła, kolorowa, śliczna, w przestwo-
rza ludzkich mas. Nadzieja szła za nią, gra-
jąc hejnały na arfie szczęścia Płynęli nad
grody i jaskółcze siedziby biednych, nad wy-
niosłe dachy kryjące Bogactwo, Sybarytyzm,
Grzech.

Straszni mieszkańcy! — Na górze, pod
krokwiemi, gnieździ się Bieda, Praca..... jesz-
cze coś.....

Płynąć, płynąć, tam!

Ach! jeszcze.... Idea.

Tam w okienku, w nędznej doniczce nie-
dostatku coś bieleje, świetlnie. Jakby z Mlecz-
nej drogi spadła jedna perła—jedna gwiazdka,
jeden opal.

I migoce, błyska choć słaba, ale pieleg-
nowana starannie — ukochana sercem, co go-
reje pożogą pragnień.

Jest! jest! jeden kwiatek, nikły, ale żyje
kwitnie—nawet zapach ma.

Ci, co go kochają—pomimo Biedy—mają
jasne twarze, źrenice palą żarem natchnień,
w sercach śpiewa rapsod szczęścia... Krzepi
ich Ideału kwiat.

Ona kolorowa, śliczna, z błękitu sfru-
nięta, zagrała w organ swój z tryumfem ra-
dości.

Żyje Idea! już rozkrzewi się!

Fioletowe łuny rozogniła blaskiem.



SKARGA JESIONA.

Bór, gęsty i ciemny rósł swobodnie. Mi-
jały nad nim stulecia, burze i straszliwe hu-
ragany. On stał. Stał zawsze jednakowy,
pozornie tylko, bo wewnątrz piastował co raz
nowe pokolenie, które z wątłych nasionek,
rzucanych w trawy przez wiatr z wierchoł-
ków swych macierzy, rosły w delikatne płon-
ki, w smukłe latorośle, potem w młode drze-
wa, bujne i różne, wreszcie stawały się star-
cami o siwej korze mchem pokrytej, o gru-
bych, muskularnych konarach pełnych sęków
i zgarbień.

Drzewa — starcy, wyniosłe ponad po-
ziom tłumnego boru, chroniły go, strzegły
gęszcz leśną od sił wrogich ze świata idą-
cych.

Szумы tu były różne. Powagi drzewne,
rozrosłe matrony i patryjarchowie grzmieli
niezmierną potęgą, twórczą mocą bytu, mą-
drością istnienia, wszechznajomością tajemnic
wszechświata. Swą ciężką duchową wle-

wali w duszę młodych pokoleń, ale i sami uczyli się bez wytchnienia, zgarniając co raz nowe zakresy i zagadki światobytu.

Drzewa nie są jak ludzie których starość zwycięża, którym ciała okrywają się zmarszczkami, puch zaś tępieje i miast stałego wznoszenia się, opada bezsilny, ciągnąc w grób całą istotę. Drzewa nie podlegają prawom ludzkim i zwierzęcym, one stworzyły sobie prawa własne, samoistne i niezwalczone, prawa mocarzów; ich stwórcą — Bóg, matką — ziemia, chrztem — powietrze!

Drzewa przemożne, łowią do serc swych cały bezmiar myśli i natchnień wirujących w przestrzeni, cały obszar gienjalny wchłaniają w siebie, wsiąka on w nich atomami i rozrasta się w ogrom, napawa wielkością. Bo każdy ogrom składa się z miniaturowych pyłków, każdy gienjusz zawiera w sobie różnorodne cząsteczki złe i dobre, te zaś złane z sobą, zrównoważone tworzą wszechwiedzę. Więc drzewa posiadają wszechwiedzę świata, są wyższe po nad małostkowość, patrzą śmiało w tarczę słońca, ono mówi im to, czego już trawy nie usłyszą, choć są również promieniami ozłoczone. Poziomki rumienia się pod dotykiem słońca lecz tylko dlatego, by

nadmiernie dojrzeć, opaść z szypułki i zeschnąć, lub by je ludzie zerwali i zjedli.

Drzewa gwarzą ze słońcem i żyją, nawet olbrzymieją. Łagodnie pieszczą się nocami z księżycem, czytają wyroki z gwiazd i z drogi mlecznej. Drzewa czują co mówi przeszłość i czują, co przyszłość chowa po za swą zasłoną. Nic dla nich niema tajemnego, nic nieodgadniętego, bo czerpią wiedzę nie z ludzkich umysłów, nie z ich wytworów, lecz z tej przeogromnej nauki którą sam Bóg rozlał w przestrzeni. Czyli biorą cud z samego źródła cudów najpotężniejszego, jedyne, i niezmiennego.

Niezmiennego, ponieważ nie jest ostatnim wyrazem nauki, lecz jej absolutem.

Nic nie jest skończonem prócz istotności wszechświata i nic równie silnem, i nic mądrzejszem.

To nie jest nawet nauka, lecz dogmat o którym traktuje nauka.

To jest sam Bóg.

Drzewa, pijąc z takich oceanów jedynej mądrości, muszą tem samem przenikać duchem swój byt i byt całego świata. Są pełne majestatu niesłychanego, pełne — powagi.

Że zaś posiadają wiedzę bezwzględną, zatem są dobre

Bo rozum — to dobroć, ale ta dobroć wyższa, nieziemska.

Drzewa są dobre, łagodne, są wyrozumiałe. Nigdy niczemu się nie dziwią.

Nil admirari.

Bo świat składa się z zapytań, które zadaje natura, i z odpowiedzi, które wyławiają z niej wynalazki ludzkie.

Składają się z prawdy, którą ludzie najczęściej nie rozumiejąc obracają w fałsz. Składają się z napaści i obrony, z tworzenia i zaników, ze zbrodni, które często poprzedza cnota i z cnót wyrosłych nieraz na podkładzie zbrodni.

Ludzie się łapią na takie abstrukcje, męczą się, gniewają z sobą i dziwią się.

Drzewa poważnie szumią, bez gorączki, bez grzechów zabójczych dla ducha, ponieważ widzą wszystko.

Ich spokój bezdenny koi, ich ogrom otuchą napawa, trzeba tylko pojmować duszę drzew, wsłuchać się i rozumieć ich mowę. Niema smutku aby nie zmałał wśród ciszy i uroku leśnego. nie ostoi się w nim apatia, nie rozwiemożni gorycz, żal najgłębszy pierzchnie wśród ciszy boru. Spokój bezmierny jest hasłem pustoszy leśnych, tajemniczość wieje z ich głębin, nieledwie mistycyzm. Drze-

wa cicho szemrzące są jak mędrcze skupieni na wiecu; roztrząsają najistotniejsze cele świata, jego przejawy.

W świątyni, przebywa się zawsze w uroczystym nastroju, bo jest przybytkiem wyobrażenia Boga; w lesie powinno się być w takim samym nawet w szerszym, bo to przybytek, świątynia natury, nad nią zaś Bóg.

Świątynie z cegły i kamienia budują ręce ludzkie, obrazy święte także są ich ręką malowane. Ale bór, tę świątynię Natury, tworzy Sam Wszechmocny, to dzieło Jego ducha, Jego gienjusz.

Las przeczuwa szczęśliwości i tragizmy jakie przeżywa ludzkość. I własne losy drzewa umieją sobie przepowiedzieć.

Oto bór stoi cichy i milczący, śni ogrzany gorącą żrenicą lipcowego słońca. Ale sny zaczynają niepokoić drzewa. Są jakieś niewesołe, drażniące. Czuby dębów, klonów, grabów muskularnych — drżą niemile, konary kurczą się w dziwnym bezwładzie. Westchnienie spływa z wierzchołków, korony przebiega złowrogi zew i spada w dół, gdzie mnóstwo młodoży trworzy się. Młode pokolenie nic jeszcze nie rozumie, więc obawia się, bo czuje niepokój swych ojców i praojców. Jedni z mocarzów boru zarażają drugich niepojętym

lękiem! Jesiony rozpostarły swe liście, niby długie palce rąk, i trzęsą niemi i szemrzą.

— Co się dzieje? s..s. skąd ten s.strrrrach.

— Jakieś nieszszzszczęście na nas idzie—mruczą sosny.

— Pachną lzzzy, będzie—jakaś rrrzeż—szept przebiega klony.

Długowłose brzozy zaczynają słuchać rozplatając warkocze jako symbol smutku.

— Szszkoda łez, szszkoda! cicho! szszsza!—huczą dęby.

Ale i same są jak zwarzone, tłoczy ich przeczucie.

Uspokobienie władców lasu odbija się na jego poddanych i trwoga wewnątrz rośnie.

Noc wonna, księżycowa, odurzająca zapachami lip, nie przynosi ulgi. Drzewa mają sny chorobliwe, nerwy ich i członki nie mają zwykłej rzeźwości. Cudny różowy świt nie cieszy lasu jak zwykle. Parność rozlewa się w powietrzu, coś tak ocieźiałego i melancholijnego, jakby niezliczone mnóstwo opjum rozlało się dokoła i wsiąkło w ciała drzew.

Pół—sen,—pół—rzeczywistość gnębi nie upaja, umęczenie dziwne pływa wśród boru. Starcy leśni już wiedzą, co to jest, jaki to objaw—odgadują.

Oto:—idzie śmierć.

Idzie straszna, nieubłagana by mordować drzewa, by zniszczenie siać.

Szum w lesie wzmagą się, rozbrzmiewają modlitewne szepty, niby testamentalne pogwary. Kłonią się z dreszczem przerażenia wichry mocarzów leśnych i gałęźmi gładzą głowy swych dzieci niżej rosnących.

Nie bójcie się młodzi, wola Boża i Jego miłosierdzie.

On nas stworzył i On nad nami panuje.

Ciche lkania przebiegają z brzegu w brzeg boru, który wstrząsa się jakby podrzucany jakąś niewidzialną potęgą.

Lecz i nadzieja błąka się wśród młodych.

Patrzą z ufnością na wielkość swych patronów i na ich siłę i wyniosłość.

„Nie może być, oni oprą się śmierci, zatracenie nie dla nich, oni zwalczą każdą siłę wroga, będą stali jak stoją potężni, mocarni“.

Nadeszło południe.

Słońce paliło niebywałym ogniem, huta gorąca waliła z nieba na ziemię, rozpalala drzewa płomieniem, dusiła ich oddech.

Parność.

Piekielny żar i duch.

Niebo z błękitnego stało się mętne, pył kipiątka słonecznego zasnął czystość lazuru.

Niepokój podwajał swą nieokreśloną grozę, kurczył liście drzew, targał niemi zapamiętałe.

Huk odległy, ponury, niby z grobu roztoczył się w przestworzu raz, drugi i trzeci.

Huk głuchy a straszny — niby zwiastun nieszczęścia.

„Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna“ — szepnęły drzewa.

Ale inne krzyki zagłuszyły modlitwę.

— Ptaki uciekają! Ptaki nas opuszczają! Klęska nadchodzi! Módlmy się bracia, dzieci i wnuki.

Istototnie całe stada ptaków z wrzaskiem unoszą się ponad świetne korony dębów, ponad ciemnowłose sosny i jasne brzozy, ponad klony bogate w liście, ponad jesiony ulistwione jakby w strusie pióra.

Więc i ptaki, niby obłędem strachu gnane, uchodzą ze swych gniazd, gdzie się legły, wychowywały i umierały. Więc i one czują niebezpieczeństwo grożące ich życiu, przeczuwają śmierć.

Tłumy ptaków, całe roje i gromady wyfruwają z pomiędzy liści i kracząc nieprzytomnie nad drzewami, lecą w poszukiwania nowych siedzib.

A huk odległy wzmaga się, zbliża, przeraża.

Już widać na krańcach horyzontu czarna masę chmury, sunie się potwór jej cielska by zagładę nieść. Tworzą ją cztery słupy, niby tytaniczne kominy. Idzie ciężko, poprzedzona pomrukiem zawziętej wściekłości.

Wysyła naprzód swój oddech.

I oto nagle oderwała się chmurka z jednego komina i rwie naprzód pędem niesłychanym.

Zmąciło się niebo, powietrze, świat cały. Wir szalony runął jak lawina, złapał, zda się, niebo i ziemię, i szarpał niemi, bódł jedno o drugie.

Trąba powietrzna z rykiem szatanów rzuciła się na bór. Nadeszła śmierć.

Okrutna, bezwzględna.

Las zatrzęsł się, zawył z bólu, jęknął żalem, żegnając życie i marł posłusznie, bezsilny pod ciosami trąby.

Ona zaś grzmiała, niosąc ruinę.

Padwały olbrzymy dębów, kładły się pokotem na braciach swych, waliły się buki stuletnie, szły w niwecz piękne brzozy, konały jesiony, klony, sosny legły jedne na drugich. Gwizd okropny, wrzawa straszliwa, ryk tysięcy istnień mordowanych.

Ginał bór wiekowy, rzeź rozpanoszyła się.

Orkan miotał się, wyrwał drzewa z korzeniami, lub je łamał w połowie jak igły. Szły istnienia leśnych władców i poddanych na ofiarę przemocy.

Szły pod obuchem wichru w grób swego bytu.

Wojna niemiłosierna, to już nie walka, to mord rozpętanej siły, to zbrodnia.

Trąba wpadła huraganem, spełniła nad borem gwałt niebywały, grozą skuwający, przeleciała z trzaskiem łomotem, z hukiem piorunowym i równie szybko popędziła dalej.

Ucichło. Tylko wiatr pozostał na pobojowisku i rozplakał się rzewliwie.

Kośba śmierci tu przeszła, tragiczne cmentarzysko.

Dęby mocarne! gdzie wasza stuletnia chwała?

Drzewa, drzewa przemożne! gdzie wasz cudny potężny świat życia?

Leżycie oto martwe, powalone z ciał, ale duch wasz jeszcze kołacze, boleść wasza tragedji pełna.

Stosy gałęzi, pogruchotane konary, wielkie gmachy korzeni wraz z ziemią, wyrwanych, sterczą do góry jakby w rozpacz, wołały.

— Boże! za coś nas ukarał!

Wy skarżycie się, konając, lecz na dużej przestrzeni położonego pokotem lasu stoi samotny, ocalony, lecz osierocony jesion. Dookoła niego jedna mogiła, pole klęski, szlak śmierci. On został, cudem jakimś nie upadł za braćmi. Ogromny pień jego nie naruszony, korona trochę poszarpana, zdartych moc liści, ale jednak stoi i patrzy z bezkresną trwogą; spazm gorczy wstrząsa jego mięśniami, skarga płynie z serca drzewa.

— Czemu ja żyję, gdy oni już — trupy!

Placzę nad ich grobem ja, samotnik! bracia moi, na toż ocalałem, by widzieć wasz zgon?

Jesion w żałobie spuścił w dół gałęzie swe, liście chwieją się napół martwe, zmęczone, jakby ostatnie pożegnanie słały poległym.

Duch jesiona słabnie, serce mu drętwieje z żalu, z niewysłowionej rozpacz, nad śmiercią boru, nad swem sieroctwem.

I płacze jesion i jęczy.

— O! nędzna potęgo, o władcy nasze! Siło, siło nasza coś zawiodła!

O wszechmocna wolo, która tworzysz by w niwecz obracać swoje twory. Naturo wielka, takas bezmierna i taka niezgłębiona.

Niedocieczone posiadasz zagadki, jesteś szczerą w swych przejawach i czynach. Ale

nie zdradzasz myśli ideowych, któremi się kierujesz, tajemniczość jest twoją dewizą rzeczywistą, spowitą w abstrakcji. Pozornie nie ukrywasz.

Jednakże, powiedz, dlaczego spełniłaś ten mord? Po co ten bór potężny zmiotłaś z ziemi. Zmagaly się moce obie z łona twego poczęte.

Więc jaki cel? gdzie idea?

Naturo, tyś okrutna!

Jesien lkał, ale wszystko milczało, to konał bór.



LEGENDA O PRZEZNACZENIU.

Słońce kapło złotem; łąki i pola mieniły się tęczą. Łany kosiste żyta i pszenicy błyszczały jak atlas; i spokój i cisza była wielka.

Pomiędzy lasem kłosów szło młode pachole, wysmukłe, bujne niewyczerpaną myślą, gorące zapalem. Szło pewne siebie, z wiarą w trafność swych kroków, z odwagą, nawet z zarozumiałością.

Lecz staruszek Los i matka Fortuna, pomni na młodość i niedoświadczenie pacholęcia, szli za nim w pewnem oddaleniu, uważając na każdy jego krok.

Ono zaś bawiło się wesoło, rwało po drodze zioła i kwiaty, plotło z nich cudowne wieńce i stroiło nimi głowę.

Wreszcie łąki ukwiecone skończyły się, nie widać było traw, ani ziół różnorodnych, tylko obszerny łan pszenicy.

Pacholę szło prędko, odpychając z niecierpliwością ziarniste dobre kłosy, które niby w pokłonach skłaniały ku niemu swe zło-

te głowy. Pacholę gniewało się, obfity, ciężki łan drażnił je, męczył.

Oczyrna szukało czegoś bardziej błyszczącego, świetniejszego.

Pacholę dążyło na osłep popychane przez fantazję.

Szukało, aż znalazło.

Był to ogromny łan maków, krwistoczerwonych, świecących jak rubiny oprawne w złote ramy kłosów.

To były tylko wątłe, nikłe maki bez wartości, jedynie świecące zdaleka.

Biedny młodzieńczyk został oczarowany. Z żądzą młodocianą zaczął rwać pełnemi garściami piękne maki, tarzał się w nich, rozkoszował, i był taki szczęśliwy, taki rozpromieniony.

Los i Fortuna stali na boku, milcząc.

Mówili do siebie oczyma:

— Niech się nacieszy, niech się upaja, niech rozkosz trwa.

Czy nastąpi przesyt?...

Długo na to Los i Fortuna czekali z cierpliwością z którą dochodzi się do wszystkiego.

Aż ujrzeli przesyt.

Maki spowszedniały pacholęciu, zbyt

prędko wiedły, za płaskie, za wiotkie, nazbyt powierzchowne miały listki.

Były utopią.

Pacholę osłabło w swym zapale, lśniąca uroda maki zaczęły je drażnić, nawet niepokoić.

Więc to tylko złuda? — myślało złotowłose pacholę. — Więc po za błyszczącą urodą niema nic w tych kwiatach tak świetnych z pozoru? Są bez woni i bez wartości, wędną, czernieją, schną i stają się śmieciem. Gdzież jest ich dusza? Czy one mają serca? Czy tylko płonące głowy które porywają imaginację, które nęca wzrok? Więc to są moralne trupki w jaskrawej szacie królewskiej?

— Wstrętne! Wstrętne! a tak unoszą wyobraźnię, tak podniecają namiętność i szal.

Z nerwową szybkością zaczęło pacholę zrzucać z siebie zwiędłe, pokurczone płatki, i z rozpaczą widziało się przez nie otoczeniem. Maki czepiały się młodzieńca ze wszystkich stron, rozchylały przed nim swe purpurowe łona, w których nie biło serce żadnego natchnienia, w których pulsy kołatały tylko życiośnośne, bez atomu duchowości. Cudne ich kształty były jedynie formą bez treści.

Pacholę odrzucało je od siebie z niechę-

cią i odrazą, one zaś oplatały je uściskiem chcąc zatrzymać dla siebie.

Wreszcie pacholę omdlało.

Zmęczone walką z tą krasą bezduszną, straciło pamięć i zbolełe osłabło zupełnie.

Wówczas Los i Fortuna, cicho, bez słowa, dzwignęli zmordowane pacholę i troskliwie przenieśli je tam, gdzie pacholęciu miało być dobrze, gdzie zaspokoi się głód duchowy młodzieńczyka, gdzie oczy jego ujrzą prawdziwy nie ułudny blask.

Pacholę ocknęło się, otworzyło zmęczone powieki; źrenice były jeszcze pełne gorącej barwy maków. Ale pierś chłoneła w siebie jakąś rzeźwość i dziwny, uzdrawiający aromat.

To nie jest duszący zapach maków, który uderza do głowy i sprawia zamęt, to jakiś inny cudowny powiew, pełen energii, rzeźkości i fantazji, pełen zarazem niepojętego czaru.

Pacholę podniosło się ciekawie, rozejrzało dokoła i ogarnęło je zdumienie. Nad niem szumiały bujne złote kłosy pszeniczne.

— Ja to już znam, ja tu już byłem! Ukochać tego nie mogłem i uciekałem! — szepnęło z przerażeniem.

— Lecz teraz zostaniesz — rzekł staruszek

Los przesuwając się obok zdumionego pacholęcia.

— I ukochasz to, coś nienawidział! — szepnęła Fortuna, tocząc się na swem kółku.

— Kto wy jesteście? — spytało pacholę.

— Jam jest odwieczny Los.

— A ja wirująca Fortuna.

— I to wyście mię tu przenieśli?

— Nie! przeniosło cię *Przeznaczenie*, tylko na naszych ramionach.

— Gdzież ono jest?..

— Ono jest... w tobie — rzekła Fortuna.

— W twojej duszy — dopełnił staruszek Los. Bo każdy człowiek swoje *Przeznaczenie* nosi w sobie, ale najczęściej nieświadomie. *Przeznaczenie* jest duchem dobrym, lecz w ludzkiej jaźni ma wrogów potężnych z którymi walczy.

Gdy człowiek wstępuje na drogę niebezpieczną, gdy stawia fałszywe kroki, popycha go tam namietność, która jest najgroźniejszym wrogiem dobrego ducha *Przeznaczenia*. Ten duch jest wysłańcem Boga, więc musi być dobrym.

— Zatem, powinien panować zawsze, — zagadnęło pacholę.

— Ale wówczas nie byłoby walki — odrzekła Fortuna.

Nie byłoby instynktów ani namiętności, rozum ludzki i wola stałyby się biernymi.

Gdzie zaś niema walki, nie może być zwycięstwa.

— *Przeznaczenie* — mówił Los — zwycięża wtedy, gdy rozum i wola nie ulegną złym instynktom, lecz zwalczą je. Jeśli namiętność ogarnie i umysł ludzki, wówczas *Przeznaczenie* usuwa się i panuje wszechwładnie — *Fatum*, te zaś niesłusznie łączą z *Przeznaczeniem*. *Fatum* — to konieczność, nieszczęście wieńczące zwycięstwo zmysłów.

— A jeśli rozum i wola ulegną uczuciu szczerzej miłości, co wtedy? — spytało pacholę.

— Wtedy rozciąga nad nimi skrzydła — *Przeznaczenie*. Ono sieje dobre uczucia i rozdaje ludziom.

Ale *Fatum* czycha zawsze by zniweczyć jego twory. Walka trwa, rozstrzyga zaś ją skłonność ludzkiej jaźni do dobrych lub złych instynktów. Czasem, gdy obie skłonności się zrównoważą, walka nie ustaje.

— Więc mylnem jest sądzenie, że nikt się nie obroni od *Przeznaczenia*? — pytało pacholę.

— *Przeznaczenie* swoje każdy nosi w sobie — powtórzył Los. — I ty młodzieniaszku gdybyś nie doznał przesytu i wstępu wśród maków, byłbyś przez nie pochłonięty. Grząłeś w nich, pchany namiętnością, przejrzałeś, z pomocą rozumu — więc myśl, cierpiełeś zaświadczonym uczuciem miłości, ocalił cię dobry instynkt, *Przeznaczenie* zaś wyniosło z nieszczęścia.

— A wy oboje co robiliście?

— My byliśmy bierni. Gdybyśmy zauważyli w tobie moc *Przeznaczenia* uratowalibyśmy ciebie. Ale my jesteśmy zmienni, służymy tak samo *Przeznaczeniu* jak i *Fatum*. Takim jest udział nasz wśród ludzkości.

Mówiąc to, oboje znikli w mętnych oparach tajemniczych.

Pacholę uczuło że świt wstaje. Świt jego szczęścia.

Roztęsknioną duszę wysłało na pasma, na różane smugi wstającej światłości, i ogarnęło je marzenie, błogość nieziemska. Pacholęciu zdawało się, że ma skrzydła u ramion. Zgarnęło moc kłosów złotych na swą jasną głowę i całując je w uniesieniu, padło na kolana. Wzniosło ręce w górę, jakby do onej światłości duchowej i zawołało z pełnej piersi.

— Gratias tibi, o Domine!

ONA ODCHODZI...

Na Olimpie zasiadano do nowej uczt. Bogini Ceres okazała się hojną. Po spożyciu Ambrozji i Nektaru, roje dziwacznych karlików wniosło złote tace i misy pełne wykwintnych jarzyn. Cerera rozdawała swe dary.

Wielkie, seledynową grona fasoli, długie szmaragdy ogórków, gładko wypolerowanych, lub o szorstkiej włosiennicowej powierzchni. Ogromne krwisto czerwone pomidory, błyszczące, pełne różowego soku, wyglądały jak klejnoty. Na innych półmiskach rozkładały się dumnie, otoczone zielonemi liśćmi, ściśle, perłowe głowy kalafjorów, rubiny cukrowych buraków. Tam karlik, niesie wspaniałe szyszki, jak bukiety karczochów, ładne złotawo-żółte brukwie i białe kalarepy.

Mnóstwo jarzyn pięknych barwą i kształtami, smacznych. Karzelki uginają się od bogactw matki Cerery, znoszą co raz nowe dziwa ściągnięte z różnych części świata.

Hojną jest matka ziemi. Lecz najpięk-

niejsze jarzyny idą na talerz ślicznej córki Cerery, żony podziemnego boga Plutona. Młodziutka Prozerpina jest w gościnie u matki, już szósty miesiąc bawi na Olimpie, przyjmowana owacyjnie przez cały areopag. Bogowie wysadzali się na umilenie czasu wdzięcznej koleżance, każdy na swój sposób chciał ją zabawić. Matka witała ją dywanami fijołków, pod jej stopy słały się pyszne tkaniny z białych przyłasczków, złotych jaskrów i zielonych aksamitnych traw. Powiewały nad nią wachlarze z irysów, i białych lilji, baldachy róż i moc kwiecia różnego. Do kraśnych ust boginki spływały purpurowe grona wien, różowe korale czereśni. Na ziemi świeciło mnóstwo małych krwawniczek poziomek, i granaty czarnych jagód. Apollo napał ją muzyką; w przyrodzie wszystko grało. Mały pazik Apolla — słowik — śpiewał hejnały dla pięknej Prozerpiny. Wilgi roznosiły echem swój gwizd, hukala kukulka, klekotały bociany. Wszystko rozradowane, szczęśliwe z nadejścia — Wiochny. Nawet zimno-ciała żaby nie zostały obojętne, co dzień wieczorem do spółki z derkaczami zawodziły tęskne opowieści do snu bogince. Miodowym dźwiękiem grały na lirach roje pszczoł, basowo dudniły chrabąszcze, a stada dzikich gołębi

jęczały monotennie, co raz wyżej podnosząc głos.

„I my kochamy cię
I... my ko.. cha.. my... cię
I... my.... ko..... cha.... my..... cię“....

Marząca bogini Wenera rozsiewała, na powitanie Prozerpiny miłość w naturze. Wszystko się kochało, tęskniło. Djanna urządziła dla niej bogate łowy, Neptun ubierał rzeki i stawy w piękne brylantowe łuski, marszczył toń w koronkowe desenie, narzucał na wody ciemne aksamitne płachty. Aurora dawała jej w dani seledynowo różowe poranki, Febus — powiernik Apolla darzył ją jaskrawą kulą słońca i błękitem obłoków. W nocy oświecała je bladolica bogini Selene. Lecz najwspanialsze widowiska sporządzał dla niej sam Jowisz. Grzmiał z armat Olimpijskich, i tytaniczne hurkoty przewalał wzdłuż firmamentu, ciskał ogniste race piorunów, świecące gzygzaki i złote materje błyskawic. Zaciemniał obłoki czarno sinemi zwojami chmur, różował je zachodem, krwawił purpurą.

Olimp ścigał się w zabawach.

I oto już przy końcu wakacji pięknej boginki, Cerera urządziła ostatnią pożegnalną ucztę.

Po spożyciu jarzyn, matka ziemi zaprosiła wszystkich bogów do swych ogrodów na wety. Febus rozsypał drabinki promieni, po nich Olimp spłynął na ziemię.

Cóż za przepych! jakie piękno!

Bogowie chodząc po ogrodach oniemieli z podziwu.

Istna przepaść owoców.

Zielenieją winnice oblepione ciężkimi gronami, zielone jak z chryzolit, jak żółte bursztyny, czarne jak zlepione kulki z lawy. A wszystkie lśnią, przeświecając sokiem i pestką. Śliwy granatowo - fioletowe w siwym meszku i zielone okrągłe ich siostry i złoto-białe i różowe. Całe trzęsienia z śliwek. Złocą się morele, nęcą wzrok wytworne pluszowe brzoskwinie. Grad czerwonych jabłek, barwne dzbanki gruszek i rajskie jabłuszka jak koliberki, oblepiają gałęzie, zakrywając liść.

Nizko na grzędach widać opasłe, szare melony w siatkach, na wypadek pęknięcia; są bardzo dojrzałe. Leżą zielone góry arbuzów, jeden rozłamał się ukazując soczystą czerwoną miąż. W pewnej odległości od tego współstwa, spoczywa dumny arystokrata — ananas. Cały w płaszczu z czerwono-żółtego atlasu pięknie pikowanym, na głowie nosi

szumny dżadem, sztywny i kolczasty, szaro-zielonej barwy. Ciemno - ceglane granaty o twardej skorupie, migdały, orzechy, świeże figi i przeróżna moc słodczy rozsianych szczodrą dłonią Cerery.

Bogowie nie mogą się nacieszyć.

Tylko Prozerpina, choć dla niej są te cuda, ma smutną minę. Zjadła gronko winne, przezrocze i świeże jak jej młoda pierś, i chodzi zamyślona wśród tworów matki, przezuwając prędkiej odjazd. Z boskich oczu Prozerpiny płynie melancholja, rzewną tęsknotą oddycha jej łono. I cisza wieje od niej i podanie i bezmierna ociężałość. Już tylko polny konik zaćwierka jej czasem z zwiędłej trawy, z powietrza dochodzą wrzaski odlatujących kluczy żorawi.

Bogowie raczą się owocami, a Prozerpina trochę sennie duma.

Nagle pośród bogów pojawił się Hermes, skrzydełka na piętach miał zapylone, widać odbył daleką podróż. Bogowie spojrzeli na niego ciekawie, Prozerpina zadrżała.

— Co przynosisz?..— spytał chór bogów.

Hermes kłaniał się pokornie na wszystkie strony, a widząc bladeść Cerery uśmiechnął się złośliwie.

Na swej skrzydlatej nodze zrobił kilka

skoków do Prozerpiny i zgiął się przed nią do ziemi.

— Przychodzę po Ciebie, o złotolica, jako wysłannik Wulkanowładcy, małżonka twego, który pragnie abyś już zeszła w jego ramiona, o wiosenna pani. Hades przygotowuje się na twe przyjęcie. Cerber otrzymał nowy garnitur zębów, by mógł cię bronić od ziemskich napaści.

Prozerpina zbielała na twarzy.

— Kiedy to ma nastąpić?....

Hermes dotknął czołem ziemi.

— Natychmiast, kwiecie przyrody, mam rozkaz odprowadzić cię do bram Tartaru a tam oczekują piekielne rotty i Cerber z nowym garniturem zębów. W głębi zaś Hadesu tęskni za tobą Płomieniowładny twój małżonek.

Prozerpina posłusznie spuściła głowę.

— Idę—szepnęła z tajonym żalem.

Hermes zadowolony z poselstwa rzucił się do winnic i począł słodkie grona łapczywie objadać, tak jednak aby nie zobaczyła Cerera.

Hermes przeczuwał że za swe poselstwo nie dano by mu owoców.

A Cerera wpadła w rozpacz. Ziemią posypała głowę i jęła się żalić. Wszystkim

bogom oblicza zasłży mgłą, lecz nic poradzić nie mogli. Małżonek upominał się o swoją żonę, musiała iść. Tylko Jowisz, znany zdrajca, szeptał na ucho Prozerpinie aby nie słuchała męża, i z nim puściła się w podróż. Kusił ją, namawiał, obiecywał że się zamieni w gołębie, lecz nic nie wskórał. Prozerpina chciała pozostać wierną żoną, a Junona — patronka małżeństw, pochwalała jej to gorliwie, pragnąc jednocześnie zrobić na złość Jowiszowi.

Po hucznych pożegnaniach, bogowie gremjalnie odprowadzili Prozerpinę do bram Tartaru.

Tylko Jowisz i Junona nie byli w orszaku. On został, bo mu nie wypadało odprowadzać poddanki. Junona postanowiła pilnować go by się nie zmienił w gołębia.

Biedna Cerera przez czas podróży żółkła z zazdrości o córkę, z gniewu płonęły jej policzki, cała postać schudła i zwiedła. Złote włosy bogini posiwiały, rwała je z głowy.

Już nie była świetną panią, w wieńcu z kwiatów, zbóż wszelkich i owoców. Żał ją zgryzł, postarzała.

I oto w przyrodzie zielone liście struchlały, pożółkły, zaczęły się kurczyć. Poszarzały trawy, zmierzch wionął na ziemię. Białe

włosy Cerery rozsnuły się na polach, oplątując siecią smutne rżyska.

Orszak stanął u celu. Bogowie uściskali słodką Prozerpinę i na szarych pasmach mgły unieśli się do Olimpu. Cerera nie poszła. Runęła na ziemię i jęła wyć z rozpacz.

I oto w przyrodzie zahuczały wiatry, jęk poszedł po lasach, liść opadał hurmem. Wszystko zczerniało, zmąciło się w jeden kłęb smutku.

U bram Tartaru nastąpiło rozstanie.

Prozerpina rzuciła się w ramiona zbolałej matki. Ostatni, słoneczny uśmiech dała jej na pożegnanie i otoczona hucem podziemnych rot, weszła w Państwo Plutona. Cerber stugłowy, powitał ją przyjaznem klapaniem strasznych paszcz, a gdy odeszła zawarł bramę Tartaru i stanął na straży, wyszczerzając z wściekłością nowe, groźne kły.

Cerera leżała na ziemi wyjąc z bólu.

Ale gdy piękną Prozerpinę wziął w swe dębowe ramiona potężny Pluton, małżonek jej i Pan, i gniótł śliczną boginkę namiętym uściskiem i całował ją i pieścił, matka Cerera rozerwała szaty. Żal okrutny, ból, zawiść szarpnęły nią z siłą morskiej nawałnicy, i płacz jej buchnął po ziemi. Szloch i jęk zatrząsł jej królestwem.

I oto w przyrodzie lunęły deszcze, wielkie kropliste, zaciemniając falą świat. Płakały drzewa, spłynęły wodą suche trawy. Nagie gałęzie wznosiły żałośnie w górę sterczące badyle. Łkanie nappełniło przestwór.

Wszystko wołało do koła.

— Jesień! jesień... beznadziejna jesień.

Symbol żałoby matki Cerery.

Na Olimpie Jowisz zły na Cererę mruzczał:

— I czego ta baba wyrzeka? zbabrała mi ziemię łzami.

Poczem ją zbierać sine opary z łez Cerery i zamrażać je na przyszły śnieg.

— Zasypię babę, dość mam jęku.

A Cerera płakała wciąż.



IN PLENO.

Do małej izdebki na trzecim piętrze, wchodził powoli, pod naciskiem ciężaru. Niósł go w duszy, dźwigał w mózgu. Bezmierny ciężar nowej troski, nowych zawodów. Ugięły się młode barki.

Machinalnie, zakręcił klucz w zamku i jak był w mokrem palcie i zabłoconych kaloszach, usiadł ciężko przy stole zawałonym książkami. Czapkę z lampasem cisnął na ziemię, ręce zanurzył w ciemnych włosach. Twarz jego szczupła, blada, nasiąkła bólem; żal pełzał po rysach osiadając gęsto na czole i żłobiąc na nim posępne drogi. Ciemne źrenice utkwione w oknie, mieniły się stalowym błyskiem buntu, gorzały złotem marzeń. Lecz jakiś ruch z ulicy, najlżejszy odgłos, wypędzał złote pyły z oczu Jurka. Jego dłonie zanurzały się głębiej w gęstwą włosów, twarz drgała nerwowo, i źrenice grzęzły w ponurej miedzi apatii.

Wicher jesienny, wtłaczając się przez

szpary w oknie, hulał po studenckiej norce. Wązkie żelazne łóżko, umywalnia na trójnogu, półka pełna książek, i stół założony tomatami — całe umeblowanie. Na umywalni zbite lusterko, obok na stolku maszynka „Prymus“ i butelka spirytusu. Na stole wśród stosu książek, zeszytów, mnóstwa notatek, lodowca była w szklance niedopita czarna kawa, leżała paczka z cukrem i sucha bułka.

Praca i mózół miały tu swoją filję. I miłość.

Na stole świecił gracyk różny od surowych paragrafów. Ładna, zielona ramka z jasną plamą dziewczęcej fotografii pod szkłem, ozdobiona wiązką zeschłego wrzosu. Zabytki wakacyjne, słodkie wspomnienia wędrówek z nią po lasach, zbierania kwiatków, cichych rozmów. Tyle nadziei nosiło młode serce pod studenckim mundurem, pragnienie mozolnej pracy, byle prędzej do końca.

— „Już nie wiele, już tylko rok“ — powtarzały usta Jurka, a oczy biegły daleko, po za mury i baszty wielkiego grodu, do cichej wsi polskiej, do białego dworu — do niej.

— „Już nie wiele, tylko rok“ — mówiły usta dziewczęce i myśl gnała w potężne mury miasta, w ciasny „piereułek“ na trzecie piętro — do niego.

Ale czarny ptak niedoli załopotał skrzydłami, ostre szpony wpił w brzemienną pracę i rwał ją bezwzględnie.

Audytoria puste! Fatum powtarza się, czy na długo?...

Jurek tarł blade czoło, nadzieja ulatywała, rozpacz szła do niego ponura, jak deszczowa noc.

— Znowu strata czasu, może całe półrocze?..

Boże!...! — jęknął załamując ręce.

Zwrócił jego uwagę szelest między papierami, spojrzął z pod palców splecionych na czole.

Ze stosów bibuły wyglądała szara kulka, jak wełniany kłębuszek. Małe oczka czarne, niby dżety, spoglądały bystro, wcale nie przestraszone. Sterczące wąsy przy mórdece poruszały się komicznym ruchem, uszka strzygły zapamiętałe.

Jurek wzruszył ramionami, zły zacisnął mocniej ręce na czole. Nie zabawiła go dziś jego ulubiona towarzyszka samotności. Przeciwnie zirytowała. Ale mysz śmiało posuwała się naprzód. Oczka szukały żeru, wreszcie dopadła do bułki i zaczęła skrobać ją ząbkami.

Jurek siedział pograżony w myślach. Go-

dziny mijaly. Krótki dzień jesienny zwolna zasypiał. Zdawało się, że powietrze wchłania w siebie i roztopia popiół. Szare macki przedwieczne rozlażyły się po dachach, omaszczały mury. Nagle do izdebki wpłynął głuchy bas dzwonu. Zakołatał, obił o ściany i poszedł dalej wywołując echa. Za nim runęły barytonem inne dzwony, podnosząc i zniżając głos—od pianissima do ostrego staccata. Rozbrzmiały wieczorne hymny, szedł metaliczny śpiew co raz donośniej, dźwiękliwiej. Soprany, tenory, alt'y zlały się w bezmiar tonów, w nieskończony spizowy huk.

Jurek podniósł głowę, słuchał z nateżeniem, jakby pierwszy raz.

— Sobory grają—szepnął.

Odjął ręce od czoła i rzucił je na stół.

— Wieczna pieśń tęsknoty — dla mnie—rzekł ponuro.

Zmrużył oczy i w duszy mu zadzwieczał świergot sygnaturki w rodzinnym kościółku, zapachniały mu lipy kwitnące, w oczach mignęły kobierce kłosów i chabrów. Ujrzał w wyobraźni swą ukochaną dziewczynę, i żal wznowiony ścisnął mu serce.

— Napiszę do Niej.

Schylił się nad ćwiartką papieru. Dzwony jęczały w szarzyźnie wieczoru. Jurkowi

zdawało się że to potwór straszliwy ryczy, trzyma go w szponach, wydiera mu życie i nie puszcza. Zaczął pisać, rozmowa z ukochaną pochłoneła go, upajał się.

W tem na list spadła gałązka wrzосу, suche drobnusie kwiatki prysnęły rozsypane. Za ramkę wskoczyła wystraszona mysz. Jurek jak wściekły porwał zwierzątko i cisnął na podłogę. Żałośnie pisnęła. Zabolalo go to; prędko wstał i pół żywą mysz odchuchiwał w dłoni. Przecie to jego towarzyszka, współlokatorka, powiernica jego tęsknot. Ułożył ją wygodnie w pudełku po gilzach, i nasypał okruszyn z bułki. Ale czarne oczka spoglądały na niego nieufnie, nóżki zrywały się do ucieczki. Jurek umieścił wrzos na ramce i znowu pisał do ukochanej. Przerwał mu stukot drzwi i wołanie kolegów. Otworzył im niechętnie.

— Audytorja puste!.. strajk!.. nie idziemy na wykłady!..—mówili wchodząc.

Jurek zachwiał się.

— Jakto, postanowione?..

— Tak, nie można inaczej; wyrok zapadł.

— Które wydziały? — jęknął

— Wszystkie! In pleno!

— Więc półrocze stracone, semestru nie zaliczą?

— To trudno, gdzie drzewa rąbią, wióry lecą; ten strajk to nasza konieczność.

— Dawniej dwa lata, teraz znowu — rzekł jeden z kolegów złamanym głosem.

Jurek milczał.

— Filologja w audytorjach — rzekł któryś.

— A prawo?... medycyna?..

— Strajkują! In pleno!.. In pleno!

Studenci rozgościli się w izdebce Jurka, twarze były poważne. Tylko paru miało buńczuczne miny i czapki na bakier.

Ci strajkowali z zamięłowaniem, nie patrząc w przyszłość, nie pragnąc nauki.

Jurek nieznacznie przykrył kajetem fotografję ukochanej, rozsypany wrzos zgarnął do portfelu. Bał się żartów, nazywano go już romantykiem.

Siedział wśród gwaru kolegów, mówił z nimi, ale zgryzota zaćmiła mu wzrok. Widział w myśli starych rodziców, zgnębionych wieścią z uniwersytetu, widział zboląłą nad jego listem, swoją dziewczynę.

Widział nową pustkę przed sobą, i nieubłaganą konieczność jakiej musiał uleść dla zasady.

Ginęły siły w tych zapasach, rwała się energia. Duch upadał i wiara w lepszą przyszłość. Ale musieli kołatać o własne prawa, to było już obowiązkiem.

Nad tą garstką młodych serc, bujnych umysłów, nad tą wiązką pięknych myśli, ideowych pragnień i zapału, rozsnuł skrzydła czarny ptak Niedoli; solidarność wiązała mu lotki.

In pleno!..

Po własnej krzywdzie i krzywdzie swych najdroższych musieli deptać, dla dobra ogółu, dla przyszłych pokoleń.

Czy ta wielka ofiara zdoła wyplenić grasujące w audytorjach — Fatum?..

Umilkły dzwony, tylko echo niesło się jęklawie po nad wieżycę grodu.



NENUFAR.

NOWELA

Dotąd Ją widzę w marzeniach swych, w oczach tęskniących za nią.

Była biała i smukła. Niosła w sobie słodczy; przed nią szedł czar niesłychany, za nią postępował urok.

Owiewała ją cicha melancholja. Ujrzałem ją pierwszy raz podczas wakacji. Byłem daleki od marzeń erotycznych, pomimo dwudziestu lat i żywego temperamentu.

Huczały mi w głowie nauki, nowe ich zdobycze nęciły żywy umysł. Rój pomysłów, którymi, zdawało mi się, świat zwale, ludzkość całą na nowe wprowadzę gościńce, zdobędę taki obszar wiedzy, która już absolutną być musi.

Myśli uderzały mi o mózg z siłą tarczyn, czułem ich dotknięcie i pragnąłem wydobywać je z głowy energiczną mocą twórczenia.

Czynów, czynów chciałem!

Przyjechawszy do kolegi na wieś, pro-

sto z ławy uniwersyteckiej, błądziłem wśród bujnej natury pól i lasów. Nurzałem się w rozkwitłych łąkach, wśród zbóż dojrzewających i umacniałem swe ideały duchowe.

Było ich takie mnóstwo, że ogromem równały się z naturą. I tak żyłem: ideały i przyroda — to mi wystarczało.

Raz, w ciche, trochę parne popołudnie, zaszedłem w swej wędrówce dalej, niż zwykle. Minałem znajomy mi tegi las przepysznych kolosów, gdzie każde drzewo zdawało się osobno żyć, nie tylko materją, lecz i duchem, tworzyć swój świat odrębny i swój myślokrąg. Las ten to była jedna dynastia, płodna w silne tworzywa jędrnych istnień drzewnych. Była to rodzina wielka i zgodna, potężny gmach społecznego ustroju przyrody. I niosła w górę dumny poszum swych koron niebosiężnych swój hymn wiekuistej chwały dla Stwórcy.

To nie był bór, to był raczej wszechmocny sejm augurów drzewnych, stojących jak opoka niezwalczona, z taką mocą, z taką imponującą siłą, że zdawało się, ziemia nie wytrzyma i ugnie się pod ich ciężarem.

Kochałem ten bór!

Przy końcu, jego drzewa rozbiegały się pojedynczo, jakby warta czuwająca na straży, jakby pikiety przed główną armją. Tu i tam

stały masztowe sosny, powleczone od dołu złoto-różową, błyszczącą korą. Dęby przysadziste rozgałęziały szeroko swe mocarne konary. Zaczynały się łąki wilgotne, porośłe soczystą roślinnością.

Zamysłony, minąłem samotne drzewa i, brodząc po kolana w mięsistej trawie, szedłem naprzód. Nogi mi grzęzły, miejscami woda chlupotała pod stopami. Ale upajał mnie rzeźwy zapach kwiatów i wód, których jednak nie widziałem. Pomimo to prąd powietrza był wilgotny i odrębny, znamionujący bliskość dużej wody. Zaciekawiony, szedłem coraz śpieszniej.

Opodał, na wzgórku, widniała jakaś zielona, gęsta, jednolita masa, jak winnice nadreńskie, wysokie i smukłe.

To chmiel na drutach rozpięty. Warkocze jego pędów, bujne w szorstkie liście, grube od dołu, wyrastały ze wzgórków, jakby każdy pęd, rosnąc, unosił za sobą ziemię. Im wyżej się wspinały te zielone warkocze, tem były szczuplejsze, bardziej wiotkie, aż u szczytu kończyły się wąsem delikatnym, zakręconym, zdobnym w drobne listki i odrośla.

Pochyle, mocne słupy podtrzymywały sieć drutów, niby olbrzymy, które rozpięły

przed światem festony zielonych girland. Smukłe kolumny potężnych łodyg obsypywały pęki siwego chmielu. Sute grona, szyszki szarozielone zwisały gęsto, szeleszcząc łagodnym szmerem.

Zachwycony tym nowym widokiem, wbiegłem do środka plantacji. Otworzyły się przedemną wązkie, długie tunele zieleni, szmer się zwiększył, miałem wrażenie, że dookoła mnie szeleszczą jedwabie. Patrzałem w górę.

Co za wspaniałość wzrostu! A wszystkie te wieże zielone stoją proste, strzeliste. Jakieś jakby dumne, dziwnie wyniosłe, zarozumiałe.

„Ale z czego?“—pomyślałem sobie.

Wszak to nie drzewa, które stoją o własnych siłach, bez oparcia i podpory. Tu już nie natura stwarza piękno, lecz pomoc ludzka.

I ogarnęła mnie litość.

Coby się z wami stało, wspaniałe pędy chmielowe, gdyby nie druty, które was dźwigają w górę, które nadają wam taki pomnikowy wygląd. Drutom winneście wdzięczność. Gdyby nie ta sieć żelazna, pełzałybyście po ziemi, skotłowane w jeden nieprzebitą gąszcz. Wasze szorstkie łodygi gryzłyby się z sobą żarłocznie, a bez ratunku. Miażdżyłby was deszcz, pył ziemny zamulałby wasze liście,

wasze srebrne szyszki gnilyby, jak pospolity chwast. Więc wasza chwała i uroda to zasługa ludzi, kultury. Nie macie się czem pysznić. A jednak nie, to prawda! Ludzie się tylko na was poznali i dlatego was podnieśli z ziemi, dla swego pożytku i dla wygody. Ale zasługa jest wasza, że potrafiłyście zmusić ludzi do nadania wam piękności i znaczenia.

Zasługa jest, ale nie może być chwały, bo jednak bez opieki którą wyzwaliście, jesteście... zielskiem.

A dęby wielmożne, a sosny, buki, klony przeogromne, nawet zalotne, wiotkie brzozy żyją samowładnie, nie zebrząc opieki, i same przez się urodziwe.

Więc to natura, im chwała i cześć!

Rozmyślałem, nurzając się w alejach z chmielu. Nade mną błękitniał wązki pasek nieba. Cała plantacja pocięta była na takie wysokie i niezmiernie długie korytarze, niby halle spacerowe, niby tajemnicze przesmyki kapłanów wśród murów klasztornych. Zaczęło mnie to męczyć. Nigdzie odpoczynku dla zdumionych oczu, wszędzie ciasne, równe zaułki.

Zniecierpliwiłem się, tembardziej, że słońce spadało coraz niżej, a ogniste jego blaski

grały różnobarwnemi plamami na liściach kolumnad chmielowych, mieniąc się na nich, jak na szklach witraży w mrocznej świątyni. Drażniły mię te bogate kolory słoneczne i drażnił, niepokoił coraz silniejszy zapach wód, niby surowe tchnienie blizkich jezior.

Zacząłem się szarpać, szukając najkrótszej drogi wyjścia z labiryntu plantacji. Ale na wszystkie strony ciągnęły się niebotyczne wąwozy, zda się bez końca.

Ogarnął mię gniew. Doznałem przykrego wrażenia ciasnoty, poczułem się jak w więzieniu. Żądza przestrzeni, powietrza owładnęła mną gwałtownie.

Na wolność! na wolność! Pędem puściłem się środkiem jednej alei, zacinając zęby z wściekłości, bo szerokie łapy chmielu, szorstkie macki jego wąsów łapały mię, jakby zatrzymując. Rzucały mi się na szyję, biły w twarz, czepiały się ubrania. Nieprzyjemne, twarde, niby szczecina powleczone ramiona chmiel ciskał za mną i przede mną. Czy mię tu chciano zdławić, czy zatrzymać przemocą, nie wiem, bo biegłem jak szalony, uciekałem z rozmysłem, gnany żywiołowym pragnieniem swobody, strachem zabobonnym, którym mię natchnęły te olbrzymie pnące, zagrządzające mi drogę.

Zwyciężałem jednego tytana za drugim, z rozkoszą widząc, jak opadały im zaborcze ramiona i jak te potwory usuwały się za mnie pokonane.

Gdy dopadłem krańca chmielarni, okrzyk bezwiedny wyrwał się z mych piersi, Okrzyk tryumfu z ocalenia, ale i zarazem jakby wstydu, że uciekałem. To był krzyk dezertera, gdy się poczuł wolnym, lecz... shańbionym.

Uległem wrażeniu, jak dzieciak, zmykając przed naturą.

Nie miałem już czasu na urąganie sobie, bo nowy, zupełnie niespodziewany widok przykuł mój wzrok. Stałem, jak ogłuszony, bez słów, tylko z wyjątkowym wrażeniem zachwytu.

Przedem mną leżały stawy.

Wielkie łustra kryształowych tafli wód. Przestrzeń wodna! Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się stawy i stawy. Przecinały je groble otulone w zwoje srebrno-zielonych wierzb, niskich, karłowatych. Wężowymi skrętami biegły te zielone wały wskroś wód, haftując bogato gładką toń stawów. Tu i owdzie rosły kępy wysokiej rogoziny, zdobnej w twarde, długie, brązowe kity. Niektóre groble mieniły się w słońcu błękitem niezapominajek

lub czerwonością kwitnących szczawiów, albo płową barwą traw suchych i sitowia.

Krzyk unosił się nad wodami. Kwiliły czajki i białe zwinne mewy. Piszczwały kuliki; gęg kaczek wpadał hałasliwie w ciche, jednostajny belkot fal, bijących w groble. Woń szła odurzająca, ale zdrowa jakaś, pełna rzeźwości, woń tataraku i głębin wodnych.

Czerwone refleksy zachodzącego słońca kładły na fale złotoliste makaty, dziergały je w drogocenne rzuty klejnotów. Niebo kapowało się w spokojnej toni, kraszac ją sobą, a ona odbijała w swej tafli niebieskie ciała i wysmukłe pasma promieni, idących na nią z świetlistego majestatu króla niebios i przestworzy—słońca.

Schodziłem powoli z pagórka chmielowego, mając oczy utkwione w stawach. Po pierwszym zachwycie, duszę moją opanowała beźmierna tęsknota. Szelest wody, monotony a rzewny, potęgował ją. Śmiganie białych skrzydeł mew nanosiło do serca roje pragnień niepojętych. Tyle melodji grało w mej duszy, tyle pieśni duch mój wznosił, jakbym zbliżał się do ołtarza, gdzie ofiarę odprawia sam Bóg. Uniesiony byłem w zaświaty i wstąpiłem na pierwszą groblę, z podniosłem uczuciem wdzięczności dla natury, że daje ludziom

takie oto chwile błogosławione, brzemiennie w słodkie upojenia.

Szedłem, jak lunatyk, po wązkim prześmyku wśród wód. Szemrało, belkotało, gwarzyło coś do koła. Fale szeptały z sobą, może odmawiały wieczorne psalmy?...

Błyszczące łątki, krwawe przy zachodzie słońca, tańczyły nad wodą, bzykając z cicha, razem z komarami, do wtóru rozgwarzonej toni. Często rzuciły się ryby, mącąc na chwilę pogodę wodną, koła tęczowe rozchodziły się szeroko i plusk wzrastał. Otaczały mnie różowe głębiny stawów, pod stopami miałem wieńce poplątanych traw i niezapominajek, które teraz były różowe, rubinami rosy świecące. Nizka, siwa wierzbina sięgała mi do pasa, nie tamując widoku.

Zatrzymałem się i posłałem oczy w dal, śladem lśniących nurtów. I nagle... zdumiałem się.

Z prawej strony, na grobli, przedzielającej dwa stawy-jeziora, w otoczeniu trzcin i kwiatów, szła wolno biała, smukła postać niewieścia. Cicho sunęła i równo, z rękoma zwieszonymi i głową jakby sennie pochyloną na piersi. Szła powiewnie, cała przeróżwiona zachodem, dziwnie tęskna w ruchach, dziwnie harmonijna.

Sama melodia.

Szła, jak muzyka, cudna, jak pieśń.

Tuż obok, jej śladem, przy grobli płyne-
ło małe stadko perkozów. Białe jak perła
żaboty ptaków, dumne głowy z nastrzępiony-
mi czubami odbijały się wypukło na tle różo-
wej fali i były niby orszakiem paziów zaczy-
rowanej królewny.

Zdawało mi się, że śnię. Że wrażenia,
jakie odczuwałem pod wpływem przyrody,
skrystalizowało się oto w obraz fantastyczny,
nie mający nic wspólnego z rzeczywistością. Że to
nie żywa istota idzie tam, przeprowadzona
przez ptaki wodne, tylko jakaś fantasmagorja,
wizja, wywołana nerwami.

Byłem najpewniejszy, że to złuda, ale
oczu nie przecierałem, bo złuda była piękna,
obraz pełen kolorytu i niesłychanej plastyki.
Zadziwiał mnie tylko ruch tej białej postaci,
ciągle idącej naprzód, a także kwilenie per-
kozów. „O ile to tylko fatamorgana wzroko-
wa, to postać powinna stać w miejscu”—my-
ślałem.

Ale prędko przestałem analizować i, po-
chłonięty widokiem, oddałem się cały urokowi
widziadła.

Chciałbym w owej godzinie przeżyć całe
życie, tak było mi błogo i tak nieziemsko.

A oto słońce zgasło. Siwy mrok padł
na wody, omaszczając je ołowiem.

Wizja znikła.

Na złamie grobli, gdzie rosły gęste
wierzby, rozpłynął się mój sen.

Taki żal zdusił mi serce, taka głusza za-
panowała w niem, że stałem, jak omdlały,
z poczuciem dotkliwej krzywdy. Znikła! Mo-
że to była goplana wodna, może syrena, czy
wieszczka fal. Roztopiła się jednocześnie
z ostatnią zorzą słońca. Więc to może bo-
ginka dnia, czy zwiastunka wieczoru dla wod-
nych roztoczy?...

Już tęskniłem za nią.

Ciężkimi krokami ruszyłem naprzód,
z myślą pójścia na ową groblę, w ten gąszcz
wierzbowy, gdzie ona znikła.

Ona... ta biała.

Ten mój N e n u f a r tajemniczy.

Mój! Tak, bo jeśli jest żywą istotą, to
jest już moją; mam ją w swej duszy; jeśli by-
ła wizją, to jest również moją, bo duch mój
ją wywołał.

Egzaltacja mnie unosiła.

Nagły chrzęst piór ptasich zbudził mnie
do rzeczywistości. Ujrzałem tuż przed sobą
wysmukłe perkozy. Wyszły z wody, otrze-
pując się z niej skrzydłami, i na swych plet-

wach, kołysząc się, wstępowały pędkiem na groble.

Ach! otóż i ona! Mój Nenufar!...

Wysunęła się z za srebrnej wierzby i... ujrzałem ją tuż przed sobą.

Więc nie wizja, ale... bajeczna rzeczywistość.

Stała trochę przerażona.

Oczy jej tęskne, przezrocze, w wszechświat jakby patrzące, a śliczne, pełne wyrazu, spoczęły na mnie zdumione. W białej, długiej, lnianej sukni, luźnej i bez żadnej ozdoby, wyglądała posagowo. Ciemne, miękkie włosy, rozsypane swobodnie, związywała na karku długą lodygą lilii wodnej, zakończoną stulonym kwiatem. W opuszczonych rękach, delikatnych, jak piersi perkozów, trzymała dużą więź tych samych lilii, ciągnąc lodygi po trawie.

Drobny, bardzo szczupły owal twarzy, niby z płatka nenufara wycięty, okalały luźne pasma włosów, które, spływając po bokach czoła, nie mąciły wytwornego rysunku cienkich brwi, jakby pendzlem artystycznym nakreślonych. Rysy wykwiłtne, subtelne, zakończyły soczyste usta, koralem lśniące.

Była nieuchwytna jakaś, czy z mgły utkana, czy stworzona z odłamku obłoków.

Otaczały ją siwe stawy i otaczał blask. Towarzyszyły jej perkozy i towarzyszką jej była harmonja przedziwna. Stała tak, bez słów, w melodyjnym rytmie zawarta. Stała prześliczna, jak jedna nuta pieśni z epopei jak jedna strofa poezji anielskich.

Stała czysta, jasna, boska i niepokalana.

Moja... Victoria regia.

Nie wiem już, co do niej mówiłem. Tylko pamiętam, że, gdy sięgnąłem do jej ręki, cofnęła się z przestachem, zaś perkozy z wrzaskiem rzuciły się na mnie.

Ona przemówiła do ptaków łagodnie, dotykała dłonią dumnych głów, a uśmiech dobrotniwy rozchylił jej wargi delikatne jak stokrocie.

Czułem, że wdzięk bijący od niej otumania mnie, że mózg mi rozsadza natchnienie tak szczytne, jakbym był wieszczem i chłonną do swej duszy twórczość genialną.

Krótką chwilą, ale upoista.

Moja wieszczka skinęła mi głową i wolno odeszła, błyszcząc na ciemnej grobli, wśród masowych wód, białą swą szlachetną postać.

Nie śmiałem iść za nią.

Tylko znowu ją podziwiałem.

Księżyc wypłynął z poza chmielarni i cisnął na stawy roztopione opale i perły. Rosa na groblach świeciła brylantami, wody w poświacie miesiąca steżały; były nieruchome, niby tafle lodu. Na szybach ich ślizgały się białe pasma mgieł.

Ona szła prosta, klasyczna, niezmacona w liniach. Widok stał się nieco borealny, przetkany srebrzystością, pełen cieni i białych motów mgieł, jak zaspasy śnieżne.

Nad ranem dopiero powróciłem do domu. Lecz w południe znowu błądziłem po groblach wśród stawów. I... spotkałem ją... samotną, jedynie w towarzystwie ptaków. Mewy krążyły nad jej głową, a ona rzucała im ciasto.

Powitałem ją uśmiechem, wręczając duży pęk traw i kwiecica. Przyjęła radośnie ten mój skromny dar i, usiadłszy, zaczęła wic wieniec.

Milczeliśmy. Nie umiałem do niej mówić. Spytałem wreszcie nieśmiało:

— Dlaczego pani taka samotna?

I było mi przykro, że tak głupie zadałem pytanie; jakbym się pytał syreny, dlaczego przebywa w morzu?

Ona odrzekła tylko:

— Kocham swoje stawy.

— Gdzie pani mieszka?

Znowu się zarumieniłem ze swej głupoty. Pytanie w rzeczy samej było logiczne, lecz... dziwnie do niej nie dopasowane.

— Błazen jesteś! spytaj ją jeszcze o paszport—wmyślałem sobie w duchu.

Ona odrzekła ze słodyczą:

— Tu mieszkam, wśród wód.

— I nie tęskni pani do ludzi?

Byłem pewien, że odpowie z patosem: „kocham naturę“. Tak mi podszeptał jakiś szatan złośliwy. Ale zawiódł się, bo ona tylko pokręciła swoją malowniczą główką i rzekła całkiem naturalnie:

— Nie.

Zapatrzyłem się w nią bezpamiętnie. Porывała mnie ciszą i łagodnością dziecka. Ona nie zwracała na mnie uwagi. Plotła wieniec i przemawiała do perkozów, które stały dookoła niej, jak cerbery, patrząc na mnie wrogo i groźnie.

Był to nowy, zupełnie charakterystyczny widok. Jakkolwiek moją boginkę nie uważałem już za nadprzyrodzoną istotę, lecz pomimo to miała ona w sobie coś znamiennego, co ją raczej zbliżało do bajki, niż do rzeczywistości. To była dziewczica, ale dziewczica-myt, zawierająca w sobie samą tajemniczość, poza-

zmysłowość. Owiewało ją jakieś misterjum, że zdawała się nie mieć ciała, tylko promień jasny, natchniony duchem. I posiadała moc dziwną w głosie, w spojrzeniu i w każdym ruchu. Tę moc wyłączną, którą przedwiekowe czarownice-syreny wabiły ludzi, wprowadzając ich na manowce, którym zdołał oprzeć się tylko Odys z Itaki.

Ona, ta moja Syrena, miała właśnie ten czar. Ale ja nie byłem nań głuchy. Nie za-
lepieiałem swych uszu „woskiem miodnego plastru“, nie przywiązałem się do masztu. Przeciwnie, siedziałem u jej stóp, chłonąc z chciwością urok, płynący od niej.

Rozmowa nasza swobodniejszą się stała. Pytałem ją o poranki i wieczory letnie nad stawami, pytałem o pomruk fal i szmer traw na grobli.

A ona mi mówiła radośnie, że kwiaty i trawy modlą się do Stwórcy.

— O co się modlą?—pytałem.

— O nieśmiertelność, miłość i piękno — odrzekła.

— A o czem gwarzą wody?

— Wody to są zebrane łzy ziemi; spływają z jej oczu, z jej lic do źródeł zapomnienia, szczęścia lub niedoli. Z nich tworzą się jeziora, hej! morza całe, oceany. Jedne są

raźne, wesole i piękne, bo zebrały się w nich dobre łzy—łzy, wylane ze szczęścia, łzy rozczulenia i upojenia. Ale inne jeziora bywają ponure, smutne i czarne, bo w nich są łzy ziemi zawiedzionej, łzy tęsknoty, żalu, okrutnego bólu. Och! woda w takich jeziorach jest gorzką, wiecznie jęczy i tłucze się o brzegi, bo łzy w nich palą, łzy dręczą.

Śluchałem jej słów, jakby natchnionych. Mówiła naturalnie, bez patosu, patrząc na wodę. Nie mogłem od niej oczu oderwać. Pochylony do niej lekko, jakby w obawie, by nie spłoszyć jej spokoju, szepnąłem:

— Jakie są łzy... w tych oto paninych stawach zawarte?

Drgnęła i nieco przybladła. Westchnienie uniosło jej piersi białe i drobne, jak stulone kielichy nenufarów.

— Tu są... różne łzy—odszepnęła.—Ten staw Wielki, zamyka w sobie łzy żalu i gorczy meji ziemi, gdy ją... sprzedawano.

Ostatnie słowo powiedziała z takim bólem, że się wstrząsnąłem.

Ona szeptała dalej, ożywiając się. A wszystko dokoła, i ja i perkozy, słuchaliśmy w skupieniu.

— Tu, do Wielkiego—mówiła—łzy ciekły strumieniem. Ziemia płakała, jej łono

szloch rozrywał, szloch bolesny, bo ją ćwier towano, bo deptali ją obcy ludzie, bo synowie, na niej wzrosli, przez nią wykarmieni, handlowali teraz matką, jak... łachmanem Pokrajano ją, tę naszą świętą żywicielkę; słyszała targi, słyszała brzęk złota, którem za nią płacono, a nie widziała tęsknoty, ani żalu, ani łez w oczach tych, co ją sponiewierali, marnotrawnych synów.

I ziemia płakała, strasznie płakała. Z tych łez ciężarnych bólem powstał ten — Wielki. I dlatego on zawsze taki smutny, fale ma duże, ciemne nurty, żałobny jest. Czasem słońce go okrasa, wtedy płonie purpurą, krwawi się, a łzy rzesiste drgają na jego powierzchni. To wielka cysterna niedoli ziemi, jej łzawnica. A jaki on często jest straszny! jaki ponury! Toń jego czernieje, burzy się, grzmi i rośnie w górę, prawie groble zalewa. Sroży się i buntuje i przeklina.

Łzy go pieką, to jest przypomnienie przysług; to są treny żałobne ziemi kochanej. A łzy z niej spływają do tej Wielkiej urny, by rodzić nowy, niewygasły żal.

Usta mówiącej zadrżały, na powiekach osiadła rosa, lekkie cienie przebiegały po ślicznych pastelowych policzkach. Wzruszenie nią owładnęło silne.

Po chwili rzekła wprost do mnie:

— Pan się pyta, o czym gwarzą wody? One gwarzą o ludzkiej niewdzięczności, o chciwości ich i złych sercach. Łzy, które tworzą te stawy, modlą się przytem za ludzi, co krzywdzą ziemię. Bo sponiewieranie ziemi to krzywda ciężka, to grzech! Ten kto ziemię do płaczu zmusza, nie ma serca. I ten, przez którego ziemia płacze, nie zazna szczęścia... nigdy. Sumienie mu nie da spokoju, prędzej czy później odezwie się i zemstę zgotuje.

Groza wiała z jej słów, niby przepowiednia z wrogich ust kapłanki Pytji. Zrobiła ręką ruch okragły, zakreślając widnokrag stawów, i rzekła znowu:

— Oto są zbiorniki łez ziemi. Jej rozplakane łono zrodziło te jeziora.

— Czy wszystkie jednakowo smutne?

— Och, nie! Smutny jest Wielki, Siny, Czarny, Zimorodek i Bławat; a Modry, Jutrzenka, Różany, Radosny i Miły to wesołe stawy, w których są także łzy ziemi, ale łzy wesela, nadziei i szczęścia, wylane z powodu, że... na glebie, rozcząstkowanej przez synów, została chociaż... córka kochająca swą ziemię i nie oderwana od niej nigdy i przez nikogo.

Patrzyłem na nią w zachwycie, tak była

piękna w swym zapale, z gorejącymi oczyma i rumieńcem na twarzy.

— Tą córką jest pani szepnąłem.

— Tak — odrzekła z prostotą.

Nagle zwróciła się w stronę jednego stawu, świecącego zdaleka, jak niebieska żrenica, i rzekła:

— Tam jest Modry—widzi pan? jak jedna niezapominajka. A jaki wesoły! Jego fale wołają do mnie: „Zostałaś i zostaniesz z nami!“ Przytem się śmieją.

Spojrzała na mnie groźnie.

— Pan myśli, że fale się nie śmieją?... A ja panu mówię, że tak. Niech pan zauważy, czasem bełkot wody i jej powierzchnia jest poważna i spokojna. Wtedy fale rozmawiają z sobą, a czasem się żalą i jęk przebiega nurty, a czasem płaczą; słychać szlochanie, ponury zew wydobywa się z głębin. Ale i śmieją się także. Figlarne falki chichoczą radośnie, igrając w słońcu, jak wesołe dzieci.

— Więc w nich są łązy radości?

— Tak, łązy wesela, łązy szczęścia—odrzekła poważnie.

Poddawałem się zupełnie jej wpływowi. Patrzyłem jej oczyma, odczuwałem jej sercem i nerwami. Ona wymieniała mi charakterystycznych jezior, ja zaś, słuchając, widziałem pla-

stycznie wszystko to, co ona widziała. Chodziliśmy razem po groblach, nurzaliśmy się wśród kwiecia, ona robiła wieńce i wiązanki, poczem rzucała je na fale. Raz rzekła:

— Niech pan zauważy, że nawet inna jest roślinność na stawach smutnych i wesołych. Wielki—jest gęsto pokryty kepami bronzowej rogoziny o żałobnych kitach; liście one mają ostre i w kształcie mieczów. Rośnie tatarak siwy i ponure kiście płowych traw. Pływają gęsto po smutnych stawach lilje, nenufary; to kwiat żałoby. A niech pan spojrzy na staw Różany, na Jutrzenkę, czy na Radosny: jaka tam moc niezapominajek, jakie mnóstwo jasno-zielonych, wesołych tataraków, czerwonego kwiecia, nenufarów, ale żółtych, często znajdują się i różowe. Brzegi wesołych wód okalają różnorodne kwiaty, pełno kaczeńców, białej kaszki, macierzanka aż odurza zapachem, szczaw kiściami ceglanemi potrzasa zawadjacko, a żab, a małych rybek — całe społeczeństwo.

— Czy i ptaki odróżniają naturę wód?—spytałem.

Ożywiła się ogromnie, widocznie ucieszona mojem zainteresowaniem się. Zaczęła mówić ustami, pełnemi uśmiechów:

— Ależ tak, panie, ptaki również odczuwają charakter jezior. Perkozy częściej się grupują na smutnych wodach, to ptaki poważne. Mewy — rozmaicie, ale i one garną się raczej do smutnych. Ale jaskółki, kurki wodne, kuliki, o! te już przebywają przeważnie nad wesołą falą. Dzikie kaczki, gęsi to są sybaryty: idą tam, gdzie wygodniej, subtelności w nich mało, dążą za dobrobytem i... tyją. A bąk, na przykład... Czy pan zna ponury głos bąka, niby z pod ziemi idący? To także mieszkaniec żałobnych wód. On nawet nie często się odzywa, tylko wtedy, gdy odczuje jakieś... nowe łzy. Wtedy huczy żałością, skarży się i złorzeczy. Och to groźny zwiaśtun niedoli, to wróżbita wodny. On prze-czuwa smutki, trwogę roznosi; to dzwon żałobny fał, piewca cmentarny. Jakże on prze-raźliwie huczał, jak jęczał, gdy... przyjechali kupcy na naszą ziemię. Jak on płakał, przeklinał, wołał głosem muezzina, zwołującym jakby na modlitwę wszystko, co żyło i czuło, by ratować ziemię, gdy ją... rozgrabiano.

Moja wieszczka umilkła, wzruszona, ja zaś nie śmiałem przerywać jej skupienia i — milczeliśmy długo.

Tegoż dnia, późno wieczorem powróciwszy do domu, zastałem liczne zebranie. Ro-

dzice mego kolegi dopytywali się mnie, gdzie przebywam po całych dniach. Widziałem drwiące, nieprzyjemne uśmiechy, słówka dwuznaczne o jakichś udanych Ofeljach, poszu-jących Hamletów, o czarownicach i rusalkach. Rozumiałem, do czego skierowane są te złośliwe kpinki: wysledzono mnie i szydzą z mego zajęcia się moją wieszczką. Nie odpowiadałem na te złośliwości, duszą całą byłem tam przy niej. Czułem, że spotka ją duża krzywda i że ludzie, nie rozumiejąc jej, źle ją sądzą. Byłem niesłychanie ciekaw jej historii, lecz nie chciałem pytać nikogo. Nawet kolega, z którym zawsze rozumieliśmy się, spytał mnie z ironią:

— Słuchaj, czy ty się kochasz w tej warjatce z nad stawów?... Uważasz, bądź ostrożny; to goplana, ni z pierza, ni z mięsa, w dodatku ma pomieszanie zmysłów.

— Znasz ją? — przerwałem porywczo.

— Dajże spokój! Ja się z obłąkanymi nie wdaję nigdy. Widywałem ją, jak się snuje pomiędzy stawami, ale wiem, że ludzie żegnają się na jej widok, jak przed straszydłem, albo czarownicą. Co ona tu wyprawiała, jak parcelowali Jeziorzyska! mówię ci, skandale. Gryzła podobno ludzi, wyła, niczem hijena. Jej bracia mieli z nią kłopot. Tak się awan-

turowała, że musieli jej zostawić cały obszar stawów, zamiast schedy, bo pieniędzy nie chciała dotknąć. Ee! mówię ci, to idjotka!

— Jakto, i wszyscy ją opuścili? — spytałem z żalem.

— Dobry sobie! A któż będzie się zajmował zbłąkaną Ofelją? Chyba takie Hamlety, jak ty!

— Znowu to samo! — pomyślałem sobie i skończyłem rozmowę.

Ale mój Nenufar interesował mię coraz więcej. Śledząc ją nieznacznie, wykryłem, gdzie mieszka. Oto w małej chatynce, ginącej w zaroślach, na wyspie, wśród stawów. Żywność donosił jej stary karbowy z Jeziorzysk, również oburzony na nowe porządki i zamieszkujący w rybackiej chacie swego syna, tuż obok stawów. Żył więc, jak prawdziwy nenufar. Kwiatem swej postaci pływająca wśród wód, zaś przywiązaniem i miłością i uczuciem była, jak łodyga nenufaru, zatopiona głęboko w ziemi swej ukochanej.

Któregoś dnia rozmawiałem ze starym Jackiem, byłym karbowym jej braci. Poważny, siwy chłop mówił uroczyście:

— Niestety tu przyszło, paniczu. Młode pany sprzedali ojcowiznę rodzoną, bez sumienia. Stary pan płakał, biedował, i — co-

miał robić? poszedł do synów na łaskę. Starszy panicz pono żeni się bogato, to trza mu było pieniędzy na pokazanie się. To i co? sprzedał ziemię, jak, nieprzymierzając, bydłę, nabrał się grosza i poszedł w świat. Jakby bieda zmusiła, czy inne jakie nieszczęście — to jeszcze, niechby ta! bieda do niejednej ciężkiej rzeczy zmusi. Ale on przehandlował ziemię, ot sobie — dla rozkoszy, po pańsku to się nazywa dla kaprysu. Panienkę naszą skrzywdził, bo co tam te stawy! I za małą częśćkę Jeziorzysk nie starczą. Ostawił jej ino to, i dobrze! Ona cierpiała, tak, że ludziom mdło się robiło, jak patrzyli na jej żal. Do nóg się braciom rzuciła, zaklinała na prochy matki, to ją skrzyczeli i warjatką nazwali. Biedowała, biedowała, aż i...

Jacek machnął ręką.

— I co? — podchwyciłem struchlały.

— A ot! A bo to panicz nie widzi? Któż to panna będzie żyć sama, bez ludzi, bez męża (a miała tu kilku, co ją za żonę chcieli), jako pustelnica, ino z kwiatami i z ptakami, co je sobie oswoiła, że latają za nią, jak dzieci? Ciągłe ona tylko do nich gada, z wodami rozmowy prowadzi, śpiewa tak żałośnie, że się płakać chce, i zawsze gdzieś patrzy daleko, jakby niebo widziała.

Ona się boi ludzi, ale i ludzie jej się strachają, bo myślą, że to duch dawnej, ślicznej panienki Bożenny ze dworu, ale nie ona sama.

— Ona ma imię... Bożenna?—spytałem uderzony trafnością imienia, tak odpowiedniego do jej postaci.

— Bożenna Jezierzówna—odrzekł stary Jacek. — To już teraz moja cała radość na świecie, to nasza jasna dusza. Moja żona się do niej modli, jak do świętej. Młode panny z okolicy to ją przezywają rozmaicie: a to jakaś rusalka, a to najada, czy ki dyabeł! Ale dla nas i dla tych, co ją znają, to ona jest, jak anioł.

I dla mnie ona była aniołem. Widywałem ją codziennie, przynosiłem jej kwiaty, ona zaś wieńczyła nimi stawy. Mówiliśmy z sobą dużo. Umysł jej żywy i giętki, chwilami wahał się i błądził po utopiskach niesłychanych; zapadał w abstrakcję, w niepojęte ideologie, które dla umysłów normalnych były wprost obłądnemi. Miewała wizje tak widocznie przecudne, że z ekstazy i zachwytu omdlewała. Nie mogłem się jej wówczas docucić.

Kochałem ją bezmiernie. Wielką skalę swych uczuć złożyłem u jej stóp; twórczą potęgę miłości oddałem jej z rozkoszą, stałem się jej niewolnikiem, jej czcicielem.

Gdy szeptałem jej o tem, ona uśmiechała się, jak dziecko, słuchając bajki. Ślicznie kiwała główką, patrząc swemi przepaścistemi oczyma, w których dusza cała i wszystkie jej wzruszenia, umysł, pełen barwnych myśli, i... ten jej obłęd subtelny, odbijały się, jak obłoki w Modrym stawie. Często nie rozumiała, co do niej mówię, i na moje serdeczne zwierzenia odpowiadała jakąś uwagą o wodach, ptakach lub Bogu.

Na temat Boga i nieśmiertelności rozmawialiśmy najwięcej. Zadawała mi niektóre zagadnienia tak głębokie, że musiałem sięgać myślą do mojej wiedzy filozoficznej, aby móc odpowiedzieć jej zadawalająco.

Dysputowała ze mną z zapalem, lecz w trakcie najgorętszej rozmowy nagle milkła i albo zaczynała śpiewać, albo chwytala mnie za ramię, mówiąc bolesnym szeptem:

— Czy pan wie o zbrodni?... Jeziorzyska sprzedane! Ziemia rozszarpana! Mój Boże!

I usta jej krzywiły się do płaczu.

Wiedziałem, że Bożenna jest obłąkana, ale kochałem ten jej obłęd, w egzaltacji umiłowania poczęty. Kochałem jej nirwanę i kontemplacyjność. Razem pływaliśmy łodzią, razem śpiewali i poetyzowali. A gdym ją wi-

tał codzień rano, uśmiechała się do mnie radośnie, a gdy ją zegnał wieczorem, szeptała tak słicznie:

— Dobranoc, do jutra.

Przeżywałem poemat swego życia, przeżywałem czarowny sen, który każdy człowiek prześnić może tylko raz jeden. Miłość moja dla niej to była wzniosła, natchnieniem nasykana rapsodja, to był sonet, grany na boskich strunach, to była mistyczna pieśń ideału, hejnał, płynący z harf błękitnych. Pomimo dość groteskowych warunków i otoczenia, miłość nasza była samym ideałem, zespoleniem się dwóch istnień przesubtelniejszych, duchów uleciających z nadziemskości, w krainy ponadczłowiecze, niebytu materji, a królestwa krańcowego idealizmu.

Mówię „miłość nasza“, ponieważ i ona mnie kochała. Spostrzegłem to pierwszy raz, gdy ją poznałem, że muszę pożegnać ją i wracać do uniwersytetu. Bożenna zbladła, oczy jej zalały się łzami.

— Więc się pożegnamy na zawsze, już na... nigdy?..

Zacząłem ją uspakajać i prosić, by jechała ze mną. Odkrycie, że ona mnie kocha, napoiło mnie szczęściem tak przeogromnem, że odrazu powziąłem postanowienie za-

brać ją z sobą. Nie rozważałem, nie analizowałem. Czulem tylko jej serce, bijące dla mnie, i pragnąłem nie rozdzielać się z jej duchem. Ona wysłuchawszy mnie, rzekła z promiennym uśmiechem:

— Dobrze! ale weźmiemy ze sobą nasze stawy i ptaki i kwiaty...

Mówiła nieprzytomnie, oczy jej rozszerzały się dziwnie.

— Bo gdybym jeszcze ja stąd odeszła, to lzy te wezbrałyby strasznie, zalałyby świat! Gorzkie, słone lzy ziemi skrzywdzonej. Ja nie odejdę, ja tu zginę!

Wykrzyk jej był trochę dziki. Nie przebrał mnie jednak. Postanowiłem ją zabrać i leczyć. Ale daremne były prośby, błagania. Bożenna tylko o swych łzach mówiła, płakała i śmiała się. Oblęd jej wzrastał. Widocznie uczucie dla mnie, zrodzone w jej sercu, wzmocniło chorobę mózgu. Wpadała w melancholję, tonęła w apatji.

Nadszedł wieczór ostatni, nazajutrz wyjeżdżałem do uniwersytetu.

Nic nie pomogły moje zaklęcia, aby jechała ze mną. Im więcej ją nagliłem, tem ona sztywniejszą się stawała. Mewy kwiliły przeżliwie, bijąc mię skrzydłami. Zdawało się,

że i wody w stawach pociemniały, grożąc mi. Cała przyroda broniła tu swej królowny.

Rozstaliśmy się. Ja z rozpaczą w duszy, ona z tęsknotą i łzami w oczach.

Gdym całował jej dłonie, gdym stopki jej drobne do ust przyciskał, klęcząc przed nią, gdym ją żegnał, jak oszalały, ona szeptała słodkim swoim głosem:

— Ja przyjdę do ciebie, zobaczysz! Wsłuchaj się ci się ukażę, wkrótce ujrzysz mnie przy sobie.

Poczem nachyliła się do mego ucha i spytała:

-- Powiedz, czy i ja będę nieśmiertelna w przyszłości?..

— Będiesz, jedyna! Twoja dusza nie zaniknie, i we wszechświecie i w mojej duszy żyć będzie wieczyście.

— To dobrze, to dobrze,—szeptała.

Oderwałem się od niej przemocą. Zostawiłem ją na tej samej grobli, na której ujrzalem po raz pierwszy. Wieczorne opary spowiły przestrzeń wodną w kłęby swych białych dymów. Niby obłoki spadły na stawy, tak się mgły burzyły w górę i rosły w olbrzymy, w potworne masy, skłębione, jak runa gęste, ruchome, zatłaczające sobą wszystko.

Bożenna stała wśród tych oparnych chmur, biała i wiotka, jakaś mniejsza, a nadewszystko najdroższa. Powiewała do mnie pękiem siwych traw i śpiewała. Głos jej, pełen czystych, jak lazur, tonów, brzmiał smutnie i niki w oparach. Małała mi w oczach, gineła.

Cała moja przyszłość, nauka, uniwersytet, zdobywcze pomysły, zbladły wobec tej jedynej, nieuchwytniej wieszczki wód, wobec tego białego Nenufaru, który zostawał samotny i kwitł na stawach.

Szarpałem się z sobą, i była chwila tak silnego żalu, tęsknoty za nią, żem chciał biec do jej stóp, wszystko rzucić, o wszystkim zapomnieć, byle zostać z nią.

Jednak odszedłem. Ale gdy mi się już ona rozplynęła w mgłach, gdym, procz zwojów białych, nic więcej na stawach nie ujrział, padłem na ziemię i szlochałem z rozpaczy. Może moje łzy spływały do Wielkiego i może w bełkocie fal powiedzą jej o moim żalu za nią.

Może?...

Zaszedłem do Jacka, prosiłem go o troskliwość nad nią. Uśmiechnął się pobłażliwie.

— A toć moje dziecko prawie, to nasz anioł. Nie trza prosić. Jak nad świętą, tak

czuвам nad nią — odrzekł mi stary sługa Jezierzów.

Wysypałem mu na stół dużą kwotę pieniędzy, prosząc, by lepiej odżywiał Bożennę. Ale stary nie przyjął daru.

— Wystarczy dla niej to, co mamy. Ona, jak ptak, dużo nie potrzebuje — odparł surowo.

Uciekałem do domu, uciekałem, bojąc się, że wrócę. W środku chmielarni miałem wrażenie, że jestem na olbrzymim cmentarzysku moich marzeń i ideałów.

Wysokie baszty chmielu były niby mauzolea, zamykającej mój świat prześniony z nią, moje ubóstwienie. Doleciał mnie przenikliwy krzyk czajki z nad Wielkiego stawu. Ukłuli mnie w serce boleśnie.

Runąłem na ziemię pomiędzy kolosami chmielu i wylem, jak zwierz. Ból targał mi serce, wszystkie włókna życia, nerwy, mięśnie, mózg mi wyrwał z czaszki. Gryzłem ziemię, wpijałem się w nią palcami, ale... nie wróciłem.

W uniwersytecie zająłem się pracą bez wytchnienia. Myślą przewodnią była mi ona, celem — zabranie ją z czasem pod swój dach.

Minał miesiąc. Którejś nocy przyszła do mnie we śnie. Widziałem ją, niby na jawie.

Stała nad stawem, cała jak nenufar biała, śliczna. Patrzyła mi w oczy głębinami swoich i szepnęła:

— Idę w nieśmiertelność...

Poczem zeszła do wody. Zanurzała się w niej, jak kwiat, zalewany falą. Z uśmiechem zgarniała dłońmi wodę, szepcząc:

— Moje łzy, moje łzy...

Pograżała się coraz głębiej, a słońce zachodząc, oblewało ją różem.

Przerażony, rzuciłem się, by ją ratować, lecz ona poruszyła główką i rzekła:

— Nie, nie! Dobranoc, do jutra..

Znikła w fali cicho, jak łza. Został tylko po niej brylantowy krąg wody, niby tęcza spadła z niebios. Pochłonięła ją toń.

Nad nią rozkwiliły się mewy, płakały perkozy, wznosząc żałosny hymn pożegnania. Z daleka huczał basem organowy głos bąka. Widziałem ją, jak opadała lekko, a coraz niżej na dno. Rośliny wodne spowijały ją litośnie, jak wstęgi zielone. Oplotły ją lodygi nenufarów, rzęsa wodna okryła ją niby całunem. I tak tonąc wolno, wolno zasnawała się zielenią, jak jedwabnik w kokonie swoim. Fala ułożyła ją wygodnie w gąszczu korzeni tatarakowych, na miękkich roślinach i kołysała jej białym ciałkiem, szemrząc nad nią nok-

turn wieczystej tajemnicy. Zginęła z oczu ludzkich, zginęła dla świata. Leży oto w puchu wodnych traw, czysta, bezpieczna, nietykalna. Cieszyłem się, że jest opleciona tak silnie i tak głęboko zachowana w sitowiu, że jej woda nie wyrzuci na wierzch. Pozostanie na dnie ławnicy.

— — — — —

Obudziłem się z przestachem i pierwszym pociąganiem jechałem do niej.

Utonęła! Tem słowem powitał mnie stary Jacek.

Utonęła nie wiadomo w którym stawie, ale wieczorem, przy zachodzie słońca, na parę godzin przed moim snem.

Zwłok nie szukano. Stawy były zbyt głębokie i zarosłe. Liczono na to, że woda ciało wyrzuci.

Ale łązy ziemi zachowały zazdrośnie ziemską powłokę swej umiłowanej.

Pozostała w nich.

Utonęła w cysternie łązy ziemi, bo po moim odjeździe podobno często płakała i tęskniła, ciągle widząc na wodach łązy.

Jacek, łkając, opowiadał, że jej obłęd spotęgował się; była stale nieprzytomna.

Ja także myślałem, że dostanę obłędu...

Razem z Jackiem zbudowaliśmy na środkowej grobli, gdzie ją poznał, duży krzyż brzoźowy, biały, jak ona. Otoczyliśmy go barjerką; na kamieniu, u stóp krzyża, wyrzyłem napis:

„Śpij spokojnie wśród łąz, któreś ukochała“.

Wyplakawszy na tych stawach resztę swoich łąz, powróciłem z rozdartą duszą do nauki.

Lecz z filozofji przeszedłem na medycynę. Jestem specjalistą do chorób umysłowych. Leczę obłąkanych z zamięłowaniem, kocham swych pacjentów i... podobno—zyskuję sławę.

Ona żyje w mej pamięci, jest mi zawsze natchnieniem

Dla okolicy Jeziorzysk może stanie się legendą?...



ZIELONA BRYCZKA.

W dużym salonie wiejskiego dworu znajdowało się kilku panów wyświeżonych, we frakach, z białymi bukiecikami przy kłapach; rozmawiali z sobą cicho. Jeden mówił:

— Czy uważacie, jak długo pan młody nie przyjeżdża? Panna już dawno ubrana, tylko udaje że się jeszcze stroi, bo się pewno wstydzi, a może i złości.

— Daj pokój—może jej przykro.

— Więc sądzisz, że jej tak o niego chodzi? o niego osobiście?

— Nie była by jego narzeczoną.

Młody, zgrabny brunecik rozśmiał się wesoło, pobłyskując białymi zębami pod ciemnym jedwabistym wąsikiem.

— Paradny jesteś, Stefanie! Że jest jego narzeczoną, to niczego nie dowodzi. Wątpię, by się ona mogła tak prędko zakochać, ona—powtarzam. Znają się zaledwie ze dwa miesiące, to dla niej za mało. Mój drogi, ona woli jego miljoniki, niż jego pocałunki, woli

brylanty, niż oczy. Och! znam ja tego rodzaju gwałtowną miłość.

— Cynik jesteś — odrzekł wysoki, tegi blondyn o marzących oczach, zwany Stefanem.

— A ty idealista.

— Wolę to.

— Ja zaś wolę być cynikiem, zwłaszcza w tym razie jestem przewidujący.

— Co ci zawiniła panna Emilja, że ją tak posądzasz?

— Och, mnie nic, nie myślcie, że jestem zazdrosny. Cała sprawa w tem, że i ja dawniej błyszczałem i przez moje garście płynęło złoto, dlatego wiem, aż nadto dobrze. Ale od czasu, jak ojciec mnie wziął w ryzy, a moi rywale ogłosili za bankruta, szczęście do dam przysło, nigdzie nie mam weny.

— Rożański może się podobać nietylko jako świetna partja, ma urodę, postawę, bardzo wykształcony, inteligentny.

— To znaczy, że ja pod tym względem byłem upośledzony—zażartował brunecik, musingając wąsik.

— Nie, to znaczy, że panna Emilja naprawdę kocha Rożańskiego, ja za to ręczę.

Kilka głosów odezwowało się:

— Niech pan nie ręczy za nikogo, panie Stefanie, to się nie opłaci.

— Kto wie, czy Staś nie zna lepiej panny Emilji od nas.

— I może lepiej wie, czem się zapala ta rakieta.

Staś podniósł patetycznie ramię w górę i potrząsając dłonią, zawołał:

— Elektrycznym blaskiem brylantów, moi panowie, niczem więcej; ona nie potrafi inaczej kochać.

— A on?

— On się prawdziwie zakochał; ona go wzięła na oczy, on ją na miliony.

— Kto tam jeszcze wie, czy on naprawdę taki bogaty.

— Racja, kto to może wiedzieć.

— Ba! Skiby — słyszałem od Wołyniaków—śliczny majątek, oprócz tego ma jeszcze gdzieś jakieś dobra.

— Byłeś u niego? widziałeś? Mieszka daleko, koleją przyjeżdża, co tam można widzieć. Fama łatwo się rozchodzi.

— Ależ, dajcie pokój!—oburzył się Staś.— Bieda często ukrywa się pod korcem, bo ją niechętnie prezentują, ale miliony fiu! fiu! o ile same błyszczą, o tyle lubią przedstawiać się strojnie. Rożański, to bogacz; tego

mu nie można kwestjonować; zresztą, dowodzi tego, żeniąc się bez posagu; teraz nie słychać o ślubie biedaka z biedaczką! Spytajcie Józefa Okmińskiego, to kuzyn Różańskiego, więc wie najlepiej.

Wysoki, elegancki mężczyzna z czarnym zarostem wzruszył ramionami.

— Cóż mam mówić, sami zobaczycie.

— Aby tylko nie umknął, bo coś się djabło spóźnia—rzucił ktoś z boku.

— Prawda! Dalibóg, gotów drapnąć! — zaśmiał się Staś.

— Nie bądźże pan złym prorokiem.

— Byłaby katastrofa, co! Pomyślcie, ile dramatów i rozdzierających scen; panna Emilia musiała by wyszarpnąć ze swej duszy brylanty. Stary wyga Łacki zacząłby szukać znowu bogatego zięcia i—o zgrozo! oko jego mogłoby paść na naszą grupę. Gwałtu! czekam jeszcze pół godziny! kwadrans! potem kwituje z wesela i zmykam!

— Cicho! idzie ktoś.

— Idzie i szeleści — może już panna Emilia.

— Cicho bądź, Stasiu—mitygował kuzyna pan Stefan.

Do salony prędko weszła młoda, przystojna kobieta, ubrana w różowy atłas i ciem-

no-bordo róże. Spojrzała na grupę panów i szybko posunęła się naprzód, mnąc w rękę koronkową chusteczkę.

Pan Józef Okmiński wyszedł na jej spotkanie. Ona chwyciła go za rękę.

— Józefie, bój się Boga, czemu on nie przyjeżdża?

— Przecież panna młoda jeszcze nie gotowa?

Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

— Dawno ubrana, czeka i nie chce tu wychodzić, bo się wstydzi. Ale co jest, że jego niema?

— Spóźnił się poprostu, zaraz pewno nadjedzie.

— Przecie on ma nadjechać własnymi końmi, prawda?

— Właśnie dlatego spóźnia się; ze Skib trzeba jechać dwie doby, może na jakim popasie coś go zatrzymało. Wreszcie niepotrzebnie się alarmujecie, dopiero po piątej.

— Dobry jesteś! o szóstej naznaczony ślub.

— Do tej pory dwadzieścia razy przyjedzie, uspokój się, Marychno! a gdzie są młodzi Laccy? nie zbyt gościnni, że tak schowani.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

— U Emilki są, chodzą od okna do okna. Słuchaj, Józiu, a jak on naprawdę nie przyjedzie?

— Ale co znowu, mówię ci, bądź spokojna; dwa dni rwał końmi, może zmęczył i teraz się wlecze.

— Pójdę, uspokoję Emilkę.

Zaszeleściła suknią i wybiegła z pokoju. Pan Staś przyskoczył do kuzyna.

— A co! nie mówiłem ci, ubrana już, czeka, złości się, a tu się wstydy wyjąć, bo nie chce być pierwszą, cha, cha, cha! czy nie mówiłem?

— To nie dowodzi, że idzie za niego dla milionów—odparł Stefan.

— Czuję, że dziś wszystko się sprawdzi, com rzekł.

W tej chwili zaturkotało przed domem.

— Wiwat! przyjechał!—zawołał Staś.

Jednocześnie weszli a raczej wbiegli dwaj młodzi Laccy. Jeden we fraku, drugi w galowym studenckim mundurze, z pretensjonalnie podkreślonym wąsikiem. Obaj skoczyli do okna.

Ogromne zdziwienie odbiło się na ich twarzach, spojrzeli na siebie, potem na obecnych panów, a starszy rzekł:

— Ależ to chyba nie Janusz? Cóż to znaczy? Kto to taki?

Panowie zbliżyli się do okna.

Przed gankiem stała bryczka, pomalowana na jaskrawo zielony kolor. Siedzenie przykryto kraciastym kilimkiem, z pod którego wyglądała słoma. Na koźle siedział parobek w szarej burce i zwykłej czapce, trzymając w czerwonych rękach lejce i gapiąc się z otwartymi ustami na dwór i panów w oknie. Para koni chudych, z powycieranymi bokami od dyszli, dopełniała całości zaprzęgu. Konie, widocznie zmęczone, oddychały szybko, para buchała z ich boków, łby spuszczały smutnie. Z bryczki wyskoczył lekko młody człowiek w płaszczu podróżnego.

Na wszystkich twarzach odbiło się zdziwienie; Laccy powtórzyli: „co to jest? co to znaczy?”—i wolno, nie spiesząc się, wyszli z salonu.

Staś spojrział na towarzyszy i wybuchnął tłumionym śmiechem.

— A to historia! Jak mamę kocham, pękne od śmiechu! Cha, cha, cha!

— Ot, pokazał się twój miljoner!—zażartował Stefan.

Staś szeroko otworzył oczy.

— Cóż ty serjo myślisz, że to jego własne konie?

— A czyjeżby?

— Cha, cha, cha! pyszny jesteś, jeszcze lepszy, niż ta bryczka i ten fornal!

— — — — —

W przedpokoju rozebrał się pan Janusz Rożański i spoglądał na drzwi zdziwiony, że nikt nie wychodzi, nawet lokaja nie widać. Stał przed lustrem i poprawiając kłapy fraka, obejrzał siebie od stóp do głowy. Był to młody, bardzo przystojny mężczyzna; wysoki, dobrze zbudowany i zgrabny. Ale na czole pojawiła się zmarszczka, gęste, ciemne brwi zsunęły się gwałtownie. Szarpnął bujny wąs i znowu spojrzał na drzwi.

Nikt nie wychodził, zawsze go serdecznie przyjmowano, a teraz, kiedy przyjeżdża na ślub.

— Może kto chory — pomyślał z obawą.

Doszedł go z salonu tłumiony śmiech, poznał głos Stasia, który mówił:

— Cóż ta kareta tak długo stoi przed gankiem?

Brwi Rożańskiego zsunęły się mocniej, podniósł głowę i chwilę popatrzał na zamknięte drzwi salonu. Coś rozważał, kombino-

wał. I twarz mu drgnęła, oczy błysnęły trochę złowrogo, a zarazem jakby ciekawością, zacisnął usta i przeciągnął ręką po czole.

— A może?...—wyszeptał.

Jakaś myśl raptownie uderzyła go; wyszedł prędko na ganek, kazał sobie parobkowi podać walizkę. Wziął ją i zawołał do gapiącego się chłopaka:

— Jedź pod stajnię, niech ci tam dadzą obroku—mówił donośnie.

Poczem wszedł znowu, postawił walizkę i chciał otworzyć pierwsze drzwi z brzegu, gdy do przedpokoju weszli bracia Laccy.

Rożański wyciągnął dłoń serdecznie.

— Jak się macie?—przemówił swobodnie. Późno przyjechałem, prawda? Ale spieszyłem bardzo, możecie mi wierzyć. Czy zaraz jedziemy do kościoła? panna Emilja czy zdrowa, pewnie gotowa już?

Dość chłodno podali mu ręce i starszy rzekł:

— Tak... zdaje się ubrana — proszę do salonu.

— Cóż jesteście tacy lakoniczni—zdziwił się z bladym uśmiechem, patrząc na nich z pod przymrużonych powiek.

Starszy otwierał drzwi, młodszy odpowiedział:

— Siostry ślub, to nic dziwnego.

— Przecie wiedzieliście, że ten ślub będzie, a gdzież panna Emilja? — dodał, wchodząc do salonu.

— Zaraz wyjdzie—ubiera się jeszcze.

Panowie otoczyli pana młodego kołem, witali go wesoło i hucznie. Laccy zakłopotani, zacierali ręce, wolno chodząc to tu, to tam po salonie.

Rożański nieznacznie śledził ich oczyma. We drzwiach stanęła panna młoda, cała w biele, zasłonięta welonem i zapłakana. Ale patrzyła śmiało przed siebie z pewną dumą i widocznym chłodem w niebieskich źrenicach. Za nią postępowało kilka pań w strojnych tualetach.

Rożański żywo wyszedł naprzód, skłonił się paniom i stanął obok narzeczonej. Chciał wziąć jej ręce, mając na ustach serdeczne słowa, ale powstrzymało go jej zimne spojrzenie.

Podąła mu obojętnie końce palców i wyśunęła, zanim zdołał do ust podnieść, poczem zwróciła się do starszego brata. Rożański zdumiał się, krew uderzyła mu do głowy, zdawało się, że wybuchnie, ale trwało to chwilę, zmógł się całą siłą woli i uprzejmie zaczął witać panie, rozmawiając swobodnie.

Weszli rodzice panny młodej. Rożański zmarszczył brwi i zbliżył się do nich.

— A, witam!—rzekł obojętnie stary Lacki, podając mu rękę, i dłoń Rożańskiego prędko uściskawszy, ustąpił miejsca żonie.

Pani Lacka nie pocałowała, jak zwykle, przyszłego zięcia w głowę, tylko pochyliła się trochę dla pozorów, gdy całował ją w rękę, i zaraz odeszła do córki.

Drużki zajęły się przypinaniem bukietu panu młodemu, panowie, ze Stasiem na czele, dopomagali paniom w utrzymaniu wesołego nastroju. Lecz pomimo starań atmosfera była ciężka, chłód wisiał w powietrzu.

Rodzice panny młodej wałęsali się po pokojach bezmyślnie, powtarzając każdemu z osobna: „że chwała Bogu, ładna pogoda na ślub Emilki“.

Synowie szeptali z sobą, lub od czasu do czasu bąknęli coś do siostry, która w swej białej długiej szacie stała, jak posąg, mozolnie poprawiając coś przy wachlarzu! Pan Józef z różowo ubraną żoną szeptali na boku, uśmiechając się dyskretnie.

A Stach wstrzymywał dławiący go śmiech na widok zdumionej miny Stefana. Jeden Rożański był spokojny pozornie, bo w duszy mu się coś łamało; uczucia serdeczne zamieniały

się stopniowo w gorycz, ale nie chciały jeszcze wybuchnąć, jeszcze tliła w nich nadzieja, jeszcze myślał.

— Może się myślę, może nie to!

Z bukieciem bielejącym we fraku stanął obok narzeczonej. Byli na boku od całego towarzystwa; zlekka pochylił się i głęboko spojrzał w jej oczy.

— Czy pani niezdrowa, panno Emiljo? bo coś pani jest—spytał tak serdecznym tonem, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć.

Ona drgnęła, odparła chłodno, nie patrząc na niego i wciąż majstrując koło wachlarza:

— Myli się pan, nic mi nie jest.

— Nie wierzę, bo nawet pani zbladła.

— Nie powinien się pan dziwić... ślub dla kobiety to krok tak ważny... bez wrażenia przejść nie może.

— Lecz u pani wrażenie jest cokolwiek... za silne, staje się niepokojącym, niekonsekwentnem z dawną pogodą.

Spojrzała na niego dumnie.

Pan mi wymówki robi? już?...

Zbladł, dotknięty, zacisnął zęby i rzekł spokojnie:

— Nie poznaję pani! i widzę, że wraże-

nie przedślubne jest dla panien bardzo niebezpieczne.

Milczała ze spuszczonej oczyma, gryząc wargi.

— Pani widocznie czuje brak odwagi do połączenia się ze mną, czy tak?

— Prawie—wycedziła z grymasem.

— Nie dziwię się, bo i ja coś podobnego odczuwam.

— Pozwoli pan, że odejdę, głowa mnie boli..

— Och! nie śmie pani krępować.

Popatrzył na nią badawczo, ale jeszcze miłość nie pozwalała rozpanoszyć się zwątpieniu w duszy; reszta nadziei szeptała:

— Może nie to?

A Staś mówił do kuzyna;

— Stefan, uważasz? rozumiesz?

— Uważam, ale nic nie rozumiem.

— Zrozumiesz—poczekaj!

— — — — —
W gabinecie pana Lackiego, niby przypadkiem, zeszła się cała rodzina, wysunawszy się z salonu.

Panna Emilja chodziła wzburzona po pokoju, przykładając do oczu chusteczkę.

— Mój Boże, mój Boże! taki zawód, i to w ostatniej chwili!

Pan Lacki rozłożył ręce bezradnie.

— No, trudno, stało się! ale teraz nie czas na lamenty, trzeba jechać do kościoła. Ktoby się to spodziewał, że tak będzie.

— Papo, może ja jeszcze zerwę z nim. Jeszcze czas.

Pani Lacka, siedząca apatycznie na fotelu, podniosła głowę.

— Może Emilka ma słuszość, może zerwać?

Ale ojciec zaprzeczył.

— Dajcie spokój! — zawołał gniewnie — zerwać, zerwać, łatwo to mówić, a potem co? Znowu oglądać się na wszystkie strony za zięciem i trafić na byle kogo? Co wam w głowie?

Panna Emilja zapłakała.

— Mój Boże! mam dwóch braci, proszę, aby tam do niego pojechali, zobaczyli jak tam jest, jakie te Skiby i czy one są, bo może ich niema. Tak jak i te majątki na Wołyniu, także niewiadomo; pytałam raz Okmińską, czy on naprawdę taki bogaty, odpowiedziała, że bardzo, ale tak dziwnie na mnie spojrzała, że więcej nie pytałam. Żeby

który z was pojechał, a obejrzał wszystko, nie byłoby tego.

— Moja Emilko! — odezwał się starszy brat—ja mam dużo zajęcia, wiesz o tem, nie mogłem jechać, zresztą nie było czasu, tak to szybko poszło, poznanie, zaręczyny; sama nagliłaś. Wszyscy mówią — milioner!

— To mógł jechać Wicio.

Student gwizdnął przeciągle.

— Nie jestem kontrolerem Rożańskiego, ani jego kieszeni, zresztą nie zapraszał mnie wcale. Julek miał do niego jakiś osobisty interes, mógł jechać.

— Jaki interes?—zapytał ojciec starszego syna.

— Chciałem u niego pożyczyć parę tysięcy na wyścigi, wie przecie papa, że chcę puszczać konie.

Student rozśmiał się.

— Pfiu, jeśli te tysiące jego, czy tam miliony, taka sama bajka jak i ekwipaże, to ci winszuję powodzenia.

Zapanowało głucho milczenie, pierwszy odezwał się znowu Julek.

— No, może kazać zaprzęgać, bo to już naprawdę czas. W którym powozie pojedą państwo młodzi, w naszym kłokocie, czy też może Okmiński swoje lando pożyczycy? bardzo

eleganckie, żeby ten bogacz chociaż takie miał; może pożyczą, to przecież kuzyni tego... milionera.

Zaśmiał się szyderczo—złośliwie.

— A może pan młody na swej dryndulce powiezie ukochaną, umyślnie ją pewno pomalował na zielono; szkoda tylko, że liberja nie ładniejsza.

— Zostaw, Wiciu, nie drażnij Emilki — rzekł ojciec.

— Mamo, ja nie chcę być żoną hołysza—szepnęła panna młoda.

Stali bezradni, nie wiedząc, co robić.

Student wyszedł, ale po chwili wpadł znowu, zaczerwieniony i machając rękoma, wołał gwałtownie.

— Chodźcie, chodźcie prędzej, ktoś gdzie bardzo elegancki, śliczną karetą, już jest w alei, czwórka w lejc, powiadam wam, cudne konie, prędzej, prędzej!

To ich poruszyło.

Panna Emilja wpadła do swego pokoju i przed tualetą zaczęła się pudrować, pani Lacka poprawiła pióra na głowie, pan Lacki naglił i po chwili znaleźli się wszyscy w salonie.

Rożański stał przy oknie, rozmawiał z Okmińskim, Staś z resztą panów zabawiali

panie, nie pojmując, gdzie się ukrywa panna młoda, jej rodzina i dlaczego nie jadą do kościoła. Nie wiedzieli, jak to sobie tłómaczyć, zaczynali się czegoś domyslać, czekając, co dalej będzie. Gdy weszła z rodziną, wszyscy byli pewni, że nastąpi błogosławieństwo, rozmowy ucichły. W tem zatętniało, przepyszna czwórka siwych jabłkowatych arabów, sprzężona w lejc, w eleganckiej, świecącej od bronzów uprząży przedefilowała przed oknami, nie zatrzymując się wcale.

Wszyscy podbiegli do okien, patrząc z zaciekawieniem na lśniąca lakierami, wspinała karetę, błyskającą przez szyby białem atłasowem obiciem i girlandami białych kwiatów. Na koźle siedział poważny stangret z siwymi bokobrodami, w białych rękawiczkach, w liberji piaskowej i w tegoż koloru cylindrze. Obok niego wyprostowany lokaj, tak samo ubrany jak stangret. Karetą otoczyła trawnik i zatrzymała się na boku.

— Kto to przyjechał?... kto to jest?... dla czego nie podjeżdża... co to znaczy?... — wołali rozgorączkowani bracia Laccy.

— Czyje to konie? — pytali chórem rodzice panny młodej.

— Kto to taki? — wołała zaciekawiona panna Emilja, zapominając o swej niedoli.

Rożański spojrział w okno i rzekł obojętnie:

— A!... to moja karetka...

Starzy Laccy, młodzi Laccy i panna Laccy osłupieli.

— Jakto? co?! jakim sposobem? — pytali rodzice panny młodej.

Rożański zawsze spokojnie, zwrócił się do narzeczonej i rzekł:

— W miasteczku Stajankach przy karecie złamał się dyszel, nie mogłem jechać dalej, karetkę zostawiłem u kowala, a sam nająłem pierwszego lepszego chłopaka z końmi, chcąc stanąć prędzej na miejscu. Myślałem, że naprawa dłużej potrwa, widzę, że się prędko załatwili — dodał jakby do siebie.

Panna Emilja uśmiechnęła się rozkosznie, z oczu jej tryskało szczęście, podeszła o krok bliżej do narzeczonego i szepnęła wzruszonym głosem:

— Jakie to szczęście że panu nic się złego nie stało, nic mi pan o tem nie mówił... a jaki nie dobry..

I spojrzała mu w oczy ze słodką kokieteryją.

Zmiana była tak prędką, że Rożański patrzył na nią zdumiony; promienny blask w oczach, które spoglądały tklawie, radość, bi-

jąca z całej twarzy, głos pieszczący, sprawiały mu ból nieznośny.

Domyślił się wszystkiego, zagryzł usta i mruknął zcicha:

— Coś bajecznego!

— Co pan mówi? — szepnęła z uśmiechem.

Wzdrygnął się, ale się opamiętał i odparł prędko:

— Nie mówiłem nic o tym drobnym wypadku, ponieważ pani wydała mi się nie swoją.

Podawała mu rękę żywym ruchem i rzekła z prośbą w głosie:

— O! niech mi pan daruje! Byłam dla niego tak niedobłą, ale bolała mnie głowa. Zresztą wzruszenie...

— Teraz już panią nie boli? — zapytał z odcieniem ironji w głosie, której nie zauważyła.

— O! czyż długo mogłabym być cierpiącą... pan tak zbawiennie na mnie działa... skoro się kocha... niema mowy o żadnem cierpieniu.

Patrzył na nią, słuchał wzburzony do głębi; ufność prysła, gorycz i zawód załyły mu duszę ironją, szyderstwem, wzdumą. Patrzył na tę kobietę kochaną bardzo jeszcze przed paru godzinami i pomyślał, że liść tak prędko

nie opada z drzewa, jak od niego ulatywała miłość. Puścił jej ręce i przeszył ją ostrym wzrokiem, ale ona tego nie widziała, stała uśmiechnięta słodko, promienna radością, a on pomyślał znowu, że ta słodycz i ta promienność skierowane są wyłącznie do karety, symbolu jego bogactwa. Dla niego zaś osobiście ma chłód i niechęć, z którymi go witała.

Jeszcze chwila, a możeby wybuchnął strasznie, ale zbliżyli się do niego rodzice i bracia Laccy. Twarze mieli uśmiechnięte, rozradowane, otoczyli go w koło i Julek rzekł:

— Pytałem się stangreta, mówi, że dyszel dobrze naprawiony, konie także podkarmił, czeka, kiedy podjechać, mówi, że bardzo się spieszył.

Stary Lacki wziął Rożańskiego za rękę.

— To i nie zwlekajcie, drogi chłopcze, już tam i księża oczekują, już pora.

— Julek objął go za szyję i rzekł wzruszony.

— Januszu, choć zabierasz nam siostrę, ale nie wiesz, jak cię kochamy, bądź nam bratem. Tobie go oddaję, Emilko, weź go i kochaj zawsze... To rzekłszy z powagą starszego brata złączył ręce młodych ludzi!

Panna Emilja podniosła oczy na narze-

zonego i mrugając powiekami, jakby chcąc ukryć łzy, szepnęła z wyrazem tklivości na twarzy i w głosie:

— Kocham... i ufam, że będę szczęśliwa!.. Co za szczęście!

Zwrócił się do niej gwałtownie ze zmienioną twarzą i spytał prawie szorstko:

— Pani już nie czuje obawy?

Zmieszała się, lecz uśmiech wesoly błysnął na jej ustach.

— Ach, cóż znowu! niemądra byłam, proszę tego nie pamiętać.

I ścisnęła go za rękę.

Pani Lacka raptownie załkała!

— Ach! ojciec każe jechać... porywają cię moje dziecko—chodźcie, niech was pobłogosławię.

— Klękajcie przed rodzicami — wygłosił z całą powagą Julek Lacki.

— Panna Emilja zgłęła kolana, ale Rożański nie drgnął; spokojnie lecz stanowczo uwolnił rękę z uścisku narzeczonej i rzekł z akcentem prawie groźby:

— Przedtem proszę o chwilę rozmowy... na osobności.

— Czy tylko ja mam iść?—spytał stary Lacki, trochę zdziwiony.

— O nie! proszę wszystkich państwa i pannę Emilję również.

Poszli do sąsiedniego pokoju. Rożański na końcu z jakimś zagadkowym uśmiechem na ustach, muskając elegancki wąs. Wszedł ostatni i zamknął drzwi za sobą.

W salonie panie i panowie zgrupowali się w ciasne koło, poszły w kurs szepty i uśmieszki, odezwały się głosy.

— Chyba po błogosławieństwo?

— Nie godniśmy takiej uroczystości.

— Dziwna to jakaś para!

— To jest właściwie dziwna panna młoda, jak pogoda w marcu, tu chmury, tu słońce; na takim weselu jak żyje nie byłem, sam początek oryginalny.

— Chyba o północy ten ślub będzie?

— Jeżeli będzie notabene.

Ale Rożański wspaniały, co za uroda, postawa, jaka dystynkcja, o! bardzo może się podobać.

— Ha! inni wolą jego czwórkę arabów i liberję.

— I wiedeńską karete.

Wszyscy szeptali, każdy objawiał swe zdanie.

Staś wziął na stronę kuzyna.

— Zrozumiałeś? — spytał.

— Okropność!—odparł Sefan.

— Tedy powiadam ci, że potrafiła zadrwić nawet mnie, chociaż nazwałeś mnie cynikiem. Potwór nie kobieta. Ale czy uważasz, jak się wszystko sprawdza, co przepowiedziałem? Czytam, jak z książki proroctwa i będę zgadywał do końca, zobaczysz,

— Szkoda mi Rożańskiego.

— Już ty się o niego nie troszcz!

— Kochał ją, a jeśli spostrzegł taki zawód! Żal mi go.

— Och! o niego bądź spokojny!

Staś zaśmiał się i powtórzył z największą pewnością:

— Dalibóg, bądź spokojny!

Rożański w buduaru spojrzał na zaciekawione twarze rodziny i opierając dłoń o poręcz fotelu, przemówił bezdźwięcznym głosem:

— Przykro mi bardzo, że w chwili ostatecznej zmuszony jestem państwu i pani, panno Emiljo, zwrócić słowo; ślub nasz nie może się odbyć.

Gdyby w tej chwili Rożański padł rażony śmiertelnie, wrażenie nie byłoby silniejsze. Panna Emilia zbladła, jej twarz nie różniła się

od sukni i welonu, przerażone oczy utkwiała w narzeczonego i oniemiała. Rodzice i bracia stali, jak dotknięci gromem.

Pierwsze zdumienie przeminęło, odzyskali mowę, posypały się pytania pełne trwogi i niepewności.

— Co to znaczy?—co to jest?.. jak to?.. dlaczego?...

Rożański podniósł głowę.

— Zauważyłem, że panna Emilja nie ma dla mnie takiego uczucia, o jakim mnie zapewniała, nie chcę więc jej krępować niemiłym dla niej związkiem.

— Ale cóż znowu, pan się myli!... Emilko?...—wołał desperacko stary Lacki.

Panna Emilja z bladej stała się purpurową; podeszła do Rożańskiego i chwyciła jego rękę.

— Panie Januszu... co pan mówi... ja pana bardzo kocham... bardzo... i prawdziwie z całej duszy.

Uśmiechnął się sarkastycznie, wzruszając ramionami:

— Ach! już wiem! pan się gniewa na mnie za to powiedzenie, że mi brak odwagi, ależ ja, mówiąc to, żartowałam... zresztą głowa mnie bolała... wtedy mówiłam, niebardzo

wiedząc, co mówię, nie byłam szczerą, proszę mi darować...

I schyliła głowę, ocierając nerwowo oczy.

Ale Rożańskiego komedja ta nie rozczuliła i odparł dobitnie:

— Właśnie wtedy była pani zupełnie szczerą — teraz, nie.

— Panie Januszu, na miłość Boską, co pan mówi? och, Boże!

Żachnął się niecierpliwie.

— Niech pani nie wzywa Boga na świadka, bo On najlepiej wie, gdzie była szcerość.

— Czyż przed chwilą w salonie nie okazywałam panu, jak go kocham? — wybuchnęła gwałtownie.

— O tak, pani, to była dla mnie chwila rozstrzygająca.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Zresztą, powtarzam, nie chcę pani krępować; nie kochając mnie, nie mogłabyś być szczęśliwą. Żegnam państwa.

Chłodno skłonił się i cofnął się z powrotem do salonu.

Towarzystwo weselne mocno już zniecierpliwione, rzuciło ciekawe spojrzenie na bohatera dnia, który wydawał się bardzo

dziwnym. Widocznie wzburzony i blady, ale zawsze z tym samym sarkastycznym uśmieszkiem, zbliżył się do nich i podając po kolei rękę wszystkim, mówił serdecznym tonem:

— Bardzo przepraszam za zawód, jaki robie, ślubu nie będzie, odjeżdżam do domu, mam nadzieję, że panie mi raczą wybaczyć... Moje uszanowanie!

Wyszedł do przedpokoju. W salonie zapanowało głuche milczenie, spowodowane zdumieniem tak wielkiem, że aż przerażającym. Nikt słowem się nie odezwał, spoglądali na siebie, pytając oczyma, co to znaczy.

Po chwili ktoś mruknął: „skandal“, drugi głos zawołał zcicha: „zuch Rożański“. Okmiński szepnął do żony: „nie mówiłem ci, że tak będzie“?—ale inni nie mogli pojąć, co się stało, jeszcze nie rozumieli. Tylko Staś nie zdziwił się; on jeden wiedział odrazu, że nie po błogosławieństwo wyszli do buduaru. Dostrzegł bolesną grę uczuć na twarzy Rożańskiego i nagłą zmianę w pannie Emilji i rodzinie Lackich na widok zielonej bryczki, a potem karety.

Zaturkotało przed gankiem.

— Patrzcie państwo, już odjechał — zawołano.

Staś rzekł z komicznym przestraczem:

— Moi państwo, wy sobie zostawajcie, jak chcecie, ale ja, dalibóg, uciekam, boję się oczka pana Lackiego. Kto wie, może on nie uwierzył w pogłoskę o mojem bankructwie! Zmykajmy, żeby potem nie było zapóźno. Pamiętajcie, że ja dziś jestem jasnowidzący.

— To panu musimy przyznać—potwierdził Okmiński.

— Brawo Staś!—zawołało kilka głosów.

— Nie mówcie tylko bis, boby się sprawdziło to, com mówił na końcu.

Odpowiedziano mu tłumionym śmiechem. Sytuacja mimo swej niezwykłości zabawiła mniej interesowanych.

Oczekiwano zakończenia trzeciego aktu tej tragicomedji.

— Jasnie pan dokąd rozkaże? — spytał zdziwiony stangret Rożańskiego

— Do domu — rzucił krótko.

Stangret otworzył usta, lokaj osłupiał, ale nie okazał tego; włożył walizkę pod przednie siedzenie, zatrzasnął oszklone drzwiczki i wskoczył na kozioł.

— Czy chłopak ze Stajanek odjechał?—
spytał Rożański.

— Odjechał, jaśnie panie.

— To dobrze, ruszaj! Nocować będziemy w Stajankach.

Kareta potoczyła się w stronę bramy, poprzedzona głuchym tupotem kopyt ślicznej czwórki.

Stangret i lokaj popatrzyli na siebie w milczeniu i nieznacznie wzruszyli ramionami, nie mogąc pojąć, dlaczego zamiast do kościoła, jadą z powrotem do Skib i zamiast państwa młodych, wiozą tylko pana młodego. Dla nich było to zagadką.

Kiedy wyjechali za bramę, Rożański zaśmiał się ironicznie, coś jakby ciężar spadł mu z piersi.

— Ocalony! — szepnął sam do siebie — a wszystko przez złamany dyszel i zieloną dryndulkę; warto ją ozłocić.

— I to kobieta?—myślał—co za oschłość serca, wyrachowanie i obłud! I ja, osioł, nie poznałem się na niej wcześniej, a tobym wpadł dopiero!...

Niebawem rozległ się tętent i wołanie. Stangret zatrzymał konie.

— Co tam?—spytał niecierpliwie Rożański, spuszczać okno karety.

— Proszę jaśnie pana, jakiś konny — odrzekł lokaj — pędzi i woła, ażeby stanąć, ot i on!

Galopem przycwałował służbowy chłopak na koniu, zatrzymał się raptownie i zeskoczywszy z siodła podał Rożańskiemu kartkę, zdzierając czapkę z głowy.

On wziął ją spokojnie, rozwinął i przeczytał.

„Emilja zachorowała, chce koniecznie pana widzieć, proszę spieszyć.

Juljusz“.

Przez twarz Rożańskiego przebiegło sto hamowanych uśmiechów szyderczych, pełnych jadu.

Zawsze spokojnie napisał ołówkiem na odwrotnej stronie tej samej kartki:

„Życzę pannie Emilji prędkiego wyzdrowienia i narzeczonego, któryby miał mocniejsze powozy, ja spieszę do domu.

Rożański“.

Złożył kartkę i oddał ją chłopakowi.

— Ruszaj!—zawołał do stangreta.

Popatrzał za oddalającym się jeźdźcem w gasnących zorzach zachodzącego słońca. Na twarzy latały mu żartobliwe plomyki i nie wytrzymał, parsknął serdecznym, głośnym śmiechem.

— Cha, cha, cha!

— Co jaśnie pan... każe? — zapytał, odwracając się, lokaj, zdziwiony śmiechem pana.

— Nic, nic! dostaniecie obaj po dziesięć rubli za dyszel... naprawiony.

— Dziękujemy, jaśnie panie! — zawołali obaj.

Konie ruszyły pełnym kłusem.



GŁOS ZIEMI.

Antoni powraca z Ameryki. Śpieszy bardzo do wsi rodzinnej, bo to już Wielka Sobota, przed nim zaś kawał drogi.

— Na święta do domu, do rodziny, już na zawsze—myśli Antoni z podniosłym uczuciem.

Za oceanem przebył dwa lata. Dużo świata widział, dużo nowych ludzi. Dwa razy chorował ciężko z nadmiaru pracy. Przetrwał straszliwą burzę morską. Miesiącami nie widywał światła dziennego, schowany w kopalniach. Pracował, jak wół, ciągnąc mozolnie swój żywot i nawet nie wiele zarobił. Pieniądze pochłonęły choroby i podróże tam i z powrotem. Nareszcie jest w kraju. Rwał się do niego, tęsknił, zamierał z żalu, że może go już nie ujrzy.

Ale Bóg łaskawy. Pozwolił synowi powrócić do matki żywicielki. Antoni od odległej stacyi kolejowej idzie piechotą, rozgląda się ciekawie po niwach odmłodzonych wiosną,

ogarnia wzrokiem rozpromienionym pola orane i futra ozimin bujnych, krótkich, lecz gestych.

Białe i niebieskie przylaszczki rozbiegły się już po lasach, niby dzieci krasnoludków, bose, w koszulinach, i panoszą się, głuszając młodą trawkę. Sasanki, błado-lila włochatki, tworzą miejscami sute bukiety. Idą za niemi jaskry pływacze, rozsiadłe na zielonych tratwach liści, pełzną w bagienkach, na mokradłach i zakładają swe stolice. Głowy dumne, krzycząco żółte wzniosłe od słońca, grzeją się rozkosznie i piją wodę. Na smugi zazielenione spadł z tęczy odłam fioletowy, pozostało mnóstwo fioletów.

Antoni patrzy na te cuda i łzy zalewają mu oczy.

— Oto nasz kraj piękny! Szczęśliwość sama! Gdzieżby tam Hameryce równać się do naszych pól — myśli Antoni.

Pierś mu wzbiera miłością do łąnów oczystych.

Gdy noc powoli zapadła, wędrowiec nie odpoczął. Idzie, wyteżając wzrok osłabiony, i wciąga w piersi zapachy, karmiące duszę stęsknioną.

— Chleb pachnie! Wszędzie pachnie nasz chleb rodzinny, jakby świeżo wypieczo-

ny przez Małgośkę moją. To ziemia tak roznosi się dokoła — medytuje podróżnik.

Idzie wśród pól i słucha, jak żaby na bagienkach zaczynają rechotać bojaźliwie. Uczą się dopiero. Raz przebił powietrze krzyk przeciągły.

Czajki wrzeszcza! Niebożęta kochane!

Antoni mija las, nie poznając jaki, choć okolicę znał doskonale. Jest zmęczony, senny. Kilka godzin wędruje tak po omacku, przysiadając czasem dla chwilowego odpoczynku.

Zaczyna świtać; powietrze mętnieje, rzędnie, różowieje. Drobne pyłki świetlne fruwały tam i sam. Niebo staje się różowo-fioletowe, na kryształach rozpięte. Na polanach lesnych i przehalinach ciągną słomki, chrzypienie ich odzywa się ostatnie już tej wiosny. Rozlegają się głosy dzikich gołębi.

Tyle młodego życia, tyle gwaru!

— „Święty Wincenty wesoły w ptaszęty“ mówią starzy ludzie — myśli Antoni. — Śliczności wiosenka! „Kwiecień plecień“, bo się wszystko plecie z sobą: kwiaty i ptaki i wszelaki stwór.

Świt rośnie. Srebrne blachy okuły niebo. Od wschodu rozbłyskują długie moty

złocistych nici i zwijają się w runa, w delie przepyszne.

Idzie ta złocistość z różem zmieszana, idzie przepiękna, wiecznie młoda, dziewica-ju-trzenka, dźwigając słońce. Świat czyha na pojawienie się jej, by rozgrzmieć najwyższą radością, by powitać godnie przejasny majestat, panujący nad Bożym dniem.

Antoni usiadł na granicy lasu, pod sosną, patrzy i patrzy w złotą ścianę, podnosząc się na wschodzie. Zapomniał gdzie jest i jaki dzień się budzi. Chciał zdrzemnąć, trud podróży zwałił go z nóg. Senne powieki nie zamykają się jednak. Antoni poznaje las dworski, widzi, że sosny te same, i droga jakby znajoma, i pole obok także jakies przyjacielskie. Zda się wędrowcowi, że te rozłogi ramiona do niego wyciągają, słyszy ich głos.

— Synu rodzony! Nie poznajesz nas, zapomniałeś?

Antoniemu serce szarpać się zaczyna.

— Matko Boska, Śni mi się. czy co?

Z pól nadleciał wiaterek rzeźki i wywiał kozła na odkrytej głowie wędrowca, targnął go za czuprynę.

— Hej! Hej! Nie poznajesz mnie, bracie? Hi-ha!—terkocze wesoło.

W górze, pod świtem zapalonym, drżą drobne skrzydelka, w uszy Antoniego leci słodki świergot skowronka:

— Gospodarzu! Go... spo... da... rzu...! w pole czas, siać czas! Tralala! oj dana!

Podróżnik rozmarza się zupełnie.

Ach! jeszcze inne głosy wołają na niego:

— Klee, klee! Wróciłeś! Dzień dobry — zanoszą się bocian.

— Ku-ku Kuku! I ty i ja wróciliśmy...

— Kukawka już jest! La Boga!

Uderza go w słuch pisk kulików wodnych, jakby z nad stawu w Klonowie.

— A to co?!

Właśnie krzyknęła czajka rozgniewana:

— Widzita go! Nie poznał nas! Głupi Zły!

Antoni poderwany siłą uczuć, wstaje i rozgląda się.

— Czyżby to już? Czyżby?!

Znagła powietrze zadrzało. Buchnął wien głos dzwonów tonem początkowym. Rozlega się hejnał ogromny serc spiżowych: wielki, niebotyczny. Roztętniały niesie się już szeroko potopem dźwięków, niesie swój ton poważny ponad pola i bory:

— Alleluja! Alleluja!

W naturze wszystko umilkło, słucha pieśni Zmartwychwstania w skupieniu modlitewnym.

Wędrowiec rzuca się naprzód z okrzykiem, co mu w piersi rwie.

— Nasze dzwony! Klonowskie dzwony! Rezurekcja!

Biegnie pędem przez miedze jeszcze nagie, w skokach szalonych przesadza rowczaki pełne wody. Nie czuje zmęczenia, jeno w duszy szczęście bez granic i promiennosc. Czy Antoniego wlepiają się w biały kościółek, widny jak na dłoni, skąd właśnie wychodzi procesja.

— Boże dobry! Ja już u siebie, ja w domu!

Chwyta go płacz rzewny, lzy ciekną po policzkach rozpalonych wrażeniem.

— Jam nie poznał pól klonowskich, siedziałem drzemiać, a za plecami miałem swoją wieś — Boże!

Wyrzut bolesny nurtuje Antoniego.

Biegnie, potyka się, zrywa i biegnie bez przerwy, prawie bez oddechu. Unosi go siła ogromna, tęsknota żenie go wskroś pól i łąk runią obrosłych. Pragnienie widoku swoich, pragnienie modlitwy wspólnej na zagonie rodzinnym, pragnienie duszy, upojonej błogo-

ścią, serca, które wyszarpnęło się z piersi i leci naprzód, by paść w hołdzie przed Hostją Najświętszą.

Ameryka, ocean, świat cały, wydają się Antoniemu małemi i biednemi wobec tego kościółka, wobec tych dzwonów rozkolebanych, wobec kwiecistych szarf chorągwi, co lopocą na wietrze, słońce zaś gra na nich, jak na arfie tęczowej. Bo świetny magnat dnia wypłynął już całą wielkością i ciska na kościół, na ziemię, na lud rozmodlony zdrojów darów królewskich.

Emigrant kilku potężnymi susami dopada muru kościelnego, i w środku rozwartej bramy runął na twarz przed zbliżającą się monstrancją. Zawył radosnym szlochem szczęścia, aż ból sprawiającym. Ramionami obejmuje ziemię ukochaną, całuje ją sercem miłującym, co mu wargi roztula.

— Ziemia nasza! Matko nasza. Ty na dewszystko najdroższa! — szepce bez pamiętnie.

Wita ją, jak wygnaniec, jak syn, który zranił ją ucieczką po grosz cudzy, po chleb lepszy, niż ona dać może. Przeprasza ją teraz że skrzywdził, że ją opuszczał. Modli się do niej i lka.

— Ona jest jedyna!

Z obcych krajów przywiózł zdrowie nadwątłone, ręce od pracy popuchłe, i żal i duszę przez nostalgię zzartą. Aż oto znowu jest na swym zagonie i już nie odejdzie!

— Ziemio nasza.

Procesja zbliża się powoli, z powagą. Łomocą chorągwie o drzewce, trzepią się boki baldachimu. Pieśń święta leci z potęgą bezmierną, razem z brzmieniem dzwonów, i daje światu wieść uroczystą:

Chrystus Pan Zmartwychwstał!

Pieśń szumi melodją górną, wzwyż, ponad obłoki, po nizinach zbóż, rozlewa się hoi- nie, wszędzie głosząc radosne:

— Alleluja!

Antoni dźwignął się z ziemi i wmieszał w tłum ludzki. Śpiewa z natchnieniem, z głębi duszy.

Nagle zawisły mu na szyi ręce młodej kobiety. Głos, przepojony szczęściem, rado- sny, szemrze serdecznie:

— Antoni! adyc wróciłeś?! Mój ty!...

Małgośka! Żono kochana!

— Wesoly nam dziś dzień nastał! We- soły!—wołają razem, przejęci wspólną uciechą.

— — — — —

Dzień rozbłysł zupełnie.

Gdy dzwony umilkły, wnet gruchają świergoty, piski, wrzaski ptaków. Drzewa rozwijają swój poszum, sieją woń miodową z lepkich pączków. Wiosna się uśmiecha do życia, do słońca i ludzi.

Wiosna się rozgwarza.



SPIS RZECZY.

	STR.
Zaszumiały pióra	9
Tragedja Cesi	19
Połączeni	91
Zaczytana	119
W przedziale 1 klasy	129
„Panem et circenses“	149
Idea	171
Skarga jesiona	187
Legenda o przeznaczeniu	201
Ona odchodzi	211
In pleno	223
Nenufar	233
Zielona bryczka	271
Głos ziemi	301



**Wyciąg z katalogu wydawnictw księgarni
Leona Idzikowskiego w Kijowie.**

MARYAN DUBIECKI.

**Młodość Polska w uniwersytecie kijowskim
przed rokiem 1863. Z portretami dwóch ostatnich
profesorów-Polaków oraz rzadkimi dziś podobiznami ówczesnych studentów.**

Cena Rb. 1.—

„Znany monografista wschodnich kresów Rzeczypospolitej wydał obecnie ciekawą pracę pod przytoczonym tytułem. Jest to cenny i piękny przyczynek do dziejów szkolnictwa polskiego w XIX w., mówi bowiem o uniwersyt. kijow., jego zasługach naukowych, o świetnem gronie nauczycielskiem przed r. 1863, o niemniej pięknym zastępie słuchaczów, z pośród których wyszli zasłużeni na wielu polach działalności publicznej pracownicy

Sylwetki te, tak samo jak i cała książka, kreślone są żywo, ciepło i z prawdziwą znajomością i umiłowaniem przedmiotu, przynosząc wiele cennego i ciekawego materiału dla wszystkich, miłujących swą narodową przeszłość Polaków.

Książkę zdobi kilkadziesiąt portretów byłych wychowañców uniwersytetu kijowskiego, wśród których widzimy wiele nazwisk, zasługujących na trwałą pamięć w narodzie.

Praca p. Dubieckiego staje się cennym przyczynkiem do historii naszego życia na kresach... Zapomniana, a często, dla bardzo wielu z nas, zgoła nieznana przeszłość żywo barwi się w tej książce, w której dużo jest smutku i dużo—otuchy“.

MARYAN DUBIECKI.

Z przeszłości, 1861—1862. (I. Zjazd Horodelski.

II. Moje pierwsze wygnanie na stepy Kipczaku.

Cena Rb. 1.50.

„Niestrudzony, zawsze w pracy swej świeży, a gorący w uczuciach, M. Dubiecki, wydał pod powyższym tytułem książkę w Kijowie. Podwakość jest to książka dla czytelnika polskiego pożądana i miła, bo obejmuje chwile drogie sercu każdego Polaka — i wydana w Kijowie, z którym naród nasz łączy tyle wspomnień i kłesk.

Książka ta jest tylko kartką z pamiętnika, wspomnieniem chwil przeżytych przed 50 laty niespełna. Obejmuje zaledwie rok wspomnień (1860 — 1862), ale w tym roku jak w wielkim zwierciadle, odbiło się całe życie narodu.

Była to dziwna jesień... (pisze Dubiecki). Drogami, któremi szły niegdyś wpływy cywilizacyjne, wpływy polskie, płynął nieuchwytny prąd, budzący ducha

narodowego w masach, na wieki zda się uśpionych... I budzili się ludzie lepszymi, rósł w nich duch i serce, odradzało się poczucie jedności. Wiosna szczególnie i lato owego roku patrzyły na dziwne, przedtem w takiej liczbie niespotykane, zjawiska: powaśnieni od lat wielu podawali sobie dłonie; siejący zły przykład cofali się ze stromych ścieżek; starzy grzesznicy—przestali grzeszyć. Prądy, budzące żywsze uczucia społeczne, umoralniały jednostki i masy: widzieliśmy obojętnych w wierze, którzy się nawracali. Nawet uczniowie w niektórych szkołach lepiej uczyć się zaczęli. Zapał do nauki wśród szkolnej młodzieży rósł w naszych oczach pod wpływem moralnych wstrząśnień tamtoczesnych...

Opowiadanie to proste, jasne, szczere, jest obrazem, przed którym czytelnik staje ze wzruszeniem, ze smutkiem, ze czcią dla przeszłości i dla ludzi ówczesnego pokolenia.

Taka to książka smutna, tak szarpająca duszę szponami przeszłości, napisana tak prosto, tak pięknie, że doprawdy, tylko z polskiej zbolełej duszy wypłynąć mogą takie myśli, uczucia i obrazy“.

EDWARD PASZKOWSKI.

Podniebie Z kroniki czwartego piętra na Włodzimierskiej. Powieść Cena Rb. 1.50

„Zajmująca ta powieść z życia literatów osnuta jest na tle jednej z najciekawszych chwil końca ubiegłego stulecia, dotyczy bowiem spraw i ludzi, ze starym warszawskim „Głosem“ za redakcyi Maryana Bohusza i Jana Popławskiego związanych.

Nadzwyczaj żywa akcja i barwność scen sprawia, że książka czyta się z zajęciem od pierwszej, do ostatniej strony.

LUCYAN RYDEL.

Poezye Wydanie trzecie, znacznie powiększone w ozdobnej okładce J. Bukowskiego.

Cena Rb. 1.35—opr. Rb. 2.—

„Zbiór ten zawiera utwory liryczne po części dawniejsze, po części nowe, powstałe pod bezpośrednim oddziaływaniem świeżych wrażeń i przejść życiowych poety.

Zasadniczy ton swojskości stanowi główną cechę poezyi Rydla, wśród których wiele należy do najpiękniejszych klejnotów liryki polskiej.

Książkę zdobi portret autora“.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Melancholia. Wydanie trzecie, odmienne.

Cena Rb. 1.50

„Jest to w trzecim już wydaniu zbiór nowel, fragmentów i wrażeń znakomitego artysty, który nie tylko swą sztukę, ale także i życie uczynił wiernym odbiciem zasadniczych przekonań i wierzeń.

Zaprawne treścią ideową uczucie stanowi główny żywioł tych urywków poetyckich prozą. Do najsympatyczniejszych rzeczy należy „Książd Piotr“.

Wydanie staranne i w gustownej okładce.

BOHOWITYN.

Słoneczniki. Powieść. Wydanie II.

Cena Rb. 1.50

Nadzwyczajne powodzenie pierwszego wydania skłoniło nakładcę do powtórzenia edycji tej jednej z lepszych powieści polskich. *P. Bohowityn* zna życie mieszkańców dworów szlacheckich i pałaców magnackich i na tem tle snuje nie charakteru głównych bohaterów. Opowiadanie utrzymane w sympatycznym tonie budzi zaciekawienie każdego czytelnika i czyta się z przyjemnością „od deski do deski“.

BARD POLSKI.

Antologia utworów poetów polskich. Opracował
i ułożył **Bolesław Koreywo**. Okładkę rysował
Stefan Bukowski.

Cena Rb. 1.50—w oprawie Rb. 1.75

Wzorowe wydanie książki oraz szereg podobizn poetów polskich korzystnie wyróżnia dziełko z szeregu podobnych wydawnictw. Przytem jest to najobszerniejsza i najtansza dziś Antologia Polska

